ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom LXXX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

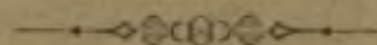
TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA,
1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 12 grudnia 1895 r.

Z GŁĘBI DUSZY.

(SONETY).

Nieznanym.

Pozdrowienie wam, wcale nieznani mi ludzie,
Którzy w duchu czar pieśni, jak ja, odczuwacie,
Chociaż serca stwardniały w codziennym kieracie
I grzęźniecie po uszy w życiowéj obłudzie...

Kiedy po całodziennym mozole i trudzie,
Żeby ducha odświeżyć, poezye czytacie,
W pociemnieniu czół waszych, zadumy stygmacie,
Widać wiarę kapłanów, marzących o cudzie...

Smutném ludzkie jest życie... Na ziemi lśnią globie
Próchno złota i uciech zmysłowych demony...
I ja czasem komedyę grać jestem zmuszony...

Dzisiaj pono poezya ma nie być na dobie...
I rozumiem, że w tłumie o sercu téż czerstwem
Na bożyszcza ludzkości bluzgacie szyderstwem...

Trzeźwym.

...I was także rozumiem, użyciem pijani,
Mieniący się trzeźwymi spokojni filistrzy...
W zaślepieniu tém żywot uchodzi wam bystrzéj,
Nim na zawsze w śmiertelnéj znikniecie otchłani...

Wam nie dano pić z uczuć krynicy najczystszéj,
Ani braci niedola głąb duszy wam zrani...
Zapomnieliście, zgonu obawą szarpani,
Że za zmysłów uciechą lśni raj promienistszy...

(Choć niesłusznéj pogardy ton bardzo mnie boli,
Nie złorzeczę im zgoła, bo duchem kalecy,
Może nawet użalam się gorzkiéj niedoli...

Ani pukam do serca kamiennéj fortecy,
Zmurszałego w bezruchu... Z pozoru najbierniéj
Obojętny na wszystko, uczuwam śmiech czerni...)

Poetom.

...I cóż po tém wam powiem, druhowie współcześni,
Celów życia świadomi entuzyaści młodzi?...
Pyszne słońce stulecia pożarem zachodzi...
Może-śmy już ostatni mohikanie pieśni?...

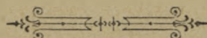
Na obecny świat patrzéć nam coraz boleśniéj,
O jutrzence ludzkości zwątpienie się rodzi...
Może rozum uczucie zupełnie wychłodzi,
Samolubstwo widnokrąg duchowy zacieśni?...

. . . .

Ale chociażby nawet do tego przyjść miało,
Ukochanym dążeniom nie czyńmy zawodu...
Choćby wszystko nam drogie wyśmianém zostało...

Niechaj pośród ogólnéj apatyi i chłodu
Nie umilka poezyi melodyjna nuta,
Cichym bólem nabrzmiała, bo sercem wyczuta...

Wacław Wolski.



PO ZDROWIE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Doszedłem do przekonania, że są ludzie którzy się rodzą pod szczęśliwą gwiazdą i że do tych właśnie ludzi należy Leon Krzycki. Doktór Fell i cztery młode kobiéty z Parvy, postanowili sobie przywrócić zdrowie człowiekowi zagrożonemu suchotami i cudu tego dokazali. Po ośmiu dniach, termometr, którym tak troskliwie mierzono trzy razy dziennie gorączkę chorego i który opadał systematycznie o jedną lub dwie kréski na dobę, w dniu ośmnastego października, o godzinie czwartéj po południu, podniósł się do trzydziestu sześciu stopni i pięciu dziesiętnych i stanął. Tryumf był wielki.

— Jesteś pan teraz na dobréj drodze — odezwał się doktór patrząc na Leona życzliwie—spokój, powietrze i odżywianie wrócą panu dawne siły, a ja będę cię odwiédzał nadal, już więcéj jako kolega i znajomy, niż jako doktór.

Pani Adela, obecna przy konsultacyi, nie odzywała się wcale i stała na uboczu tak skromnie i cicho, jak gdyby osiągnięte rezultaty nie jéj głównie były zasługą. Patrzyłem wówczas na tę kobiétę z uwielbieniem, miałem ochotę klęknąć i dla świata, wydającego takie geniusze uczucia, czułem tyle wdzięczności, że byłbym go chętnie cały przygarnął do wezbranéj piersi.

Nazajutrz Leon miał złożyć pierwszą, więc uroczystą wizytę na tarasie, a panny zrobiły z tego wielkie święto.

Przed paru dniami Meran przyjmował jednego z członków rodziny Habsburgów, ale to przyjęcie nawet nie mogło być porównane z uroczystością, z jaką podejmowano w willi Parvie Leona. Zaproszono nas wszystkich, zastawiono wielkie śniadanie, Zosia zagrała tryumfalnego marsza, wszyscy byli weseli, rozbawieni i wzruszeni. Słońce tego dnia dogrzewało wyjątkowo, a cisza w powietrzu była tak wielka, że zdawało się, jak gdyby sama natura brała udział w naszéj radości i zasłuchawszy się w wesoły gwar szczęśliwych ludzi, skamieniała w spokoju i w światłościach. Marynia wpadła w szał. Ofiarowała Leonowi różę, uściskała Zosię, Adelę i Julkę a potém z wielkiego zadowolenia odtańczyła jakąś dziką tarantelę. Jania pochwyciła koniec fruwającéj sukienki poważnéj cioci i tocząc się w takt jéj wesołych skoków, dopomogła do wykonania fantastycznego tańca, o jakim nie śniło się żadnemu z baletmistrzów.

I odtąd dni płynęły tak ciche, równe i jednostajne, jak paciorki różańcowe. Leon wracał do sił z szybkością zadziwiającą, począł tyć a nawet opalać się, ale często wpadał w jakąś smutną zadumę. Nie pozwalano mu na to, nie zostawiano go ani na chwilę samego, bawiono go i rozrywano, ale nawet pani Adeli nie zawsze udawało się rozpraszać chmury, zbierające się na czole chorego. Uważałem, że muzyka Zosi źle na niego oddziaływa. Siadał wtedy w kącie, cały przemieniał się w słuch i patrzył przed siebie prawie bezmyślnie. Uosobienie zniechęcenia i apatyi—myślałem w takich razach, patrząc na niego ze smutkiem, ale to spostrzeżenie nie tylko ja zrobiłem.

— Czy uważasz pan, — odezwała się raz do mnie pani Adela — że muzyka nie dobrze wpływa na pana Leona? Nie mam serca zakazać Zosi grać, bo raz—zrobiłabym jéj tem przykrość, powtóre, on sam się upomina o muzykę; ale faktycznie Zosia wkłada w grę tyle własnego, nerwowego rozstroju, że na chorego musi koniecznie oddziaływać i to oddziaływać ujemnie.

Przyznałem jéj racyę, ale radzić nic nie mogłem, bo i dla mnie muzyka, stała się największym powabem tutejszego pobytu. Spojrzałem na Zosię. Skończyła właśnie jednę z pieśni Mendelsohna i opuściwszy ręce, siedziała bez ruchu, jakby zasłuchana w przebrzmiałe tony, a Leon zbudzony z zamyślenia, utkwił w niéj oczy i zdawał się czekać, by zasłuchanie minęło, a rozpoczęła się nowa pieśń. Oboje z panią Adelą zbliżyliśmy się do niego i usiedliśmy obok. Oderwał oczy od twarzy Zosi i zwrócił się do nas.

— Zawsze męczyła mię myśl—zaczął zamyślony—do kogo panna Zofia jest podobna i oto w téj chwili przypomniała mi się fotografia, którą jeden z moich kolegów przywiózł mi z Monachium! Obrazek przedstawiał młodą dziewczynę, z wielkiemi oczami otwartemi szeroko grozą czy téż ekstazą i był zatytułowany *Märchen.* Panna Zofia nie ma wprawdzie w oczach i śladu grozy, ale pomimo to przypomina chwilami moją *Märchen.* Prawda, że to oryginalny tytuł i że mógłby być zastosowany do panny Zofii wtedy, kiedy gra balady Szopena?

Znowu zwrócił oczy w stronę fortepianu, a my zrobiliśmy to samo.

— Może masz racyą—zacząłem zamyślony. — Ja nie widziałem twojéj *Märchen*, ale gdybym był malarzem, przeniósłbym pannę Dolską na płótno, jako ilustracyę natchnienia.

Pani Adela patrzyła na nas z uśmiechem trochę ironicznym—może robiła porównanie mego młodzieńczego zapału z nie-młodzieńczą łysiną, poczém zwróciła się do Leona.

— Nie wiedziałam—rzekła—że z pana taki poeta.

— Poeta? — zdziwił się Leon — nic o tém nie wiem, ale jeżeli tak jest rzeczywiście, to poezyę zbudziła we mnie tutejsza natura, gra panny Zofii i pani.

— Ja?

Pani Adela zarumieniła się lekko i utkwiła w niego pytające oczy.

— Ależ ja nie mam nic wspólnego z poezyą, — mówiła — idę zawsze prosto przed siebie, na ziemi staram się wypełniać to, co jest obowiązkiem każdéj kobiéty, ale po obłokach nie bujam nigdy.—Spuściła oczy i westchnęła. — Nieszczęścia oduczają poezyi. Ból można zgłuszyć tylko pracą, zapomnieniem o sobie, poświęcaniem swych sił dla szczęścia innych, a to jest proza.

Leon słuchał, a gdy skończyła miał twarz ożywioną i oczy pełne uwielbienia.

— I pani to nazywasz prozą? Alboż dobro nie jest pięknem — piękno dobrem — a dobro i piękno wcielone w jedną istotę — poezyą? A pani prócz tego nie wiész o swojéj wartości, tak jak nie wié o swoich czarach harmonia płynąca z pod palców panny Zofii, jak nie wié o swym uroku alpejska natura i włoskie niebo — i dla tego właśnie jesteś uosobieniem poezyi.

— O panie Leonie, chcesz mnie pan psuć komplementami, ale to się na nic nie zda. Ja nie lubię, gdy ludzie mówią do mnie w ten sposób,—to mi nawet sprawia przykrość!

Pani Adela patrzyła na niego poważnie, ale na ustach miała uśmiech zadowolenia a Leon patrzył widocznie tylko w oczy, bo zerwał się, chciał ją przepraszać i tłumaczyć własne słowa. Tymczasem Zosia uderzyła w klawisze i zagrała piętnaste preludyum Szopena. Młoda kobiéta spojrzała na nią z niezadowoleniem, Leon zaś umilkł natychmiast, siadł, a po chwili zapomniawszy widocznie o całym świecie, pogrążył się w myślach tak smutnych, jak smutną była pieśń Zosi.

Milczeliśmy wszyscy, a gdy preludyum skonało, Adela odezwała się łagodnie ale stanowczo:

— Czy pan wiész, panie Leonie, że ja mam ochotę poprosić Zosi, by nie grywała w twojéj obecności?

Zwrócił na nią oczy, ale widać było, że jéj nie zrozumiał, czy téż może nie słyszał. Powtórzyła swoje słowa, a on się zdziwił.

— Żeby nie grywała?—czemu?

— Bo to pana denerwuje — stajesz się zamyślonym, smutnym, jednémi słowem, muzyka cię rozstraja, co nie jest pożądaném przy kuracyi.

Patrzył na nią długo, poczém uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Dziękuję, jaka pani dobra! Tylko — mnie nie muzyka rozstraja. Moje obecne otoczenie· i nowy sposób życia wpłynęły widocznie na moje usposobienie i pomimo wysiłków, nie mogę być innym niż jestem. Pani, która żyjesz tylko sercem, zrozumiész mnie łatwo. Tyle mi tu okazano współczucia i życzliwości, że chciałbym być wesołym i ożywionym, choćby tylko przez samą wdzięczność, a jeśli nie jestem w stanie przełamać samego siebie, to nie z powodu muzyki panny Zofii. Przyczyna jest inna i głębsza, ale ja nie będę jéj ukrywał przed panią, bo pani masz prawo do mojéj szczerości.

Umilkł na chwilę, my patrzéliśmy na niego ciekawie i zarazem niespokojnie, a on zaczął znowu.

— Do téj pory żyłem tylko pracą i troską, a tu wegetuję. Powiécie państwo, że tak być powinno i że to także środek kuracyjny, równie dobry jak wiele innych — może być, tylko środek ten nie powinien być nigdy przepisywany takim ludziom jak ja. Nie znałem dotąd życia ludzi zamożnych, a przytem inteligentnych i nie miałem pojęcia ile jest powabu w takiém życiu. Dni płyną jak woda, jedne do drugich podobne, bez troski, bez myśli o jutrze. Pogawędka z ludźmi wykształconymi, ale zupełnie różnymi od tych, których znałem dotąd — muzyka—poezya—śpiew—spacery—cała ta porywająca natura—słońce bezchmurne—jednémi słowem wszystko co się składa na moją obecną egzystencyę, to nie rzeczywistość, ale jakiś bardzo piękny sen. Ja nie żyję teraz, tylko śnię. Nie umiem myśléć, nie umiem pragnąć, nie

umiem tęsknić ani do kraju, ani do matki, ani nawet do nauki, która dotąd była dla mnie wszystkiém i jest mi z tém tak dobrze, że ze strachem myślę o chwili, kiedy się sen skończy. A przecież ja nie należę do siebie, poświęciłem się pracy i nauce i w chwilach, w których zdaję sobie sprawę z mojego obecnego stanu i widzę, że nie jestem zdolny do niczego, pożera mnie rozpacz i zniechęcenie. Czy pani rozumiész, czém jest dla człowieka, jak ja, myśl: nie jestem zdolny do niczego? To może doprowadzić nie tylko do zwątpienia o sobie i do rozpaczy, ale nawet do ostateczności. Co mi przyjdzie z odzyskanych sił fizycznych, jeżeli nie odzyskam duchowych?

Schylił głowę, ale po chwili podniósł ją i spojrzał na panią Adelę z prośbą w oczach.

— Nie odbieraj mi pani muzyki panny Zofii! Jéj gra budzi we mnie jakieś dziwnie sprzeczne uczucia, te uczucia walczą z sobą, ale chwilami zdaje mi się, że szlachetniejsze tryumfują. Taki tryumf nad samym sobą kosztuje, walka nie pomaga do zdrowia, ale mnie nie wolno się cofać przed walką: tryumf nad zleniwieniem ducha, to mój obowiązek. Nie odbieraj mi pani muzyki panny Zofii!

Pani Adela milczała. Widziałem, że była niezadowolona, ale po chwili uśmiechnęła się po swojemu i skinęła głową.

— Dobrze, jeśli pan tak chcesz koniecznie, niech Zosia gra. Chorzy są czasami podobni do grymaśnych dzieci i w drobnostkach należy im ustępować.

Pani Adela ustąpiła, ale posądzałem ją, że tylko w połowie. Zosia grywała podawnemu, lecz nigdy już nie usłyszeliśmy krakowiaków, piętnastego preludyum i Mendelsohnowskich pieśni bez słów. Wyrzuciła nawet Schumana, a na nowy dobór, złożyły się teraz utwory Brahmsa, Griega, Rubinsteina i Liszta. Napróżno Leon prosił, napróżno patrzył jéj w oczy badawczo i pytał — czemu? — Dziewczyna rumieniła się, odwracała główkę, by nie dojrzał, że miała oczy pełne łez, ale powtarzała uparcie:

— Nie mogę, na prawdę nie mogę, nie jestem usposobiona i to mię denerwuje.

Leon musiał ustąpić, ale widocznie żalu o to nie miał, częściéj i śmieléj zbliżał się do niéj, żartował z jéj zmiennego usposobienia, a ile razy wchodziliśmy z Ruszczycem na taras Parvy, zawsze teraz zastawaliśmy tych dwoje, zatopionych w ożywionéj rozmowie. Cieszyłem się widząc ich razem, choć dla czego — nie wiedziałem sam; ale zauważyłem, nie wszyscy podzielali to moje zadowolenie. Dysputy i wesołe sprzeczki wywoływały na bladéj twarzy Zosi rumieńce, a w oczach Leona zapalały błyski zapału, a jednak ani Ruszczyc ani pani Adela

nie cieszyli się z tych oczywistych i dodatnich rezultatów nowego systemu kuracyi.

Ruszczyc chmurniał, stawał się milczącym i w sobie zamkniętym, ale nie tylko nie zbliżał się do biegunowego krzesła pod latanią, lecz przeciwnie, starał się jak najmniejszą zwracać na siebie uwagę młodéj pary i jak gdyby umyślnie usuwał się w cień. Nie udawało mu się to. Zosia dostrzegała go zawsze, ledwie ukazał się na stopniach lub we drzwiach i zapraszała gorąco na rozjemcę w sprzeczkach. Zbliżał się wtedy, wysłuchiwał sprawy cierpliwie, przyznawał racyą jednéj lub drugiéj stronie i cofał się natychmiast, siadając obok Maryni lub Julki, a ja zauważyłem znowu, że na czole Zosi osiadała wtedy chmurka jakby żalu.

Takie postępowanie Ruszczyca dawało mi dużo do myślenia, ale jeszcze więcéj zastanawiała mię pani Adela. Nie była zadowolona z posiedzeń pod latanią, nie kryła się z tém wcale, a na moje przedstawienie, że i Leon i Zosia zyskują na wzajemnych rozmowach, bo mniéj się zamyślają, częściéj śmieją i oboje wyglądają teraz lepiéj, utrzymywała stale, że Leon nie powinien jeszcze zajmować się książkami i kwestyami naukowemi, bo doktór zabronił mu tego stanowczo i miał racyą. Różniliśmy się na tym punkcie, ale ufając w serce młodéj kobiéty i wierząc że chodzi jéj o zdrowie Leona, tak prawie jak mnie samemu, nie mogłem jéj mieć za złe, gdy siadała przy młodych i starała się zwrócić ich rozmowę na inny temat. Udawało jéj się to zawsze, a udawało lepiéj nawet niż może sobie życzyła, bowiem Zosia w takich razach najczęściéj zostawiała ich samych. Tłumaczyłem sobie postępowanie pani Adeli jak mogłem, ale pomimo woli czułem do niéj żal, który jednego dnia wydał mi się nawet trochę usprawiedliwionym. Zosia sprowadziła jakąś książkę, traktującą o najnowszych odkryciach w dziedzinie spirytyzmu i zainteresowała nową nauką Leona. Całemi godzinami sprzeczali się teraz oboje o nieśmiertelność ducha i życie pozagrobowe i uważałem że Leon, choć skrzętnie zbiérał i gromadził wszelkie przeciw, nie bez zadowolenia słuchał dziewczyny, z rumieńcami zapału i rozbłysłemi oczami, wiodącéj go w świat fantazyi—w dziedzinę gwiazd, gdzie duch ludzki ma odżyć powtórnie i gdzie mu będzie dozwoloném spełnić to, czego nie zdążył spełnić na ziemi.

Raz zastaliśmy wszystko troje na tarasie, zajętych ożywioną rozmową. Gdy Zosia, wyszła, pani Adela zwróciła się do Leona z uwagą:

— Gdybym miała córkę, nigdy nie kształciłabym jéj zanadto, to nie daje szczęścia.

Leon spojrzał na nią bardzo zdziwiony.

— Nauka nie daje szczęścia?

— Tak, nie daje. Zosia nigdy nie będzie szczęśliwa, choć żyje w warunkach, które zadowoliłyby najwięcéj wymagającego. Ma jakieś pragnienia, z których sama nie zdaje sobie sprawy, czuje się nieszczęśliwą, wykolejoną, bezużyteczną i taką już pozostanie zawsze. Ani jéj nie będzie dobrze, ani tym którzy z nią żyją. Kobiéta nie powinna filozofować, tylko wierzyć i starać się uszczęśliwiać innych. To jest droga bardzo prosta i bardzo dawno wytknięta — kobiéty nie zbaczały z niéj dotąd, im było z tém dobrze, a światu było dobrze z niemi.

Leon się zamyślił.

— Tak—i nie—zaczął po chwili.—Światu, a właściwiéj mówiąc mężczyznom, może było z tém dobrze, ale nie wszystkie kobiéty były, są, i byłyby zadowolone, gdyby im pozostała tylko ta jedna droga — droga ofiary i poświęcenia. W kobiétach od wieków już, zwolna, budzi się człowiek myślący, choć okoliczności nie bardzo temu rozwojowi sprzyjały. Dawniéj, były niewolnicami, a późniéj albo domowemi cackami, albo krzykliwemi gospodyniami, albo ofiarami. Tylko wyjątki wybijały się nad poziom, a wybijały jedne wielką inteligencyą, inne wielkiém sercem. Teraz, tych wyjątków różnych — najróżnorodniejszych mamy cały legion, ten legion wyciąga ręce do światła, woła o przynależne miejsce w społeczeństwie, nie chce poświęcać się, tylko żyć własném życiem, i zwiększa się z każdym rokiem, niemal z każdym dniem. Czy tak lepiéj—nie wiem, ale świat już się z nim liczy i liczyć będzie coraz więcéj, co zaś do panny Zofii, to pani ma słuszność, że ona nie jest szczęśliwa i że byłaby szczęśliwsza, gdyby miała usposobienie panny Maryi naprzykład. Ona może urodziła się zawcześnie. Chciałaby żyć samodzielnie, czuć się pożyteczném kółkiem w wielkiéj, społecznéj maszynie, robić coś, wiedzieć jednem słowem po co żyje. Dzisiejsze społeczeństwo może jéj tylko powiedzieć: pracować nie potrzebujesz, bo masz na życie próżniacze, więc wyjdź za mąż, spełnij zadanie właściwe kobiecie i żyj ideałami twego męża;—ale panna Zofia chce miéć inny cel w życiu, według niéj piękniejszy i chce żyć własnemi ideałami, a że jéj nie wskazywano żadnych, pragnie je sobie stworzyć sama, bo wrodzona inteligencya i spory już zasób wiedzy, zrobiły z niéj istotę myślącą.

Pani Adela uśmiechnęła się z przymusem.

— Jeżeli pan przyznajesz człowieczeństwo tylko takim kobiétom jak Zosia, to smutne. Takich jest bardzo niewiele, ogół kobiét myśli i postępuje tak, jak ja.

Leon zaczerwienił się, zerwał z krzesła poczém usiadł znowu i począł mówić szybko i z przejęciem.

— Ogół jest taki jak pani?—Ależ mnie się zdaje, że ogół kobiét jest gadatliwy, bezmyślny i niewolniczo przywiązany do odwiecznego jarzma, że gdyby był podobny do pani, gdyby miał anielskie serca i anielskie skrzydła u ramion, na ziemi byłby raj, kobiéty nie dobijałyby się o równość z nami, stałyby wyżéj, a my klęczelibyśmy przed niemi jak przed świętościami! Pani należysz do wyjątków, — mówiąc o kobiétach nie miałem na myśli aniołów, lecz ludzi, a wśród bezmyślnego tłumu, panna Zofia jest, zdaje mi się, typem dodatnim, ale typem który przy obecnych warunkach, nie jest jeszcze na czasie. Późniéj te warunki muszą się zmienić, w jaki sposób—nie wiem, bo nigdy nie zajmowałem się tą kwestyą i nie mogę miéć wyrobionego zdania, w każdym razie przypuszczam że tak jak jest, zostać nie może. Kobiéty nie mogą wyjść za mąż wszystkie, bo jest ich więcéj niż mężczyzn; z tych które żyją samotnie nie każda by umiała i chciała żyć tylko ofiarą i poświęceniem jak pani, dla nich więc przyszłość musi coś obmyśléć, bo inaczéj wytworzy się a nawet już się wytworzyła cała kasta malkontentek, nie tylko takich jak panna Zofia, ale malkontentek umiérających z głodu.

Pani Adela patrzyła z przyjemnością na jego twarz ożywioną i oczy pełne błysków, a gdy urwał, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— No widzisz pan! — ja nie mam pretensyi do rozumu, rządzę się tylko sercem, a ostatecznie wydało się, że miałam racyą. Czy Zosia jest typem na czasie, czy téż przedwczesnym, nie zastanawiałam się, ale czułam że takie usposobienie nie uszczęśliwi ani jéj saméj, ani tych którzy będą z nią żyli.

Sam nie wiem czemu, cała ta rozmowa robiła mi przykrość! Zdawało mi się, że byłbym niesprawiedliwym, gdybym posądzał panią Adelę o chęć umyślnego dyskredytowania Zosi wobec Leona, przypuszczałem, że była daleką od takiéj myśli; ale pomimo to, po ostatnich słowach, uczułem do niéj żal, przysunąłem się z krzesłem bliżéj i postanowiłem stanąć w obronie sympatycznego dla mnie dziecka.

— Pani przypuszczasz—zacząłem—że panna Zofia nie uszczęśliwi tych, z którymi żyć będzie? Ja sądzę inaczéj. Jeśli taka kobiéta spotka na swéj drodze człowieka, posiadającego takież same jak ona ideały, zapomni o dzisiejszych mrzonkach, będzie szczęśliwa sama, a jemu da takie szczęście, jakiém nie obdarzyłaby go żadna inna, z najbielszemi nawet skrzydłami. A przytém, zkąd można wiedziéć, że i ona nie ma swoich skrzydeł, że ich nie ukrywa, że gdy pokocha,

nie rozwinie ich i nie okaże się zdolną do wielkich nawet ofiar i poświęceń?

Pani Adela zarumieniła się nieznacznie, Leon słuchał z uwagą, a gdy umilkłem na chwilę, szepnął:

— To jest bardzo możliwe i ja także już o tém myślałem.

— A widzisz! Kto tak gra, musi mieć w sobie skarby uczuć i delikatności. Ja posądzam ją, że ona spostrzegła denerwujący wpływ swojéj muzyki na ciebie i że tylko dla tego nie grywa teraz rzeczy które lubiła najwięcéj. I posądzam ją, iż tylko dla tego zajmuje cię poważną rozmową i budzi cię nią z apatyi, że intuicyjnie odgaduje twój obecny stan i czuje, iż trzeba cię z niego wyrwać koniecznie. Tak, ja sądzę że takie kobiéty mogą być nieszczęśliwe same, ale nigdy nikogo nie unieszczęśliwią. Prawdziwie dobrego serca nie zagłuszy żadna nauka.

Pani Adela siedziała spokojnie, milczała chwilę, jak gdyby rozważając wypowiedziane przezemnie zdanie, a potem podniosła swoje dobre oczy i rzekła uśmiechając się łagodnie.

— Ja nie jestem psychologiem i bardzo być może, że pan masz racyą, bo Zosia ma rzeczywiście złote serce, jeżeli jednakże ma być nieszczęśliwą, toż byłoby lepiéj, gdyby była mniej rozumną.

Stopniałem pod tém słodkiém spojrzeniem i pełen wewnętrznéj skruchy, poniosłem jéj rękę do ust.

— Masz pani słuszność zupełną, jak zresztą zawsze, a ja niegodziwiec, zaprzeczałem ci tylko ot tak, na przekór, jako stary maruda.

Rozpromieniła się, bardzo zadowolona i spojrzała na Leona. Ale Leon nic już nie słyszał ani widział, tylko pogrążył się znowu w ponurych myślach. Pani Adela popatrzyła na mnie, potém znowu na niego, wreszcie dotknęła się delikatnie jego ręki. Wstrząsnął się i spojrzał na nią nieprzytomnie.

— Czy to ładnie tak się zamyślać?—czy to ładnie martwić nas?

— Masz! dobrze ci! — zawołałem śmiejąc się z jego wystraszonych oczu.—Niech że mu pani da burę, tylko porządną.

A Leon uśmiechnął się także, ale z przymusem.

— Ja właśnie myślałem nad tém — zaczął — że tyle tu doznaję serca, że wszystkie panie jesteście dla mnie tak dobre, że przypuszczenie pana mecenasa co do panny Zofii jest bardzo możliwém, a ja nie umiem być takim, jakim chciałbym być sam i jakim panie chciałybyście mię widzieć. To jest zadziwiające, co się zemną dzieje! Siły mi wracają, a strach przed czekającą mię pracą, wzmaga się w stosunku prostym do tychże sił. Zkąd ja mogę mieć humor, kiedy sama myśl

o mojém niedołęstwie duchowém, doprowadza mię do takiéj wściekłości, że chwilami z przyjemnością palnąłbym sobie w łeb...

— Bój się Boga, chłopcze, co ty wygadujesz? — przerwałem mu oburzony. — Ależ twoja dawna energia i miłość pracy wrócą ci, tylko nie prędzéj aż będziesz zupełnie zdrów. A przytém licz że się z wpływem tego oderwanego życia, które tu prowadzimy! Człowiek gnuśnieje, leniwieje, rzeczywiście nie żyje lecz wegetuje i to właśnie prawdziwa kuracya i prawdziwy odpoczynek. Ja także czuję się teraz zupełnie niezdatnym do pracy, ale głową o mur nie biję, bo wiem, że jak będę musiał, to będę robił. Gdybyś chciał nam wierzyć, nie martwił się swoim stanem i poddał mu się zupełnie, zdrowie wracałoby ci jeszcze prędzéj. Z apatyi otrząśniesz się odrazu, gdy się zobaczysz w wagonie i powiész sobie: wracam.

— Pan mecenas ma racyą — wtrąciła Adela. — Zkąd w takim Meranie można mieć energię, kiedy tu nie ma żadnych po temu bodźców, a przeciwnie wszystko się składa na uśpienie, a raczéj na jakieś ukołysanie ducha? Pan nie straciłeś dawnéj siły, ona nie zanikła, tylko drzémie, niech więc drzémie jak najdłużéj, boć to ona przyprawiła pana o chorobę.

I miała pani Adela słuszność. Moralne siły Leona drzémały tylko, a on i my wszyscy, przekonaliśmy się o tém prędzéj, niż można było przypuszczać.

Nazajutrz była niedziela, ale niedziela w Meranie tem tylko różni się od dni powszednich, że na ulicach i promenadzie całe rano spotyka się gromadki okolicznych Tyrolczyków i Tyrolek, przybranych w barwne stroje miejscowe, grupujących się najchętniéj koło Curhausu i z ciekawością przyglądających się strojnym kuracyuszom, po południu zaś, przez ulice ciągną rozśpiewane procesye mężczyzn, kobiét i dziewcząt.

Pogoda dopisywała stale, niebo było bez skazy, ale drzewa, krzewy i winnice, poczęły już przywdziewać coraz bogatsze i coraz barwniejsze szaty jesienne.

Obadwaj z Ruszczycem dążyliśmy promenadą w stronę Parvy i obadwaj milczeliśmy. Dopędził nas Włastowicz.

— Uważam — zaczął podając nam rękę — że panowie bez żadnych zastrzeżeń przyznajecie prawdziwość zasadzie: milczenie jest złotem. Idę za wami dobry kwadrans i nie usłyszałem jeszcze ani jednéj sylaby.

— Mój kolega, jak zwykle, zatonął w myślach o pani Adeli — rzekł Ruszczyc z uśmiechem—nie chciałem mu przeszkadzać.

— Zgadłeś—przyznałem mu szczerze — to jest rzeczywiście dziwna kobiéta. Bodaj zdecydowałbym się sam chorować, byle tylko módz przyjrzéć się jéj postępowaniu. Co ją do tego popycha? chęć zjednania sobie poklasku czy téż tylko serce? Ot w czém zagadka.

— Ja myślę, że w takich razach tylko serce—zauważył Ruszczyc —doglądanie chorych i dogadzanie wszystkim, to jest namiętność, a jeśli nie wierzysz, zachoruj i przenieś się do Parvy; tylko lepiéj możeby było dla ciebie, gdybyś zamiast łysiny posiadał lwią grzywę Krzyckiego.

Spojrzałem na niego z wyrzutem.

— Jeżeli wierzysz w jéj serce, nie masz prawa posądzać jéj o coś podobnego, zwłaszcza, że ona rzeczywiście jest jednakowa dla wszystkich.

Ale Włastowicz roześmiał się i rzekł:

— At, zawsze przyjemniéj patrzéć na ładnego, niż naprzykład na takiego melona jak Jałbrzykiewicz. Martynoff wścieka się, zatém nietylko pan Ruszczyc miéwa świętokradzkie myśli.

— Martynoff jest osioł czyli zakochany, co na jedno wychodzi.

Litwin zaczerwienił się, ale odparł łagodnie.

— A tak, takiemu tłomacz a z wilkiem pacierz mów, to jedno.

— Alboż pan rozmawiałeś z nim w téj kwestyi? — zapytałem ciekawie.

— A rozmawiałem, powiedział mi wczoraj, że pani Adela kocha się w Leonie, a Leon w pani Adeli.

Ruszczyc machnął ręką lekceważąco, ale ja uczułem w sobie pewien niepokój i zacząłem niecierpliwie.

— Wy bo wszyscy pofiksowaliście tu na punkcie miłości. Próżnujecie i z nudów wmawiacie w siebie najróżniejsze głupstwa. Niby to leczycie się, a rzeczywiście uprawiacie flirt — czy jak go tam, wytwarzacie sobie urojone zmartwienia i hodujecie sztuczne uczucia, jak ablegry pod szkłem.

Byłem zły. Ruszczyc spojrzał na mnie badawczo, ale nie rzekł nic, a Włastowicz westchnął.

— Oj, żeby to tylko sztuczne — człowiek możeby się otrząsnął — chociaż, trochę w tém prawdy, co pan mówisz. Przy robocie prędzéj zapomniałoby się o tém co boli, tu za wiele wolnego czasu na przejadanie własnych uczuć.

Poczęliśmy schodzić z promenady do ogrodu Parvy. Na tarasie było cicho, ale nie pusto. Pod latanią Leon i Zosia przeglądali jakąś książkę i rozmawiali półgłosem, Julka siedziała opodal i szyła coś przy sukience Jani, dziecko siedziało u jéj nóg wśród stosu różnobar-

wnych gałganków i bawiło się wielką lalką, we drzwiach stał Martynoff, a z saloniku dochodził śpiew Maryni.

— Martynoff wygląda jak gdyby tylko co wrócił z własnego pogrzebu — szepnął mi do ucha Litwin.

Wszedłem na taras pierwszy i zdejmując kapelusz zawołałem głośno:

— Dzień dobry szanownemu zgromadzeniu! — Tworzycie państwo tak piękny obrazek, że tylko malować!

— To prawda — potwierdził Włastowicz — tylko gdybym ja był malarzem, zrobiłbym obrazków trzy. Pani Julia z Janią, nosiłaby tytuł szczęścia rodzinnego — panna Zofia i pan Leon młodości i miłości — pan Martynoff zaś, ilustrowałby rospacz.

Zosia zarumieniła się i odeszła od Leona. Ruszczyc powitawszy wszystkich zniknął we drzwiach saloniku, Martynoff zaś spojrzał niechętnie na Litwina i wolnym krokiem zeszedł do ogrodu, ze stałym zamiarem mierzenia go wzdłuż i wszerz.

Zbliżyłem się do Julki.

— A gdzież pani Adela?

— Wyszła do kościoła, ale zaraz wróci i pójdziemy na Winkelweg.

— Otóż to przynajmniéj, nie tak jak my bezbożniki, albo szanowna pani dobrodziejka.

— Ja? — obruszyła się Julka — ależ mnie nie wolno chodzić do kościoła, bo tam zimno.

— Tak, ale pani gwałci dzień Boży, szyje przy świętéj niedzieli.

Roześmiała się.

— Nie miałam wczoraj czasu, a Jania nie ma sukienki na dzisiaj.

Pokiwałem głową.

— Dobry Boże! w Meranie nie ma czasu! Nie, to jest rzeczywiście charakterystyczne i pani masz zupełną racyę. Przy tém pracowitém próżnowaniu, *de facto* na nic nie ma czasu.

Wtém śpiew Maryni ucichł, Zosia zniknęła z tarasu, a po chwili z saloniku doleciała nas gwarna rozmowa i wesoły śmiech.

— Oho, panny już dostały pana Ruszczyca i ręczę, że bawią się nieszczęściem biednego Martynoffa — uśmiechnęła się Julka.

— A bo téż wygląda, jakby się mydła najadł. Co mu się stało? — zapytał Włastowicz.

— Chciał także być pobożnym, ale Adelcia boi się wszelkich pozorów i nie pozwoliła mu iść z sobą.

Litwin popatrzył w ogród.

— Miała racyę. Meran lubi plotki, więc pocóż się narażać.

— Ee — głupstwo! Nikt nas tu nie zna.

— Co? nikt pań tutaj nie zna? Ależ nie dawniéj, jak wczoraj, Jałbrzykiewicz prosił pana Ruszczyca o łaskawe przedstawienie go paniom. Nam wszystkim bardzo często stawiają podobne propozycye, a już co najczęściéj to Martynoff'owi.

Julka się roześmiała.

— No, ci trafiają najlepiéj. Biedne Rumunisko! On by ją chętnie wsadził pod próżny klosz, żeby nietylko ludzie, ale nawet powietrze nie miało do niéj przystępu. Mnie co prawda aż nieraz żal patrzéć na niego!

— Tak, zapewne, — odezwałem się — ale cóż pani Adela temu winna?

— Ja też tego nie mówię, choć może lepiéj byłoby, gdyby od razu pozbawiła go wszelkich złudzeń, tylko — zdaje mi się, że ona się go boi, a jeszcze więcéj boi się skandalu.

Litwin wzruszył ramionami.

— Cóżby on biedaczysko mógł za skandal zrobić?

— Właśnie! ja jéj powtarzam to samo, ale ona jest pod tym względem trochę dziecinna i nadzwyczaj wiele robi sobie z tego, coby ludzie mogli powiedziéć, coby mogli pomyśléć i tam daléj — ot dziwactwo!

Umilkła, bo na taras wbiegły panny z listami w ręku, a za niemi weszła pani Adela także z listem.

— Panie Leonie, mam dla pana coś, ale tym razem nie z Warszawy!

Leon rzucił książkę trzymaną w ręku i zbliżył się do niéj.

— To od kolegi, ale skądżeż on pisze? — marki niemieckie...

Rozerwał kopertę i stojąc czytał, panie zatonęły w swoich listach, ja przyglądałem się z przyjemnością wysmukłéj postaci Leona i jego ożywionéj twarzy. List był krótki, ale ważne musiał przynosić wieści, bo chłopak bladł i czerwienił się naprzemian, a gdy skończył, energicznym ruchem odrzucił z czoła czuprynę i zawołał głośno:

— Czy wiecie państwo co mi ten list przynosi? Oto nowinę i taką nowinę, która wstrząśnie całym światem! Nie ma suchot! Koch wynalazł przeciw nim środek, w Berlinie odbywają się próby i gwałt tam taki, jak gdyby świat się zapadł.

Otoczyliśmy go wszyscy.

— Jak? co? jakim sposobem?

— Nic nie wiem! Mego kolegę wysłali z Warszawy, by na miejscu rozpatrzył się w téj sprawie. Pisze, że po całych dniach siedzi

w szpitalu, że nie ma chwilki czasu, że posyła mi całą plikę gazet i sprawozdań, abym się w nich rozpatrzył, bo on nie jest w stanie rozpisywać się obszerniéj. A ja tu siedzę i nic, nic nie wiem! Gdybym był zdrów, byliby wysłali mnie, albo bylibyśmy pojechali razem...

Staliśmy wszyscy ogłuszeni wieścią i całym potokiem słów, szybko wyrzucanych przez Leona, a on latał tymczasem po tarasie jak nieprzytomny. Naraz zawołał:

— Pojadę! Tak, pojadę jutro, pojutrze już będę siedział w szpitalu i dowiem się wszystkiego sam!

Stanąłem przed nim naprawdę zatrwożony.

— Jesteś waryat! ja ci jechać nie dam i kwita. Jeśli próby się powiodą, toż chyba ten środek cudowny najprędzéj przywędruje tu, do Meranu, do kraju suchotników, będziesz sobie wtenczas badał ile zechcesz.

A pani Adela się śmiała.

— Panie Leonie, coś ten zapał do nauki i pracy, o który martwiłeś się pan od rana do nocy, zbudził się dość prędko i dość gwałtownie? Czy jesteś pan z siebie zadowolonym?

— Ale bo pani nie wiész, gruźlica to moja słaba strona, marzyłem, że sam wynajdę przeciwko niéj środek i ot! mamy ten środek! Cóż to za geniusz! co to za głowa! Ludzkość nie Newtonom, nie Keplerom powinna stawiać pomniki — jéj prawdziwymi dobroczyńcami będą tacy jak Pasteur i Koch, z całą plejadą Nenckich, Behringów, Klebsów i innych!

— Eh! co téż pan mówisz? — wtrąciła Marynia — już jabym wolała być Newtonem niż Kochem — to darmo!

— Tak pani sądzisz? — a ja myślę, że gdyby Newton zobaczył raz i drugi młodą dziewczynę, jedyną córkę u matki, umierającą na suchoty, gdyby widział, ile ta straszna choroba zabiera geniuszów w kwiecie wieku, gdyby słyszał straszne rzężenia wydobywające się z piersi dziecka, umierającego na błonicę i spotkał się z jego wzrokiem, pełnym niemej skargi i wyrzutu, oddałby wszystkie swoje odkrycia za jedno takie, jakiego teraz dokonał Koch i jakich, da Pan Bóg dokonamy więcéj.

Od Leona bił zapał i wielka siła. Zosia wpatrzyła się weń, jak w tęczę, a gdy skończył, zawołała pełna zachwytu:

— Prawda! prawda! ja także wolałabym być Kochem niż Newtonem!

— Wszystko to pięknie, ale ja znów poradziłabym teraz uspokoić się trochę, zwłaszcza panu Leonowi i iść na spacer — resztę omówimy w drodze — zauważyła pani Adela.

Poparłem ją gorąco w obawie, by cała ta awantura nie wpłynęła źle na zdrowie Krzyckiego. Poczęliśmy się zbierać.

— Jania tyz!

Roześmieliśmy się wszyscy, a dzieciak przypomniawszy obecnym o istnieniu swéj poważnéj osoby, zbierał pośpiesznie rozrzucone gałganki.

— Jania zostanie! — odezwał się z powagą Ruszczyc.

Ale mała rzuciła mu przez ramię pogardliwe: — Bzidki pan! — i potoczyła się za matką.

Spacer na Winkelweg, była to wycieczka dość uciążliwa, ale jedna z bliższych. Minęliśmy Curhaus i most i poczęliśmy się wspinać na przeciwległy brzeg rzeki. Droga była wygodna i szeroka, ale wiła się w górę jak grajcarek. Pani Adela nie odstępowała Leona, uważała by się nie męczył zanadto, i stawała często by mógł odpocząć, lecz on tak był pochłonięty przez nowe myśli, że nie wiedział ani co się z nim dzieje, ani gdzie go prowadzą. Pierwsza wydostała się na górę Julka. Zarumieniona, zmęczona, odwróciła się do nas i zawołała z tryumfem:

— A co? nie wstyd wam, że ja jestem pierwsza?

— Już ja się będę wstydził, tylko niech pani codzień tak wygląda jak dzisiaj, — mówiłem sapiąc i z wysiłkiem podążając za Włastowiczem — kolory, humor, aż miło!

Litwin kaszlał, oddychał ciężko, ale szedł wytrwale i Janię za rączkę prowadził. Postępowaliśmy teraz szeroką drogą, wiodącą nas między dwoma szeregami willi, poprostu tonących w szkarłacie, złocie i zieleni. Naraz, szereg się urwał i odsłonił skłon góry, pokryty winnicami i spływający łagodnie do łąk, podobnych do olbrzymiego szmatu ciemno-zielonego sukna. Widnokrąg zamykał łańcuch gór, poszarpanych, poprzerzynanych ciemnemi wąwozami, gdzieniegdzie pokrytych lasem, gdzieniegdzie błyszczących w słońcu nagim granitem — jak stal. Tęskne dźwięki klekotów dolatywały od łąk, na których odrzynały się jasnemi plamami całe stada krów, wlewających życie w cichy krajobraz.

Stanęliśmy zapatrzeni i zasłuchani.

— Co za wspaniały widok!

Siedliśmy na ławkach w pełnem słońcu.

— Mój koleżka — odezwał się Ruszczyc — obdarzy nas teraz wykładem o naturze i sztuce.

— Drwij sobie, drwij, ale że tego nic nie zastąpi, chyba muzyka panny Zofii, to fakt.

Na drodze podniósł się tuman kurzu, a po chwili ujrzeliśmy elegancki amerykan, zaprzężony w parę dzielnych kasztanów. Na wyso-

kim koźle siedział Jałbrzykiewicz w jasnym garniturze i powoził z fantazyą wiedeńskiego dorożkarza, obok niego młoda kobiéta w szaréj, angielskiéj sukni, śmiała się i próbowała odebrać mu lejce. Gdy wesoła para zrównała się z nami, Jałbrzykiewicz ściągnął lejce, począł jechać stępa i skłonił się kapeluszem. Przyglądaliśmy się ciekawie, młoda kobieta obrzuciła wzrokiem nasze towarzyszki. Jałbrzykiewicz utkwił bezmyślne oczy w panią Adelę i poruszył grubemi wargami, jak głodny na widok befsztyku z polędwicy.

— Jak ona skromnie i dystyngowanie wygląda! — zauważyła Julka, gdy amerykan, wesoła para i dzielne kasztany, zniknęły nam z oczu na zakręcie drogi.

— Rzeczywiście!— dorzuciła półgłosem zamyślona pani Adela— nie wiedząc, trudno byłoby się domyśleć, z jak nizkich sfer podniósł ją na swój amerykan pan Jałbrzykiewicz.

Włastowicz uśmiechnął się i zaczął mówić zniżonym głosem:

— To nietylko jego zasługa, on je obie poznał już jako baletnice i odegrał rolę tylko mecenasa sztuki choreograficznéj.

— Czy prawda, że wynajął całą willę Iris, trzyma ośm koni i wydaje bale? — zapytała ciekawie pani Adela.

— Najprawdziwsza prawda. Cudzoziemki nie są wybredne w doborze towarzystwa, więc bale cieszą się nawet powodzeniem.

Julka kiwała jasną głową.

— I pomyśléć, że to Polak! Czy państwo wiecie, że on jest z naszych stron? Odziedziczył po stryju ogromne dobra na Żmudzi, a trzy razy tyle jeszcze odziedziczy po matce w Lubelskiém i na Litwie. My go nie znamy, bo przeważnie siedzi w Warszawie, albo za granicą, ale ogólnie mówią, że ma być bardzo mało inteligentny.

— O! toż to widać — zauważył Włastowicz — musi być głupi idealnie — jak karp!

Umilkliśmy. Marynia siedziała ze spuszczonemi oczyma, a Zosia zapatrzona w szczyty Alp, rzuciła pytanie, które zwróciło na nią wszystkie oczy.

— Co się téż z niemi stanie późniéj?

Ruszczyc poruszył się niecierpliwie.

— Z kim? z temi paniami? — zapytał. — Dzieci nie powinny myśléć o takich rzeczach.

— Nie powinny? — dlaczego? — Myśli zgnieść nie można, a ja prócz tego nie jestem dzieckiem i tych pań mi żal. Co one zrobią, jeśli znów zostaną same — bez chleba?

— Do ciebie nie przyjdą po radę, — zwróciła się do niéj z niezadowoleniem pani Adela — nie powinno się marnować współczucia dla tego rodzaju kobiet.

Zosia zaczerwieniła się.

— I ty to mówisz, Adelko? ty taka dobra dla wszystkich i przebaczająca? Wczoraj mówiłaś inaczéj.

— Bo mówiłam o kobiétach z naszych sfer, o takich, które bezinteresownie poświęcają wszystko, a mają wzamian pogardę społeczeństwa. Ja takim przebaczam i takim powinni przebaczać wszyscy.

Zosia zamyśliła się.

— A ja myślę, że takim nic już nie przyjdzie z przebaczenia innych, bo one rozumieją, co jest złe, a co dobre i same sobie nie przebaczą nigdy. Pogardy dla samego siebie nie wydrzesz z duszy, tak, jak nie wskrzesisz zabitego i to musi być straszne pomyśléć, że gdy przyjdzie rozwaga, nie można się już cofnąć i nie można być tém, czém się było, za żadne skarby, za cały świat. Na taką ranę nie ma środka, na raka zaś toczącego te warstwy, które nie mają jasnego pojęcia o złém i dobrém, a za jedynego doradcę mają nędzę, na takiego raka, przebaczenie i pomocna ręka, byłyby skutecznym środkiem. Gdyby ludzie, zamiast odpychać, zajęli się losem i umoralnieniem takich nieszczęśliwych istot, one mogłyby być jeszcze nietylko uczciwemi, ale i szczęśliwemi kobietami.

Julka spojrzała na dziewczynę życzliwie.

— Masz racyę, Zochno, ale nie myśl o takich rzeczach.

— Dlaczego, proszę cię? — I panny nie powinny rządzić się fałszywą skromnością, lecz powinny znać smutne strony życia, aby wiedziały, kiedy potępiać i pogardzać, a kiedy współczuć i przebaczać.

Leon patrzył na nią z podziwem, a gdy umilkła zawołał z zachwytem:

— Panno Zofio! pani mówisz takie wielkie prawdy, że i w ewangelii nie ma większych!

A Zosia zmieszała się pod jego błyszczącym wzrokiem i szepnęła zarumieniona:

— Bo też to z ewangelii czerpane, mnie wychowano na ewangelii, tylko, że już trochę z tego pogubiłam po świecie, sama nie wiem kiedy...

Ruszczyc patrzył na nich z jakimś dziwnym wyrazem w oczach, a pani Adela była widocznie niezadowolona.

— Radziłabym — odezwała się z odrobiną niecierpliwości w głosie—zaprzestać już dysput i iść daléj. Odpoczynek przeciągnął się coś zanadto długo, dzięki p. Jałbrzykiewiczowi *et Comp.*

— W takim razie jestem mu szczerze wdzięczny, bo nam tutaj dobrze — zauważyłem, z żalem myśląc o wygodnéj ławce, słońcu i mi-

łém *farniente*, które pani Adela chciała tak lekkomyślnie porzucać dla uciążliwego spaceru.

— Tak? to ja zostanę z panem — odezwała się Zosia.

— I ja także — dodała Marynia.

— Jania tyz!

Mała wyrwała rączkę Władstowiczowi i wpadła w otwarte ramiona Zosi.

— Pan Leon też z nami, nieprawdaż? — zwróciła się do niego Marynia. — Pan już masz i tak dosyć tego spaceru.

Leon spojrzał na panią Adelę, ale pani Adela patrzyła w inną stronę.

— Tak, może i lepiéj, żebym został — zaczął niepewnym głosem i siadł.

A Marynia nachyliła mi się do ucha i szepnęła:

— Adelcia zła.

— A toż czego?

— Oho! ja wiem. Adelcia lubi być królową, lubi miéć w swém królestwie dużo dusz, a my tu przez ten czas możemy zbuntować taką jedną duszyczkę, czyli inaczéj mówiąc, nawrócić na inną wiarę.

Patrzyłem na nią zdziwiony i nic nie rozumiałem, a ona wydęła wzgardliwie usta i wzruszyła ramionami.

— Eh! pan tego nie rozumiész! na to trzeba miéć kobiecy rozum.

Uśmiechnąłem się, a Ruszczyc tymczasem stał niepewny, nerwowo kręcił wąsa, wreszcie odwrócił się i poszedł za oddalającém się zwolna towarzystwem. Zosia westchnęła.

— Panu Ruszczycowi coś jest, Adelcia także jakaś nieswoja, a mnie zaraz się zdaje, że coś złego wisi w powietrzu.

Marynia wzruszyła ramionami.

— At! coby tam miało wisiéć! zresztą gdyby i wisiało, to nie utonie — powiedziałby pan Władstowicz; co zaś do pana Ruszczyca, to ja wiem co mu jest, ale nie powiem.

Zosia spojrzała na nią pytająco.

— Nie patrz, nie, bo nie powiem. Pyszną miałeś pan myśl, panie mecenasie, doskonale nam tutaj, nie prawdaż panie Leonie?

— Tak, ja byłem już trochę zmęczony.

— No, widzisz pan, tu sobie posiedzimy cicho, odpoczniemy i zobaczymy jak mrok pada na łąki — to jest coś prześlicznego!

Umilkliśmy, rozkoszując się ciepłem jak jaszczurki, ale po chwili Marynia przerwała milczenie, klaszcząc w ręce i wołając:

— Aha! pan Ruszczyc wraca.

Ruszczyc wracał rzeczywiście, szedł wolno i podbijał laską kamyki leżące na drodze.

— Otóż to! jakoś towarzystwo Adelci nie wystarczyło, zatęsknił pan do nas — śmiała się do niego Marynia.

Na to Ruszczyc:

— Coś pan Julian prawdę napisał o owéj zarozumiałości młodego wieku!

— Aha, pewno, zarozumiałość zarozumiałością, a powrót powrotem.

— Tylko tym razem omyliłaś się pani. Wróciłem dlatego, że te panie zapędziły się dziś strasznie daleko, a ja niezupełnie dobrze się czuję.

Marynia spoważniała, a Zosia spojrzała na niego z niepokojem. I ona wyglądała dziś blado, oczy miała podkrążone, a na skroniach sieć błękitnawych żyłek. Jania siedziała u niéj na kolanach i miała wielką ochotę zasnąć.

— Możebyś ty robaku przesiadła się do mnie — odezwałem się wyciągając do niéj ręce.

— Nie, Jania u cioci.

— Kiedy ciocia zmęczona — ty zresztą cioci nie kochasz.

— E plawda! Jania kocha.

— Co téż ty pleciesz! téj cioci nikt nie kocha.

Popatrzyła na mnie uważnie, zamyśliła się i nagle zawołała z tryumfem:

— A pan Luscyc?

Marynia i Leon wybuchnęli śmiechem, a ja mimowoli spojrzałem na Ruszczyca i Zosię. Ona uśmiechała się swobodnie i patrzyła na niego jakby z wdzięcznością, ale on tego wzroku nie mógł wytrzymać i głowę odwrócił.

— Pociąg! — zawołał, wyciągając rękę w kierunku szarzejącego przed nami pasma gór.

W milczeniu zwróciliśmy oczy w stronę jego wyciągniętéj ręki. Słońce padało już ukośnie i rzucało na podnóża gór długie, błękitne cienie. Na łąki spływał mrok, klekoty dźwięczały żałośnie, cała natura wydawała się jakby zasłuchana — bez oddechu i było coraz ciszéj, coraz ciemniéj i coraz uroczéj. U podnóża gór biegł tor kolejowy szarą, wązką taśmą, a po nim mknął pociąg i znaczył powietrzną drogę jasnym obłokiem dymu. Ścigaliśmy go wzrokiem wszyscy, a on wił się jak wąż razem ze skrętami szarego toru, aż wpadł za ostatni szczyt i zniknął. Chwilkę szarzała jeszcze biała smuga dymu, ale i tą

rozwiała się w przestrzeni, a na cichą ziemię poczęła spływać coraz większa, przejrzysta, błękitna zaduma.

Zosia westchnęła.

— Gdy patrzę na taki uciekający pociąg, zawsze przejmuje mię smutek, jak wobec czegoś, co chciałoby się zatrzymać, a nie można.

Z trudnością oderwałem oczy od czarów rzuconych mi pod stopy i zwróciłem się do dziewczyny.

— Skąd u pani takie myśli? Za moich czasów, ludzie w tym wieku umieli się tylko śmiać, — pani co się odezwiesz, to jak rabin.

— I ja śmiałam się dawniéj, ale przestałam gdy nauczyłam się patrzéć i myśléć. Chciałabym, żeby i Julek zmienił się wreszcie, żeby był naprzykład taki, jak pan Leon, ale takim on nigdy nie będzie...

Leon zwrócił na nią pytające oczy.

— Pan Julian jest podobno bardzo wesoły, takim najłatwiéj o szczęście, dlaczegóż pani chcesz robić z niego takiego książkowego mola, jak ja?

— Pan przedewszystkiém jesteś człowiekiem, — odparła — a mój Julek jest do téj pory niczém. Krótko jeszcze żyję, ale doszłam już do przekonania, że nie wiele jest ludzi na świecie i to jest smutne.

— Dla pani nic jeszcze nie powinno wydawać się smutném — rzucił Ruszczyc chmurnie. — Komuż wierzyć w ludzi i w szczęście, jeśli nie młodym, którzy nie nauczyli się jeszcze wątpić?

— Nie nauczyli się? — na ustach Zosi, prawie dziecinnych, ukazał się gorzki uśmiech — alboż dzisiejsze pokolenie nie rodzi się już z zarazkiem smutku w sercach? Ledwie zaczyna myśléć, już wątpi i nie próbuje nawet gonić za szczęściem, bo wié, że to mara. W duszach chmurno, mroczno i zimno, nie ma ideałów, bo je zduszono, — nie ma wiary, bo w cóż wierzyć, gdy zabrakło sprawiedliwości — i celu nie ma, bo piéniądz to za lichy cel dla tych, co mają duszę i — pamięć.

Leon się zerwał.

— Nie masz pani racyi! nie! Są ludzie, którzy mają i ideały i wiarę i cel, są — wierzaj mi pani i jest ich nawet dużo i do tego młodych!

— Oh! pan o tém nie możesz sądzić — przerwała mu dziewczyna — pan jesteś wyjątkiem, apostołem, takich niewielu!

— Niewielu? Ależ całe młode i myślące pokolenie jest takie, — my wiemy do czego dążymy, my wiemy, czego chcemy — starzy stracili już wiarę, ale ona w nas odżyła i już nie umrze.

Zosia patrzyła nań oczami pełnemi podziwu, a Ruszczyc rzucił krótko:

— Pan Leon ma racyę.

— Ma racyę? — powtórzyła jak echo — a ja jednakże znałam innych ludzi, a przytém, przecież sama jestem człowiekiem, i nie wiem po co żyję, do czego mam dążyć, czego pragnąć?

— A wié pani co, panno Zofio? — odezwałem się patrząc na nią z uśmiechem — mnie się zdaje, że gdybyś pani wyszła za mąż i miała na własność takie oto maleństwo, jak Jania, nie pytałabyś po co żyjesz.

Potrząsnęła główką niecierpliwie.

— O! dziecko nie wszystkim jest w stanie zakryć cały świat.

— Zapewne, ale gdybyś pani powiedziała sobie naprzykład: — wychowam mego syna na takiego człowieka jak Leon, i gdyby ci się to wychowanie powiodło... Pani Krzycka jest szczęśliwą i nie pyta po co żyje, wierz mi pani.

Zamyśliła się.

— Bardzo być może, ale jak tu wyjść za mąż, gdy nic w duszy nie mówi: idź, bo to twoje szczęście.

— Nie mówi dziś, to powié jutro.

— A jak nie powié nigdy? Wy wszyscy mówicie zawsze jedno w kółko, każecie nam wciąż czekać i nie zastanawiacie się, że jeżeli wam sama miłość nie wystarcza, dlaczegóż ma wystarczać kobietom? Wy uczycie się i pracujecie, a choć ta praca często marnuje się i daje nie wiele, ta trocha jest waszym celem. Miłość, to tylko *intermezzo* w życiu mężczyzny, dlaczegóż więc dla nas ma być wszystkiém? dlaczego jeśli nas zawiedzie, lub nie zbudzi się wcale, my nie mamy miéć innego celu w życiu?

— Ale i owszem, możecie miéć panie — przerwał jéj Leon. — Albož mało już mamy przykładów dzielności kobiet? Dziś to jeszcze naturalnie wyjątki, a w sferze, w któréj pani żyjesz, nawet i wyjątków może nie ma, ale przyjdzie prawdopodobnie czas, kiedy zarówno chłopca jak dziewczynę, będą rodzice pytali: — czém chcesz być?

— Tylko i takie rozwiązanie kwestyi — wtrącił Ruszczyc — okaże się prawdopodobnie medalem, o dwóch odwrotnych stronach.

— O! ciekawa jestem coby się téż tak okazać mogło — mężczyznom odbierzemy chléb? a nam co do tego? my także mamy prawo żyć. My byłybyśmy lepsze, gdybyśmy musiały pracować, lepsze i szczęśliwsze.

Marynia wstała.

— No, proponuję koniec, bo Adelcia już idzie i pan Rumun także. O! jakaś rozprawa — może przecie stanowcza.

— Dla niego byłoby lepiéj, gdyby rzeczywiście była stanowcza — szepnęła Zosia i zadrżała lekko.

Ruszczyc podał jéj okrycie.

— Pani chłodno, prawda? Troszkę zapóźniliśmy się, słońce się chowa.

— Już mi ciepło, dziękuję, a teraz niech pan także włoży palto i dobrze je zapnie, o tak.

Uśmiechnęła się do niego i spojrzała mu w oczy.

— Taki pan był dziś jakiś, jakby się pan gniewał, a ja zaraz pomyślałam, że może na mnie.

— Na panią! prędzéj... — zaczął i urwał.

— Śpieszmy się! śpieszmy, bo słońce zachodzi! — wołała zdaleka pani Adela, pozostawiając Martynoff'a i prawie biegnąc. Julka dążyła za nią śpiesznie.

— Spóźniliśmy się, — mówiła — ale państwo powinniście byli iść naprzód, przez wzgląd na pana Leona i Zosię.

Poczęła ubierać Janię i z niepokojem spoglądała co chwila na chylące się słońce. Pani Adela zawijała ciepłym szalem szyję i usta Leona i powtarzała z żalem:

— Jeżeli zachoruje pan Leon albo Zosia, nie daruję tego sobie nigdy. Zosiu! zasłoń sobie usta, Julka także, tak — pan Włastowicz nawet palta nie zapiął, ślicznie, będziesz pan zdrów.

— Chodźmy, chodźmy, — wołali wszyscy — nie dostaniemy obiadu!

I poczęliśmy iść śpiesznie. Jania zachwycona gwarem i zamieszaniem, potoczyła się naprzód, ciągnąc za sobą długą gałąź bluszczu i śpiewając z całego gardła.

A gdy żegnaliśmy panie na stopniach tarasu, szczyty Alp stały w ogniu, ale dolina leżała już w mroku. Słońce majestatycznie staczało się coraz niżéj, oblewało wierzchołki złotem, purpurą, aż zgasło — a cała dolina, stoki gór i ich poszarpane grzbiety, poczęły nasiąkać tonami ciemnego szafiru.

* * *

— Adelcia wyjechała!

— Wyjechała? — jakto, gdzie, kiedy?

— Dziś. — Co się tu wczoraj działo! co się działo! a z panów jak na psotę nie zajrzał żaden.

— Nie mogliśmy, Ruszczyc był nie zdrów, ale przecie Leon, Włastowicz, Martynoff...

— A! pan Martynoff! właśnie!

— No, więc mówcież panie prędzéj i nie bawcie się naszym niepokojem.

Staliśmy z Ruszczycem niepewni i zdziwieni, — przed nami panny, splecione ramionami i przytulone do siebie, siedziały na ławeczce blade i ze śladami łez na pociemniałych powiekach.

— A pani Keszmarowa gdzie? a Leon? czy Włastowicza jeszcze nie ma? — pytał niecierpliwie Ruszczyc.

— Julcia się położyła, bo ją boli głowa, pan Włastowicz poszedł po antipirinę, a pan Leon siedzi w tych książkach, które mu wieczorem przyniesiono z poczty.

— To dobrze, ale co się wczoraj działo i dokąd pani Przygodzka wyjechała?

— Więc ja powiem — zaczęła Marynia, uwalniając się z ramion Zosi i stając przed nami. — Pan Leon był u siebie, Julcia siedziała z Adelcią w salonie, a my z Zosią grałyśmy sobie na cztery ręce. I przyszedł pan Martynoff, a był blady jak płótno. Siedział, siedział, nic nie mówił, potém poszedł na taras i w końcu poprosił Adelcię, żeby także wyszła. Ja byłabym nie poszła za nic w świecie, bo on był jakiś dziwny, ale Adelcia poszła. Rozmawiali może z kwadrans, ale co, nie wiem, naraz usłyszeliśmy strzał i wielki krzyk...

Marynia urwała raptem i rozpłaka się.

— Do kogóż strzelał? do niéj, czy do siebie? — zapytaliśmy z Ruszczycem równocześnie.

— Nie wiadomo — załkała Marynia.

— Jakto nie wiadomo?

— A nie wiadomo, bo żadnego trupa nie było. Wybiegłyśmy wszystkie, pan Leon wyskoczył przez okno. — Adelcia leżała w tym wielkim klombie laurowym, ale nie wiedziałyśmy jeszcze wtedy, umarła, czy tylko zemdlona, a Rumuna już nie było. Pomogłyśmy panu Leonowi i jakoś zaniosłyśmy ją do pokoju. Szczęściem, że to niedziela, w całym domu był tylko ten głuchy Franz, a Adelcia ogromnie się boi, żeby się to nie rozniosło. Przyrzekłyśmy jéj, że nie powiemy nikomu i pan Leon także nas o to prosił.

— I nie powiedziały panie aż nam — zauważyłem z powagą, powstrzymując uśmiech.

— A tak. — Marynia znowu zalała się łzami. — Zostawili nas same, tak nam straszno — i dlatego powiedziałyśmy — ale pan Włastowicz nic nie wié.

— Bardzo słusznie, my zostawimy to przy sobie — tylko, czemuż ani Adela wyjechała?

Wziąłem Marynię za rękę, poprowadziłem ją do ławeczki i usiadłem przy niéj.

— A to znów inna historya. — Dziewczyna otarła oczy i poczęła opowiadać, oddychając ciężko jak spłakane dziecko. — Gdyśmy Adelcię ocucili i uspokoiliśmy się trochę, była może godzina dziesiąta. Ktoś zapukał do drzwi, my zlękłyśmy się, tak, że żadna nie śmiała się ruszyć z krzesła, ale pan Leon poszedł, otworzył drzwi i przyniósł Adelci depeszę. Jakaś jéj kuzynka telegrafowała, że jedzie na Rivierę, ale zachorowała w Weronie, musiała się zatrzymać i prosi, żeby Adelcia przyjechała do niéj na parę dni. Adelcia chodziła po pokoju, myślała długo, wreszcie zadecydowała, że jedzie, bo pan Leon jest już zdrowszy, pan Julian obiecał przyjechać w tych dniach, a ona potrzebuje po doznaném wstrząśnieniu zmienić choćby na parę dni otoczenie, otrząsnąć się i uspokoić.

— Więc wyjechała tylko na parę dni — zauważył Ruszczyc.

— Tak, nie dałyśmy jéj wziąć rzeczy i zabrała tylko ręczny kuferek, ale Julcia jest bardzo zmartwiona i ciągle powtarza, że ona pewno nie wróci, bo do Meranu przyjechała tylko na nasze prośby i namowy.

— Wróci, — szepnęła Zosia — albo pojedzie na Rivierę, to się znowu spotkamy. Ona od czasu śmierci męża nie cierpi Warszawy i mówi, że tu nie wiele więcéj wydaje, aniżeli w domu.

— Czy nic nie wspominała paniom, co było przyczyną gwałtownego postępku Martynoff'a i co on właściwie zrobił?

— Mówiła tylko, że pan Martynoff jest nikczemny, bo zarzucił jéj, że wiedziała o jego uczuciu, że je podniecała nawet i że to jest niepodobieństwo, aby można kochać męża, który od paru już lat leży pod ziemią. Adelcia się obraziła i powiedziała mu, że kłamie, bo ona zawsze i wszystkim mówiła, że za mąż nigdy nie wyjdzie, a wtedy pan Martynoff wpadł w wściekłość, krzyczał, że jéj nie wierzy, że nie pozwoli jéj być nigdy niczyją i różne inne rzeczy — ale do kogo strzelał Adelcia nie wié, bo jak usłyszała huk — zemdlała.

Umilkła, a my spojrzeliśmy na siebie, nie wiele rozumiejąc. Waryat! — mruknąłem, patrząc na klomb laurowy i myśląc o Adeli, takiéj łagodnéj, ufnéj, bezbronnéj wobec bezprzytomnego szaleńca. I co téż taka dobra i cicha istota mogła wtedy myśléć? Co się tam dzieje teraz w jéj duszy? Dumania przerwał mi niespodziewany śpiew, który dobiegł nas z tarasu.

Adio il mia Napoli...

Głos był tenorowy, dźwięczny i czysty.

— Julek! — krzyknęła Zosia, zrywając się i biegnąc z wyciągniętemi rękami.

A po wschodach wbiegł mężczyzna wysoki, szczupły, z czarną czupryną *à l'artiste* z czoła odrzuconą, porwał dziewczynę w ramiona i uniósł w górę. Marynia pobiegła także.

— No! macie mnie! — wołał puszczając Zosię i chwytając rączki Maryni — tylko po tak długiém niewidzeniu, panna Marya mogłaby co prawda, powitać mię tak samo jak Zosia — ja osiwiałem z tęsknoty!

Dziewczyna wyrwała mu ręce i schowała je po za siebie.

— O! jeszcze czego, szkaradny pan jesteś!

— Wenecyanki utrzymywały przeciwnie, tylko że one są wiele brzydsze od Medyolanek.

Marynia się śmiała.

— I te i te, nie mają gustu.

— Taak! otóż pani się nie znasz.

Uścisnął ręce Ruszczyca i zbliżył się do mnie.

— Z listów Zosi wiem już o panu wszystko, co można najlepszego, pan zaś, dzięki szanownéj pannie Maryi, wiész o mnie wszystko, co najgorszego, — zatém jesteśmy starzy znajomi.

Uśmiechnąłem się i uścisnąłem mu rękę serdecznie.

— No! wszystko to bardzo pięknie, ale gdzież reszta? Nie widzę ani pani Adeli, ani pani Julii, ani Włastowicza, ani Rumuna, ani owego ósmego cudu świata pana Leona Krzyckiego. Dżuma przeszła tędy, czy co?

Panny zamieniły z sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Adelcia odebrała wczoraj depeszę od swojéj kuzynki i pojechała do niéj na parę dni, do Werony, Julcię boli głowa, pan Leon jest u siebie, pan Włastowicz poszedł po antipirinę, a pan Martynoff — Marynia zacięła się i po chwili dodała rezolutnie: — pan Martynoff nie przyszedł dziś, — może jeszcze przyjdzie.

Dolski się zamyślił.

— Więc wyjechała — szkoda — no, miejmy nadzieję, że wróci, ja tymczasem pójdę się przebrać.

Oddalił się, pośpiewując wesoło i po drodze obrywając listki laurów, które rzucał sobie pod nogi. Marynia odprowadziła go wzrokiem, a gdy znikł z tarasu, spojrzała na nas z tryumfem.

— Nic a nic się nie domyślił, prawda? Adelcia prosiła, więc lepiéj nie mówić.

Schyliłem głowę z uznaniem.

— O! pani jesteś dyplomata, anim przypuszczał. Ale ostatecznie

ciekawa rzecz co się stało z Martynoffem? Może on strzelał do siebie i zranił się?

— O, nie! Adelcia mówiła, że nie.

— Może wyjechał — odezwał się Ruszczyc.

— Bój się pan Boga! A toż w takim razie pojechałby tym samym pociągiem co Adelcia!

Załamała ręce i patrzyła na niego przerażona.

— Tak, to nie byłoby dobre — szepnął Ruszczyc.

— Eh! cóż znowu — pocieszyłem ją — najpewniéj siedzi jeszcze w Meranie, i rozmyśla nad własném głupstwem.

— A tak, bardzo być może.

Zostawiłem panny spokojniejsze i udałem się do Leona. Siedział przy stole, ręce miał zatopione we włosach i czytał z takiém zajęciem, że nie usłyszał wcale gdy wszedłem.

Z postanowieniem nie przyznawania się przez wzgląd na Marynię do świadomości o wczorajszém zajściu z Martynoffem, usiadłem naprzeciw niego, a on wtedy dopiéro podniósł głowę i wyciągnął do mnie rękę z powitaniem. Był bledszy dziś niż zwykle i wydawał się zmęczonym.

— Coś nie tęgo wyglądasz — zauważyłem — może za dużo siedzisz w pokoju?

— Nie, tylko wczoraj położyłem się późno, w nocy czegoś nie mogłem spać i rano wstałem. Pani Adela wyjechała — wiesz pan już o tém? — a gdy skinąłem głową, ciągnął daléj: — Chciałem ją odprowadzić na koléj, lecz odmówiła.

— No, a cóż wyczytałeś nowego w tych szpargałach? — zacząłem, widząc że milczy i że nie ma zamiaru mówić o wczorajszym wypadku.

Ożywił się.

— Ano, wyczytałem już dość, ale nie tyle ile się spodziewałem. Sprawozdania lekarzy pracujących w szpitalach berlińskich, są świetne, ale obawiam się czy nie przesadzone. Zapowiedziano z góry, że o skuteczności nowéj metody można orzec dopiéro po sześciu tygodniach kuracyi, płyn Kocha poczęto stosować w połowie września, a dzienniki październikowe, nawet już z dziesiątego października, takie opisują cuda, że mimowoli przychodzi myśl o reklamie. Przytém sprawozdania Kocha są bardzo skromne i nic jeszcze nie obiecujące. Fakt jest, że po zaaplikowaniu substancyi przygotowanéj przez niego, czyli owéj głośnéj tuberkuliny, tuberkuliczny *virus* nie działa na morskie świnki, ale czy nie będzie działał na człowieka, a głównie czy okaże się środkiem leczniczym u osobników już dotkniętych gruźlicą?

— No, — zauważyłem — o tém powinny cię objaśnić sprawozdania lekarzy robiących próby.

— Zapewne, ale Niemcy poprostu upili się tryumfem swego Kocha i kto wié, czy nie potęgują go zbytecznie. Mnie się to wszystko wydaje nieprawdopodobném, musiałbym sam obserwować, no, ale dałby Bóg, aby moje niedowiarstwo, okazało się bezpodstawném. Pisałem już do kolegi, zakląłem go na wszystko, by napisał do mnie obszerniéj i doniósł, co sam o tém myśli, a on jest dobry chłopak, zrozumié, że ja tu siedzę jak na szpilkach i głupi nie jest. Zbada on tam wszystko niedługo, bo zna się na tém, a przytém ma spryt.

— Czekajże więc na ten list, nie przejmuj się zanadto, a tymczasem choć ze mną na górę. Powinieneś być ciągle na słońcu. Jeden dzień siedzisz w pokoju i już pomizerniałeś, chodź — Dolski przyjechał.

— Przyjechał? a to dobrze, panna Zofia jest ogromnie zdenerwowana po wczoraj... to jest po odjeździe pani Adeli i może się trochę ożywi.

Poszliśmy, a w saloniku już doleciał nas wesoły głos Dolskiego i serdeczny śmiech Maryni. Na nasz widok, Dolski zeskoczył z balustrady, na któréj siedział gniotąc róże i bluszcze i powitał Krzyckiego tak serdecznie, jak gdyby go znał od Bóg wié jak dawna.

Zosia zerwała się z biegunowego krzesła.

— Panie Leonie, siadaj pan tu, bo tu słońce.

A Marynia przyniosła szal.

— Słońce jest, ale trochę chłodno — mnie przynajmniéj.

— Dziękuję, dziękuję — wołał Leon — panie prześcigacie w dobroci nawet panią Adelę, pragniecie widocznie, bym nie poczuł jéj nieobecności, ale przecież ja jestem prawie zdrów i pieścić się nie powinienem.

Odebrał szal z rąk Maryni i powiesił go na poręczy krzesła.

— Ciepło jest panno Maryo, zupełnie ciepło, a pani musisz być niezdrowa, jeśli czujesz chłód.

Popatrzył na nią badawczo, ale ona się roześmiała.

— Oho! doktór czyha na pacyentkę, ale nic z tego, jestem tylko trochę zdenerwowana, a jutro będę zdrowa jak rydz.

A Dolski patrzył i kiwał głową.

— Mój Boże, mnie toby panna Marya za nic w świecie nie przyniosła szala.

— Pewno że nie, jeszczeby też!

— No, nie kłóćcież się państwo — wtrąciła się Julka — i pan Julian niech nam jeszcze co opowié ze swojéj podróży.

— Z największą chęcią.—Wykręcił się i znowu na balustradzie usiadł. — Czy wiecie państwo kogo widziałem dzisiaj w Mori?

— Prawdopodobnie podobnych sobie pasażerów — rzuciła ironicznie Marynia.

— Wcale nie, takiego ładnego chłopca nie było ani jednego, ale zato, patrzę, po peronie chodzi jakiś gruby, wysoki pan, coś znajomego. Przyglądam się, przecieram oczy bo byłem zaspany—doktór Męcki. Chciałem wyskoczyć, ale pociąg ruszył i pojechaliśmy.

— Doktór Męcki? — zawołały wszystkie panie razem. — A on coby tu robił?

— Eh! zdawało się panu; to niepodobna — zadecydowała Marynia zamyślając się.

— Panie znają doktora Męckiego?—zapytał Leon.

— Znamy, poznałyśmy go w Aussee.

— I ja go poznałem w Krakowie, radziłem się go w przejeździe, rozmawialiśmy nawet ze sobą dość długo, ale nie wspominał nic o tém, że wyjeżdża w te strony. To bardzo przyjemny i wesoły człowiek.

— To mało wesoły, kapitalny człowiek i umié żyć — mówił Dolski—ja coś wiem o tém, a nasze panie wszystkie się w nim kochały i to na zabój.

— Naturalnie!—potwierdziła Marynia z powagą — nikt nie miał tak znakomitych pomysłów, jeśli szło o zabawę i takiéj grubéj, czerwonéj szyi.

— To właśnie, jego żona miała dobry gust, a panie nie znacie się ani na pieprzu, ani na szampanie.

— A toż przecie pan twierdzisz, żeśmy się w nim kochały, podczas gdy żona od niego uciekła — tylko, cóż to ma wspólnego z szampanem i pieprzem?

— O, to dla pani filozofia, co zaś do ucieczki, to jeszcze niesprawdzone kto od kogo uciekł, może właśnie on od niéj? Z panią Adelą niecierpieli się, choć się u niego leczyła, nie wiem, na katar czy coś podobnego, boć ona chyba nie chorowała jeszcze jak żyje; otóż niecierpieli się, ale ja pomimo to, zawsze go posądzałem o słabość dla niéj. Powiedział mi raz, że nigdy jeszcze w życiu nie widział kobiéty tak wspaniale zbudo... to jest tak wspaniale miłéj.

— Jakie to dziwne, żeś pan posądzał jego nie Adelcię—zauważyła ironicznie Marynia—zazwyczaj bywa odwrotnie.

— I bardzo naturalnie, bo ja od czasu zajścia z jabłkiem w raju, nie dałbym sobie uciąć ręki za żadną kobiétę, więc i za panią Adelę również. Ale, *à propos* pięknéj pani Adeli... czy wiecie państwo jaki

jéj świętéj pamięci nieodżałowany małżonek był o nią zazdrosny nawet po śmierci?

Spojrzeliśmy na niego ciekawie.

— Oto opowiadał mi pan Ignacy Przygodzki, o którym miałem już zaszczyt donosić — wspaniały człowiek, tylko licho gra w karty, czyli nieszczęśliwie, coś tak jak ja.

Zosia spojrzała na niego z wymówką.

— Julku! to ty i w Wenecyi grałeś w karty?

— A grałem, deszcz lał jak z cebra; nawet często grałem, bo tam często padają deszcze, a co wtedy robić? Wenecya w słońcu i Wenecya bez słońca, są w takim stosunku do siebie, jak Paryż do Białegostoku.

Zeskoczył z balustrady, uderzył się po kieszeniach i westchnął.

— Muszę nawet iść do bankiera, bo zostawiłem mały dług... trzeba to dziś odesłać, nie wiem tylko, ile on tam tego jeszcze ma.

Zosia posmutniała, Julka spojrzała na nią ze współczuciem, a Marynia zerwała się z krzesła i złożyła przed nim głęboki ukłon.

— Taak—otóż to artystyczna natura! Wenecya to relikwiarz, to stara gotycka katedra! Pisało się bardzo pięknie, a potém relikwiarz zapchało się popiołem i niedopałkami papierosów; w staréj katedrze rozłożyło się stolik do kart i strzelało korkami od butelek szampańskiego. Jak to pasuje do pana, panie Julianie! Dolski zczerwienił się, jakby dostał w twarz, potém zbladł, a spotkawszy się z jasnemi oczami Maryni, spuścił głowę i szepnął:

— Masz pani zupełną racyę.

Teraz zmieszała się Marynia, Julka spojrzała na nią z niezadowoleniem, a na tarasie zrobiła się nieprzyjemna cisza. Machinalnie wyciągnąłem rękę w kierunku małego stolika stojącego opodal i aby czémśkolwiek się zająć, wziąłem leżącą na nim książkę. Była to Boska Komedya Dantego, sprowadzona dla Zosi przez Ruszczyca. Na pierwszéj stronie widniał napis, skréślony charakterem pięknym i dobrze mi znanym: Na pamiątkę wspólnych gawęd, od prawdziwego przyjaciela. Nie znałem włoskiego języka, ale bezwiednie przewracałem kartki, dumając nad dedykacyą Ruszczyca, a gdy składałem już książkę, wypadła z niéj jakaś przedarta ćwiartka papiéru. Schyliłem się, podniosłem i zobaczyłem że to była depesza, prawdopodobnie wczorajsza. — Jadę na Rivierę... małam się w Weronie... jeżeli możesz... w Torre di Londra. Helena.

Reszty brakowało. Depesza była wysłana o dziewiątéj minut czterdzieści, tu ją doręczono podobno o dziesiątéj, co za szybkość i co za porządek! wszystkiego dziesięć minut czasu. No, mogła być różni-

ca w zegarach. Sprawdziłem jeszcze raz.- Mori, dziewięć czterdzieści. Jakto Mori?—przecież powinna być Werona—nie, wyraźnie Mori. Ze zdziwieniem spojrzałem na Marynię i Zosię. Czyżby kłamały? Ale nie, nawet nie umiałyby—i, w jakimże zresztą celu? W depeszy także mowa o Weronie i bardzo łatwo można się domyśléć brakujących słów. — Jadę na Rivierę, zachorowałam i zatrzymałam się w Weronie, przyjedź jeżeli możesz, stoję w Torre di Londra. Helena. Czyżby pani Adela chciała za sobą zatrzéć ślady? Ale przecież wypadek był wczoraj i depesza przyszła wczoraj, porozumienia nie mogło być, na cóż zresztą, kiedy obawiać się mogła jednego tylko Martynoffa, a on nie wié nawet o jéj wyjeździe. A może przewidywała niebezpieczeństwo i naprzód już ułożyła plan wyjazdu? Niepodobna! czyż ona wygląda na taką przebiegłą?

Gubiłem się w domysłach, ale nic podobnego do prawdy na myśl mi przyjść nie chciało. Oglądałem depeszę na wszystkie strony, jak gdyby to mogło mi pomódz w rozwiązaniu zagadki, wreszcie, sam nie zdając sobie sprawy dla czego, udarłem kawałek papiéru z wyrazem Mori, skręciłem go w palcach na maleńką kulkę, a depeszę wsunąłem napowrót w książkę.

Tymczasem towarzystwo otrząsnęło się już z kłopotliwego milczenia spowodowanego śmiałym żartem Maryni, Julek znowu siedział na balustradzie i znowu bawił wszystkich swoim niespożytym humorem.

— No, a owa zazdrość pośmiertna pana Przygodzkiego? — prosiła Marynia.

— A prawda. Otóż pan Przygodzki, wszystko co tylko mógł zapisał żonie, ale pod warunkiem że za mąż nie wyjdzie. W przeciwnym razie zapis przechodzi na rzecz rodziny świętéj pamięci męża.

Julka się oburzyła.

— Wiécie państwo, że to niegodnie! Jak on mógł wątpić o żonie i to jeszcze o takiéj? Gdybym była na miejscu Adelci, oddałabym im wszystko i nie tknęłabym niczego, co tylko było jego własnością.

— Tak — tylko że pani Adela nie ma podobno nic własnego, a w takich razach nie każdy pozwala sobie na dumę i ambicyę. Swoim porządkiem pan Przygodzki jest także oburzony na testament brata, co jest zadziwiające, jako że nie leży w jego interesie. Faktycznie, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać w życiu nikogo, coby miał więcéj przyjaciół od pani Adeli. Ten pan Ignacy Przygodzki poprostu nie ma słów dla niéj. Co to miała być za żona, a zwłaszcza w ostatnich czasach

życia nieboszczyka, co za synowa, co za bratowa, co za pani domu! Poczciwe człowieczysko płacze z rozrzewnienia, ile razy o niéj mówi.

Wszyscy popadliśmy w zadumę i wszystkim prawdopodobnie przypomniał się Martynoff i jego nikczemny zamach. Pierwsza otrząsnęła się Marynia.

— No, zaprzestańcież już państwo tych dumań nad przymiotami Adelci. Jak wróci, będziemy ją wszyscy jeszcze więcéj kochali, a tymczasem obmyślmy co wesołego. Panie Julianie, czy pan wiész, że my tu przez ten czas nie zrobiliśmy ani jednéj większéj wycieczki, a już co konia, tośmy nawet zdaleka nie widziały?

— Niepodobna!—dla tego że mnie nie było?

— A naturalnie, a pan nawet nie przypuszczałeś, że tak tęsknimy i takie mamy dobre serca!

— To już chyba zasługa mojéj siostrzyczki, bo co do pani serca, moja opinia jest już oddawna ustaloną.

— Naprzykład?

— Jakby je kto nagdryzł, to by się... struł — dokończył Włastowicz.

— *Pardonnez l'expression!* — zaśmiał się Dolski. — Uciekam, bo z oczu panny Maryi wypadnie piorun i ugodzi mnie w samo serce. Zeskoczył z balustrady, zniknął we drzwiach i z saloniku już wołał:

— Idę do Martynoff'a, a z powrotem zamówię konie. Jutro wielka wycieczka do Schlucht'u. W powozie pani Keszmarowa i panowie: mecenas, Włastowicz, Krzycki. Amazonki, panny: Marya i Zofia, rycerze, panowie: Ruszczyc, Dolski.

Marynia klasnęła w ręce i poczęła tańczyć po tarasie.

— Doskonale, wybornie, chodźżeż pan tu, już przebaczyłam panu to trujące serce.

Z za portiery ukazała się wesoła twarz Dolskiego.

— Ee, nie może być, na prawdę?

— Ależ na prawdę.

— No, to proszę panią do walca.

Nim się spostrzegła pochwycił ją wpół i okręcił się kilka razy po tarasie śpiéwając: *Dir nur, dir ganz allein—Will ich mein Leben weih'n...*

Śmiejąca się i zadyszana Marynia wyrwała mu się wreszcie i padając na krzesło wołała:

— No, patrzcież państwo czy to nie szalony chłopak?

Śmieliśmy się wszyscy porwani jego humorem, a szalony chłopak, zawoławszy jeszcze: Idę sprawdzić czy Martynoff żyje!—wybiegł, tym razem na prawdę.

Ale Martynoff nie umarł, wbrew przypuszczeniom Dolskiego, ani wyjechał, czego obawiali się Ruszczyc i Marynia, tylko wybrał drogę pośrednią i zachorował.

Siedzieliśmy z Ruszczycem w jadalnéj sali Curhaus'u i właśnie zabieraliśmy się do zupy, gdy wpadł Dolski.

— Wiécie panowie! — zaczął rzucając kapelusz na pobliski stolik i siadając przy naszym—Martynoff leży chory, w gorączce, majaczy nawet. Zastałem właśnie doktora, który obawia się zapalenia mózgu. Straszna rzecz, tak niespodziewanie! Dawnoście go panowie widzieli?

Ruszczyc położył łyżkę.

— Widzieliśmy go wczoraj, był z nami na Winkelweg'u, jak najzdrowszy, tylko—humoru nie miał. Zdaje się, że między nim i panią Adelą musiała wtedy zajść jakaś stanowcza rozmowa. Oboje szli naprzód i rozmawiali bardzo żywo, poczém Martynoff jeszcze bardziéj stracił humor.

— Tak, prawdopodobnie to,—odezwałem się—tylko może byłoby lepiéj nie wspominać o tém paniom... są jakieś zdenerwowane niespodziewanym wyjazdem pani Przygodzkiéj...

Dolski skinął głową.

— Racya, nie trzeba nic mówić, ale musimy się zmieniać przy nim, bo trudnoż zostawić go samego. To porządny zdaje się chłopak.

— Naturalnie — potwierdził trochę niepewnym głosem Ruszczyc—możemy tam iść zaraz po obiedzie; ale co zrobimy z jutrzejszą wycieczką?

Dolski spojrzał na mnie jakby pytając o radę, a że milczałem nie wiedząc jak radzić, zadecydował sam.

— Ha! już trudno. Jeśli panie nie mają się dowiedziéć, trzeba jechać. Panowie posiedźcie przy nim do jakiéj dwunastéj w nocy, a ja położę się teraz, prześpię i o dwunastéj was zwolnię. Jutro musi się poświęcić Włastowicz, my zaś pojedziemy do Schlucht'u.

Zadzwonił i kazał sobie podać obiad.

— Zjem dziś z panami, bo w Parvie nie dostałbym już nic, albo zimne.

Zamilkliśmy i pogrążeni w myślach jedliśmy śpiesznie.

O piątéj, obaj z Ruszczycem staliśmy przy łóżku Martynoff'a. Był blady, ale niespokojne ruchy i błyszczące oczy zdradzały gorączkę. Nie poznał nas, a może nawet zupełnie nie widział. Właścicielka willi, czy téż może gospodyni, którą zastaliśmy przy nim, powiedziała nam łamaną niemczyzną, że ma znajomą siostrę miłosierdzia i że

sprowadziłaby ją chętnie, gdyby wiedziała, że zastąpimy ją przez jakiś czas tutaj.

— To może byłoby najlepsze—zauważyłem półgłosem.

Ruszczyc skinął na nią, usunęli się pod okno i poczęli rozmawiać po włosku, poczém gospodyni kiwnąwszy nam głową wyszła, a my pozostaliśmy sami.

Chory poruszał się niespokojnie i mówił bez przerwy, czasem w ojczystym języku, częściéj po francusku, niekiedy rzucał jakiś pojedynczy wyraz polski. W téj bezładnéj mowie trudno było pochwycić wątek, ale biedne, pogmatwane myśli wciąż obracały się w około jednego punktu—nieszczęśliwéj miłości.

— Wiész,—szepnął mi Ruszczyc—on nie nocował dziś w domu, włóczył się widać jak waryat i wrócił dopiéro o piątéj rano. Gospodyni mówiła mi, że gdy służący zaniósł mu kawę, zastał go na łóżku nierozebranym i już tylko nawpół przytomnym.

Umilkł; chory uspokoił się także, ciszę przerywało tylko słabe tik-tak budzika, stojącego na nocnym stoliku. Pogrążyłem się w niezbyt wesołą zadumę. Czuwanie przy chorych ma to do siebie, że myśli czuwającego zaczynają mimowoli obracać się w około śmierci, która w zwykłych okolicznościach wydaje się każdemu bardzo odległą, albo nawet zupełnie nieistniejącą, względnie do własnego ja; wtedy zaś staje się wyraźniejszą, plastyczniejszą, możliwą. Przyciemniony pokój chorego, jego łóżko, flaszki z miksturami i pudełeczka z proszkami, on sam wreszcie i cała otaczająca go duszna atmosfera, to kanwa na któréj owe myśli układają się we wzory różne, ale nigdy wesołe. I żyje się wtedy jakby w jakim oderwanym świecie, a na świat rzeczywisty, jego radości i troski patrzy się niby z wysokiéj góry, albo przez odwróconą lunetę. Chory nabiéra dziwnéj powagi — nie śmierć, ale już sama możliwość śmierci nadaje mu jakąś wyższość nad otaczającymi i ubiéra go w pewnego rodzaju majestat bezbronności.

Otaczało nas milczenie tak wielkie, że słabe tik-tak zegara wydawało się coraz głośniejsze—zanadto głośne. Chory leżał spokojnie, oczy przymknął, zdawało się że śpi. Nagle zerwał się, rozwarł powieki szeroko i szepcząc, tym głośnym szeptem, który bardziéj wdziera się w ucho niż krzyk i prawie ból sprawia, począł z natężeniem wpatrywać się w róg pokoju. Na twarzy wybijał mu się przestrach, wyciągnął ręce przed siebie, odpychał coś czy chwytał, wreszcie począł się śmiać głośno, coraz głośniéj--strasznie. Poskoczyliśmy i ułożyliśmy go na poduszki. Bronił się, ale słabo i nie zdawał się nas widzieć. Zwolna począł się uspokajać, szeptał coraz ciszéj, ledwie dosłyszalnie, wreszcie znów oczy przymknął i leżał bez ruchu.

O ósméj przyszedł doktór i siostra miłosierdzia. Kobiéta poprawiła zaraz choremu poduszki, ułożyła go wygodniéj, odgarnęła z czoła splątane włosy, a wszystko to robiła jakoś inaczéj niż my, lepiéj, czy téż może ciszéj? Gdy przesuwała się po pokoju, zdawało się, że to cień nie istota ludzka, z krwi i kości, a ja patrząc na nią odetchnąłem wolniéj i pomyślałem, że teraz Martynoff nie umrze.

A Ruszczyc tymczasem rozmawiał z doktorem.

— I cóż?

— Nic jeszcze nie mogę powiedziéć; zarówno może być zapalenie mózgu, jak gorączka nerwowa. Noc pokaże, jeżeli po lekarstwie uspokoi się, uśnie i gorączka się zmniejszy, to nic wielkiego, za kilka dni będzie zdrów, w przeciwnym razie—trudno wiedziéć.

Napisał nową receptę, wydał siostrze potrzebne rozporządzenia i wyszedł obiecawszy przyjść rano. My wyszliśmy także. Ruszczyc poszedł do Parvy, ja zaś wróciłem do domu i pomimo wczesnéj godziny położyłem się do łóżka. Byłem czegoś zmęczony, prawdopodobnie rozstrojony, czułem ból w kościach i szum w głowie, a zasnąć nie mogłem. Przed oczami przesuwały mi się jakieś niewyraźne obrazy, a gdy chciałem przyjrzéć im się bliżéj, malały, wykrzywiały się, kurczyły i dochodziły do tak minimalnych rozmiarów, że zmordowany tém, otwierałem oczy, a wtedy wszystko znikało. Zosia, Dolski tańczący walca z Marynią, Martynoff w gorączce, Adela leżąca w klombie laurowym, Jałbrzykiewicz, wszystko to wiązało się z sobą, wypływało jedno z drugiego, lub wsiąkało w siebie. Jałbrzykiewicz prześladował mię specyalnie. Zamiast głowy miał na karku wielki, żółty melon, melon rósł, robił się coraz większy, olbrzymiał, aż wreszcie rozmiarami swemi przeszedł władzę mego pojmowania, ja zaś w stosunku odwrotnym do wzrostu melona, malałem i w końcu stałem się tak maleńkim, ale skoncentrowanym punkcikiem, że wysiłek z jakim starałem się przypatrzéć sam sobie, poprostu przechodził moje siły. Naraz przypomniało mi się istnienie nauki mikroskopowéj i mikroskopów, więc nie namyślając się długo, zdecydowałem się iść na Zenoburg, ale z trudem doszedłszy na szczyt, zapomniałem po co przyszedłem i razem z Ruszczycem i Zosią począłem obserwować z góry wodospad szumiący na dole. Na białéj pościeli z piany leżał Martynoff, cichy, z zamkniętemi oczami, bez ruchu, ale gdy nachyliłem się bardziéj, sprawdziłem, że to nie był Martynoff tylko Leon. A na brzegu Jałbrzykiewicz trzymał obie ręce pani Adeli ciągnął ją ku sobie i pociągnąć nie mógł, bo na jéj sukni usiadł sobie jakiś wielki, gruby pan. Wtém Ruszczyc począł im dawać znaki, wreszcie wziął Zosię za rękę i -- skoczył w przepaść. Krzyknąłem przeraźliwie, zacisnąłem zęby, z największym

wysiłkiem wyciągnąłem ręce, schwyciłem Zosię za suknią i... obudziłem się. Byłem zgrzany, zmęczony, spocony, nademną stał Ruszczyc.

— Coś ci się niebardzo przyjemnego śniło — zauważył siadając i stawiając świécę na stoliku.

— Zdawało mi się, że jeszcze wcale nie spałem. Która godzina?

— Pierwsza, wróciłem tylko co od Martynoff'a. Po ostatnim proszku gorączka się zmniejszyła i zasnął. Narobił nam wielkiego strachu, a za parę dni może być zdrów zupełnie. Chciałem zaprowadzić do niego Leona, ale Leon wyszedł po obiedzie do doktora Fell'a i o dziesiątéj jeszcze nie było go z powrotem — całe szczęście że dziś ciepło. Dobranoc.

— Waryat, zapaleniec! Dobranoc.

Przewróciłem się na drugi bok i tym razem usnąłem bez marzeń—jak kamień.

(*Dok. n.*) *Exterus.*



SPRAWY EKONOMICZNE.

VIII.

Samorząd miejski w Cesarstwie.—Dochody i wydatki miast w Królestwie Polskiém.—Budżet Warszawy.

W roku bieżącym upłynęło ćwierć wieku od nadania samorządu miastom w Cesarstwie, a jak doniosłe miała skutki ustawa miejska 1870 r., przekonywa choćby pobieżne porównanie obecnego wyglądu miast z epoką poprzedniéj gospodarki miejskiéj.

Przekonywują nas o tém fakta; i tak, wydatki ogółu miast w Cesarstwie w 1882 r. wynosiły 40 mil. rubli, w 1892 r. zaś 64 mil. r., zatém w ciągu dziesięciu lat wzrosły o 62%. W tymże przeciągu czasu wydatki na cele dobroczynne i na instytucye użytku publicznego potroiły się, a na cele oświaty w miastach zwiększyły o 50%.

Ustawa miejska 1870 r., pomimo dodatnich rezultatów, znalazła grunt nie dosyć jeszcze przygotowany do zastosowania samorządu w szerokim zakresie, wskutek czego poddano ją szczegółowéj rewizyi i nowa ustawa miejska obecnie obowiązująca, uzyskała sankcyę prawodawczą 11 czerwca 1892 r.

Podług téj nowéj ustawy miejskiéj, w zakres publicznego zarządu miast wchodzi:

zawiadywanie podatkami i powinnościami na rzecz miast ustanowionemi;

zarządzanie kapitałami i mieniem miasta;

starania o niedopuszczenie braku środków żywności;

utrzymanie w porządku ulic, placów, bruków, chodników, bulwarów, przystani wodnych, ogrodów publicznych, wodociągów, kanałów, mostów, przepraw, oświetlenia miasta i t. p.;

starania o biednych, usunięcie żebractwa, urządzenie i zarząd zakładów dobroczynnych i leczniczych;

pieczołowitość o hygienie publicznéj, rozwój pomocy lekarskiéj i polepszenie stanu sanitarnego miasta;

starania o odpowiednią regulacyę terytoryum miasta i o środki ochronne przeciwko pożarom;

udział w zarządzie miejskich towarzystw wzajemnego ubezpieczenia od ognia;

starania o rozwój środków na oświatę ludową i udział w zawiadywaniu zakładami naukowemi w miastach;

starania o urządzenie bibliotek publicznych, muzeów, teatrów i t. p. zakładów użytku publicznego;

urządzenie rynków i targów, nadzór nad prawidłowością handlu, utworzenie zakładów kredytowych (banków miejskich i lombardów), giełd, i wogóle poparcie przemysłu i handlu w miastach;

zaspokojenie potrzeb zarządu wojskowego i cywilnego, włożonych na miasto —

oraz sprawy poruczone zarządom miejskim na mocy specyalnych ustaw i rozporządzeń prawnych.

Mieszkańcy miasta mogą być opodatkowani, lub obciążani powinnościami tylko w drodze prawodawczéj i na wypadek nieprawnych rozporządzeń w tym względzie, bądź instytucyi ziemskich, stanowych lub nawet administracyjnych, urząd miejski obowiązany jest zwrócić się do gubernatora o przywrócenie porządku prawnego. Gdyby zaś tą drogą kwestya powyższa nie mogła być załatwiona, jak również w przypadku nieprawnych działań gubernatora, miastu służy prawo podania skargi do Rządzącego Senatu.

Zwierzchni nadzór nad czynnościami zarządu miejskiego należy do gubernatora, rozpatrzeniem zaś w poszczególnych razach prawidłowości postanowień i rozporządzeń administracyi miejskiéj zajmuje się „Urząd gubernialny do spraw miejskich”, złożony (w gub. nie posiadających ziemstw) pod prezydencyą gubernatora

z gubernialnego marszałka szlachty, wice-gubernatora, prezesa izby skarbowéj, prokuratora sądu okręgowego, miejscowego naczelnika miasta i członka z wyboru rady miejskiéj.

Samorząd miejski stanowią: „rada miejska” i „urząd miejski” z należącemi do niego organami wykonawczemi.

W miastach i osadach miejskich, w których ustawa miejska w całym zakresie nie może być zastosowana, bądź z powodu niedostatecznych środków, rodzaju zajęć ludności, bądź z przyczyny małego rozwoju przemysłów i handlu, wprowadzony został samorząd uproszczony. Wykaz miejscowości, w których ma być wprowadzony samorząd uproszczony, przedstawia minister spraw wewnętrznych komitetowi ministrów do sankcyi prawodawczéj.

Dla wyboru radców miejskich i ich zastępców na czteroletni okres czasu, zwołują się zgromadzenia wyborcze.

Wyborcami na powyższém zgromadzeniu są: krajowcy, zakłady dobroczynne, naukowe i instytucye rządowe, o ile ci krajowcy lub instytucye posiadają przynajmniéj od roku w granicach miasta nieruchomość opodatkowaną szacunkowém i ocenioną dla poboru tegoż w stolicach w ilości 3,000 rs., w miastach gubernialnych z ludnością najmniéj 100,000 mieszkańców w ilości 1,500 rs., w pozostałych miastach gubernialnych i większych powiatowych, w ilości 1,000 rs. a w innych miastach nieruchomość ocenioną przynajmniéj na 500 rubli. Daléj wyborcami są: krajowcy, oraz zatwierdzone w drodze prawodawczéj towarzystwa, stowarzyszenia i spółki utrzymujące przynajmniéj od roku zakłady przemysłowe lub handlowe, jeżeli też osoby lub kompanie opłacają świadectwa I lub II gildyi.

Żydzi nie mogą być uczestnikami zgromadzeń wyborczych, ani też sprawować urzędów miejskich, lub zarządzać żadną z gałęzi gospodarstwa miejskiego.

W guberniach, w których żydom jest dozwolone stałe zamieszkiwanie, żydzi mogą być radcami miejskimi w ilości najwyżéj $^1/_{10}$ ogółu radców, a to na podstawie wyboru urzędu do spraw miejskich z pośród listy kandydatów w tym celu przez zarząd miejski utrzymywanéj.

Na radców miejskich mogą być wybierani tylko ci, którzy mają prawo głosu na zebraniach wyborczych, którzy postawią osobiście swoją kandydaturę, lub też zaleceni zostaną przynajmniéj przez pięciu wyborców.

Liczba radców niechrześcian wogóle nie może przenosić $^1/_5$ ogólnéj liczby radców miejskich.

Rada miejska pod prezydencyą naczelnika miasta, składa się z radców miejskich, wybieranych porządkiem wyżéj wskazanym na lat cztery. W miastach posiadających najwyżéj 100 wyborców, radę miejską stanowią 20 radców. Gdzie jest więcéj niż 100 wyborców, tam na każdych 50 wyborców dodaje się po trzech radców, dopóki ogólna liczba radców miejskich nie dosięgnie: w stolicach liczby 160, w miastach gubernialnych z ludnością powyżéj 100,000 mieszkańców 80, w innych miastach gubernialnych i większych powiatowych 60, i w pozostałych miastach 40 radców.

W radzie miejskiéj, oprócz radców, zasiadają z prawem głosu: prezes powiatowego zarządu ziemskiego i deputat od duchowieństwa, o ile władze dyecezyalne uznają za pożyteczne wyznaczenie delegata.

Żaden z radców nie może się uchylać, bez ważnych przeszkód od uczestniczenia w posiedzeniach rady miejskiéj i jeżeli nie złoży dostatecznego usprawiedliwienia swéj nieobecności, rada miejska, zachowując stopniowanie, może ukarać go grzywnami do 75 rubli. a nawet i wykluczeniem ze swego grona.

Rady miejskie mają nadaną władzę kierowniczą sprawami miejskiemi, nadzorczą nad organami wykonawczemi i decydującą w sprawach w zakres samorządu miejskiego wchodzących. A więc rada miejska: dokonywa wyborów na urzędy na mocy szczególnych ustaw i rozporządzeń, uposaża one urzędy o ile mają być płatnemi, wygotowuje instrukcye dla organów wykonawczych. roztrząsa budżet dochodów i wydatków miejskich, wyznacza wysokość opłat na rzecz miasta w granicach odpowiedniemi postanowieniami wskazanych, ustanawia przepisy administrowania kapitałami miejskiemi, nabywa nieruchomości na rzecz miasta i t. p.

Rada miejska może téż ustanawiać taksę na chléb i mięso, taksę dla dorożkarzy, kolei konnych i t. p., roztrząsa sprawy dotyczące zaciągnięcia pożyczki miejskiéj, przyjęcia legatów na rzecz miasta, regulacyi miasta, odpowiedzialności organów wykonawczych miejskich i t. d.

Nakoniec rada miejska za pośrednictwem gubernatora, może czynić do władz wyższych przedstawienia o potrzebach miejscowych.

Liczba zwyczajnych posiedzeń rady miejskiéj powinna wynosić najmniéj 4 i najwyżéj 24 w ciągu roku, przyczém w razie niemożności załatwienia w ciągu jednego dnia wszystkich spraw w program posiedzenia wchodzących, rada miejska może kontynuo-

wać posiedzenie nazajutrz, lub w dniach następnych, aż do całkowitego wyczerpania programu zebrania.

Dla bliższego rozpatrzenia spraw zawilszych, rada może wydelegować z łona swego odpowiednią komisyę, a dla szczegółowego zbadania sprawozdania z czynności urzędu miejskiego, wyznacza komisyę rewizyjną.

W radzie miejskiéj, z rozporządzenia naczelnika miasta, mogą też być obecni rzeczoznawcy w dyskutować się mającéj kwestyi, choćby z pośród osób do grona rady nienależących.

Naczelnik miasta komunikuje gubernatorowi kopie postanowień rady miejskiéj, z odpowiedniemi załączeniami, celem uzyskania zatwierdzenia w kwestyach wymagających zatwierdzenia władz wyższych.

Zatwierdzeniu gubernatora podlegają sprawy, dotyczące: planów regulacyi miasta, warunków wykupu czynszów wieczystych; pożyczek, gwarancyi i poręczeń w imieniu miasta, jeżeli takowe w połączeniu z poprzedniemi zobowiązaniami przewyższają połowę ogółu dochodów miasta, byle jednak mniejsze były od rocznego budżetu miasta; taksy chleba, mięsa i środków komunikacyjnych; instrukcye dla zarządu zakładami naukowemi, które utrzymywane są z funduszów miejskich, instrukcye dla urzędów nadzorczych nad przemysłami i handlem.

Minister spraw wewnętrznych zatwierdza między innemi: zamianę powinności naturalnych na pieniężne, obciążenia miasta kosztami utrzymania bruków i trotuarów, wycierania kominów, utrzymania nocnych stróżów w celach bezpieczeństwa od pożarów, wywózki nieczystości, sprawy dotyczące kanalizacyi, alienacye nieruchomości własnością miasta będących, decyzye w sprawie zaciągania pożyczek i udzielania poręczeń w imieniu miasta, gdy te zobowiązania przenoszą roczny budżet miejski i t. d.

Postanowienia rady miejskiéj, niezatwierdzone przez gubernatora, tenże komunikuje urzędowi gubernialnemu do spraw miejskich. Jeżeli większość członków urzędu podziela zapatrywania gubernatora, to zakwestyonowane postanowienie rady miejskiéj uważa się za niebyłe, gdy zaś większość członków urzędu do spraw miejskich nie zgadza się z opinią gubernatora, to niezatwierdzone postanowienie rady miejskiéj odsyła się do decyzyi ministra spraw wewnętrznych.

Urząd miejski, pod prezydencyą naczelnika miasta, składa się z dwóch członków (ławników). Liczba ta postanowieniem rady miejskiéj może być powiększona do trzech lub czterech w miastach

z ludnością więcéj niż 100,000, dalsze zaś powiększenie liczby członków zależy od ministra spraw wewnętrznych.

Naczelnikowi w wielkich miastach może być dodany towarzysz.

Urząd miejski jest organem wykonawczym, bezpośrednio zawiadującym sprawami miasta, dla specyalnych jednak gałęzi gospodarki miejskiéj, rady miejskie mogą wyznaczać odpowiednie komisye wykonawcze.

Rady miejskie mogą wydawać postanowienia, mające moc obowiązującą dla mieszkańców miasta w różnych materyach, a mianowicie: o środkach ochronnych przeciwko pożarom, o budowie dachów, pieców, kominów, o utrzymaniu w porządku ulic, bruków, chodników, bulwarów, parków, ogrodów publicznych, studni, kanałów i t. p., o urządzeniu i utrzymaniu w porządku przystani rzecznych, mostów, o eksploatacyi kolei konnych, utrzymaniu dorożek, powozów i innych środków lokomocyi publicznéj, o środkach sanitarnych w fabrykach, zakładach rzemieślniczych, jadłodajniach i wogóle we wszelkich materyach, mających na celu zapewnienie porządku publicznego i zadawalniającego stanu hygienicznego miast.

Postanowienia rady miejskiéj, mające obowiązywać mieszkańców, nie mogą jednak sprzeciwiać się istniejącym prawom, podlegają téż zatwierdzeniu przez gubernatora.

Władze policyjne mają obowiązek czuwania nad wykonaniem postanowień rady miejskiéj, która prócz tego może sama mianować opiekunów cyrkułowych, dla bliższego nadzoru nad wprowadzeniem w życie wydanych przepisów.

Naczelnika miasta, członków urzędu miejskiego i sekretarza, wybiera rada na cztery lata, bądź z pośród siebie, bądź z pośród osób mających prawo głosu na zebraniach wyborczych. Naczelnika miast gubernialnych zatwierdza minister spraw wewnętrznych, naczelnika innych miast, oraz członków urzędu miejskiego i sekretarza—gubernator. Wysokość uposażenia wyżéj wymienionych osób oznacza rada miejska przed dopełnieniem wyborów.

Na rzecz miasta ustanowione zostały następujące opłaty: szacunkowe z nieruchomości, od świadectw zezwalających na prowadzenie przemysłu i handlu, z traktyerni wszelkiego rodzaju, z hoteli, zajazdów i sklepów z produktami spożywczemi. Prócz tego rady miejskie, celem powiększenia dochodów miasta, mogą uzyskać zezwolenie na ściąganie opłat od koni i ekwipaży, od psów i od przemysłu transportowego.

Dochód miejski stanowią także opłaty na rzecz miasta przy zawieraniu rozmaitych umów, od poświadczeń, protestów i poszukiwań sądowych i różnych aktów, opłaty za cechowanie miar i wag, od publicznych sprzedaży nieruchomości, zapomogi ze skarbu państwa, rozmaite opłaty specyalnie dla danego miasta ustanowione, np. podatek szpitalny, adresowy, od przywożonych towarów i t. p.

Nakoniec rada miejska może wystąpić do władz wyższych z projektem opodatkowania na rzecz miasta osób wynajmujących mieszkania (właściwie miejskiego podatku od mieszkań).

Wyżéj powiedzieliśmy, że w miastach i osadach miejskich z małą ludnością, słabo rozwiniętym przemysłem i handlem, wprowadzony będzie samorząd uproszczony. Otóż ten uproszczony system gospodarki miejskiéj polega głównie na tém, że miejsce rady miejskiéj, zastępują delegaci miasta w liczbie od 15—20 osób, wybrani przez zgromadzenie właścicieli nieruchomości miejskich i posiapający nieruchomość ocenioną przynajmniéj na 100 rubli.

Delegaci wybierają starostę miasta i jego pomocników na lat cztery, który téż prezyduje na posiedzeniach delegatów. Starosta i delegaci mogą być wybrani tylko z pośród miejscowych właścicieli nieruchomości.

Nader ważnym przywilejem samorządu miejskiego w Cesarstwie jest tworzenie instytucyi kredytowych, właściwie banków i lombardów miejskich.

Banki miejskie w niektórych miastach istnieją od bardzo dawna np. w Słobodzku w gubernii Wiackiéj od 1809 r., w Ostaszkowie od 1818 r., w Irkucku od 1836 r. i t. d. W 1862 r. wydano dla banków miejskich ustawę normalną, na podstawie któréj szczegółowe ustawy zatwierdza minister skarbu po porozumieniu się z ministrem spraw wewnętrznych.

Banki miejskie są częścią składową samorządu miejskiego i dlatego nie mogły być dotąd powołane do życia w tych miastach, na które nie rozciągniono reformy miejskiéj 1870 r. Instytucye te w ogóle przyniosły wielką korzyść obywatelom miasta i nie mniejszą téż kasom miejskim, przez powiększanie dochodów miejskich i przez znaczne zasilanie instytucyi użytku publicznego, częścią zysków od swoich operacyi.

Kapitał zakładowy przy utworzeniu banku miejskiego powinien wynosić przynajmniéj 10,000 rubli. Uposażenie banku daje miasto z własnych kapitałów, albo téż osoba prywatna tytułem darowizny. W tym ostatnim razie rada miejska może postanowić aby bank nosił imię ofiarodawcy np. „Bank miejski w Kielcach

Romana Linowskiego", oraz mianować tegoż ofiarodawcę kuratorem banku.

Zarząd banku miejskiego składa się z dyrektora i najmniéj dwóch towarzyszy wybranych na cztery lata przez radę miejską.

Operacye banku są następujące: przyjmowanie wkładów, udzielanie pożyczek na rozmaitego rodzaju zastawy, skup weksli, *incasso* i inne czynności komisowe, otwarte kredyty, przekazy sum pieniężnych, kupno i sprzedaż papierów publicznych, pożyczki na zastaw domów murowanych i drewnianych, fabryk, ziemi, tak w obrębie miasta jak i w całéj gubernii i t. p.

Zarząd banku składa corocznie radzie miejskiéj sprawozdanie z czynności dla szczegółowego zbadania przy pomocy wyznaczonéj przez nią komisyi rewizyjnéj.

Z czystych zysków banku wydziela się 10 — 20% na powiększenie kapitału zakładowego i na fundusz rezerwowy. Daléj część zysków może być obracana na ogólne potrzeby miasta, na cele dobroczynne, na utrzymanie szkół i t. p. Resztę zysków dołącza się do kapitału zakładowego banku.

Lombardy miejskie w Cesarstwie, dopiéro w ostatnich latach zaczęto tworzyć. Za ustawę normalną przyjęto statuty lombardu miejskiego w Wołogdzie.

Lombardy miejskie są także częścią składową samorządu, gdyż pozostają pod kierunkiem i odpowiedzialnością miast, *resp.* rady miejskiéj, która mianuje zarządzającego lombardem, nadaje kierunek czynnościom i sprawdza zdanie sprawy.

Kapitał zakładowy lombardu powinien wynosić najmniéj 4,000 rubli dostarczonych bądź przez miasto, bądź przez osobę prywatną. Uposażenie powiększa się corocznem dołączaniem czystych zysków. Dowód na zastawione przedmioty może być imienny lub bezimienny i dowolnie przechodzić z rąk do rąk. Wysokość pożyczki nie może być mniejszą od dwóch rubli.

Dotąd utworzono zaledwie kilkanaście lombardów, bynajmniéj nie z powodu braku potrzeby tych instytucyi, lecz z przyczyny, że w każdém niemal mieście istnieją prywatne kasy zastawnicze, utworzone często przez osoby wpływowe, które wszelkiemi sposobami starają się przeszkodzić tworzeniu lombardów miejskich. O ile nam wiadomo, ministeryum skarbu i spraw wewnętrznych zwróciło uwagę na powolność w tworzeniu lombardów i wkrótce już mają być zobowiązane do założenia lombardu wszystkie miasta, liczące więcéj niż 10,000 mieszkańców.

Interwencya miast w sprawy szkolne wogóle, a w szczególności kwestya oświaty ludowéj jest również wielkim przywilejem. Ustawa miejska włożyła na miasta obowiązek krzewienia oświaty w miastach, i trzeba oddać sprawiedliwość, rady miejskie nie zawiodły oczekiwań prawodawcy, dowodem kilka danych poniższych, i tak:

	wydatkowano z kasy miejskiéj na cele oświaty na jednego mieszkańca w 1870 r.	w 1890 r. [1])
w Petersburgu	4 kop.	68 kop.
Moskwie	8 „	58 „
Odessie	59 „	69 „
Rydze	99 „	132 „

Udział miast w sprawach szkolnych wypływa bądź z wyraźnego przepisu ustawy miejskiéj, bądź na podstawie specyalnych rozporządzeń prawodawczych.

W ustawie o szkołach miejskich (z 1872 r.) między innemi powiedziano, że szkoły miejskie utrzymują się z funduszów bądź skarbowych, ziemskich, bądź z miejskich lub osób prywatnych. Szkoły miejskie mają od 1—4 klas, ale za staraniem miasta mogą być powiększone do 6-ciu klas.

Każda ze szkół miejskich, utrzymywanych przez miasto, posiada opiekuna honorowego, wybranego przez radę miejską na trzy lata. Opiekun honorowy może wizytować szkołę w każdym czasie, uczestniczyć na posiedzeniach rady pedagogicznéj z prawem głosu i ma obowiązek troszczenia się o byt materyalny szkoły.

Też same przywileje służą opiekunom honorowym szkół utworzonych przez osoby prywatne, z tą tylko różnicą, że ofiarodawca jest opiekunem dożywotnim, a nawet ma prawo przekazania tego tytułu swemu następcy lub miastu.

Drugim typem są szkoły początkowe ludowe (z 1874 roku), które również mogą otwierać miasta lub osoby prywatne. Dla każdéj ze szkół ludowych utrzymywanych kosztem miasta, rada miejska wybiera opiekuna lub opiekunkę.

Daléj, jeżeli miasto przykłada się swemi funduszami w sumie umówionéj do utrzymania gimnazyum lub progimnazyum, to rada miejska ma prawo wyboru kuratora honorowego téjże szkoły, wybór ten jednak potwierdza dla gimnazyum władza Najwyższa, a dla progimnazyum minister oświecenia.

---

[1]) W tymże roku w Warszawie 23 kop. na mieszkańca.

Na zasadzie ustawy 1872 r. miasta mogą otwierać szkoły realne bądź wyłącznie z własnych funduszów, lub też na zasadzie zasiłków na ten cel skarbowi przez miasto udzielanych, w umówionéj wysokości. I w tym razie rada miejska wybiera kuratora honorowego, którego głównym obowiązkiem jest troszczenie się o byt materyalny szkoły.

Również miastom dozwolone jest początkowanie w otwieraniu szkół przemysłowych, technicznych i niedzielnych.

Z powyższego widzimy, jak rozległą pozostawiono miastom sferę działalności w sprawie oświaty tak ludowéj jak i średniéj. Dodać do tego należy, że miastom dozwolono również otwierać i utrzymywać ze swoich funduszów biblioteki publiczne miejskie, muzea, teatry i t. p. i dziś, w Cesarstwie, mało już chyba jest miast, któreby nie posiadały przynajmniéj własnéj biblioteki publicznéj.

Jeżeli miarą ekonomicznego rozwoju miast, ma być wysokość budżetu, a raczéj jego dochodów zwyczajnych, to w Cesarstwie tylko jedna Ryga może stać współrzędnie z wielkiemi miastami Europy, inne zaś miasta i dziś jeszcze mają nader małe dochody. I tak: gdy na jednego mieszkańca przypada dochodów zwyczajnych w 1890 r.: w Paryżu 116 franków, Wiedniu 63 fr., Berlinie 50 fr., to w Odessie 39 fr., Moskwie 35 fr., Petersburgu 34 f., i w jednéj tylko Rydze 52 fr. na głowę.

Ogół dochodów miejskich w 1890 r. wynosił:

w Moskwie	12,493,389	rubli	w Witebsku	100,481	rubli
Petersburgu	8,054,296	„	Berdyczowie	91,919	„
Odessie	3,887,606	„	Brześciu litews.	89,916	„
Rydze	3,191,562	„	Białymstoku	86,235	„
Kijowie	1,496,670	„	Homlu	80,844	„
Wilnie	342,489	„	Dźwińsku	72,296	„
Mińsku	207,861	„	Czerkasach	67,120	„
Żytomierzu	202,427	„	Humaniu	59,970	„
Grodnie	122,754	„	Bałcie	54,643	„
Kownie	198,213	„	Winnicy	52,119	„
Mohylewie	114,013	„	Bobrujsku	48,460	„
Kamieńcu Podolsk.	109,934	„	i t. d.		

Wszystkie miasta w państwie w tymże roku posiadały kapitałów miejskich 36 mil. rubli, w tém tylko trzy miasta gubernii zachodnich miały więcéj niż 100 tysięcy rubli, mianowicie Kijów 455,309 r., Wilno 356,678 r. i Czerkasy 103,764 rubli.

Suma długów miejskich w Cesarstwie przenosi sumę kapitałów, w tém mają długów Kijów 604,687 r. i Wilno 154,868 rubli.

Królestwo Polskie liczy 114 miast, z których tylko pięć ma dochody wyżéj 50,000 rubli i 16 miast z dochodem od 20—50 tys. rubli. Każde zaś z pozostałych 94 miast, pod względem dochodów nie może dorównywać nawet średniéj firmie z za Żelaznéj Bramy lub Nalewek.

Że nasze miasta są wogóle ubogie, o tém chyba wié każdy z czytelników, ale ażeby miały one miéć tak mizerne, tak nieprawdopodobne, a jednak rzeczywiście tak małe dochody miejskie, tego chyba nie wielu z czytelników przypuszczało.

Cóż można powiedziéć o stanie ekonomicznym, o dobrobycie i wogóle nawet o kulturze takich miast jak Sejny lub Wiłkowyszki, z których pierwsze wydało w 1890 r. na porządki miejskie i swoje upiększenie pięć rubli, a drugie na też same cele aż cztery ruble w ciągu całego roku? A czyż lepsze świadectwo można wydać o portowém mieście Nieszawie wydatkującém dziewięć rubli na zakłady dobroczynne i wszelkie inne użytku publicznego, lub o Terespolu, Żelechowie, Łasku, Kraśniku rujnujących się na też potrzeby od 8—22 rubli rocznie?

Łódź nie wiele więcéj nad rubla na głowę zasila budżet miejski. Dochody miejskie w Łodzi są pięć razy mniejsze od dochodów Kijowa a czyż Łódź jest rzeczywiście pięć razy uboższą i pięć razy mniéj zarabia od Kijowa? Chyba nie. Łódź jest istotnie krainą rublami płynącą — ale nie do kasy miejskiéj, nie na korzyść tego grodu, w którym wielu *Cotton-Kingów* przeniosło się z lepianek do wspaniałych pałaców.

Niżéj podajemy wykaz wszystkich miast w Królestwie z oznaczeniem dochodów w 1890 r. rzeczywiście wniesionych do kas miejskich, a mianowicie:

miały dochodu w 1890 roku.

	rubli		rubli
Warszawa	4,446,723	Łowicz	28,207
Łódź	283,801	Suwałki	27,675
Lublin	123,634	Chełm	25,943
Kalisz	94,345	Będzin	23,117
Radom	56,572	Zgierz	22,630
Piotrków	49,982	Pułtusk	21,482
Częstochowa	48,014	Koło	21,405
Płock	47,725	Pabjanice	20,080
Siedlce	38,917	Zamość	18,228
Kielce	36,578	Łęczyca	16,005
Tomaszów rawski	32,698	Mława	15,981
Łomża	31,908	Krasnystaw	15,623
Włocławek	31,468	Gostynin	15,596

	rubli		rubli
Brzeziny	15,425	Węgrów	5,816
Przasnysz	14,827	Sejny	5,724
Skierniewice	14,752	Błonie	5,149
Biłgoraj	13,775	Opoczno	5,138
Noworadomsk	12,776	Preny	5,104
Kolno	12,657	Włodawa	5,052
Rawa	11,785	Opatów	5,007
Ciechanów	11,489	Brześć kujawski	4,946
Augustów	10,917	Radzyń	4,876
Wiłkowyszki	10,844	Garwolin	4,807
Olkusz	10,592	Żelechów	4,807
Hrubieszów	10,519	Kałuszyn	4,702
Sandomierz	10,351	Ostrów	4,697
Płońsk	10,394	Staszów	4,653
Kutno	10,115	Nieszawa	4,580
Ostrołęka	10,099	Dobrzyń	4,548
Łuków	9,442	Mszczonów	4,502
Sieradz	9,046	Chmielnik	4,499
Ozorków	8,982	Warka	4,461
Biała	8,941	Rypin	4,435
Maryampol	8,853	Szydłowiec	4,324
Lipno	8,800	Przedborz	4,295
Maków	8,650	Pińczów	4,170
Turek	8,232	Chęciny	4,089
Dembe	8,215	Miechów	4,078
Konin	8,115	Łask	4,017
Tomaszów Lubelski	8,021	Słupca	4,006
Międzyrzecz	7,507	Nowomińsk	3,939
Wielnń	7,454	Radzymin	3,901
Janów	7,495	Tykocin	3,791
Kalwarya	7,406	Szczebrzeszyn	3,758
Sochaczew	7,374	Warta	3,781
Sierpc	7,317	Błaszki	3,776
Szczuczyn	7,107	Nowydwór	3,517
Końskie	6,971	Wierzbołów	3,476
Grójec	6,879	Nasielsk	3,468
Łęczna	6,507	Lubartów	3,450
Zakroczym	6,471	Kraśnik	3,173
Kozienice	6,258	Wyszogród	3,068
Władysławów	6,270	Działoszyce	3,032
Gąbin	6,241	Ostrowiec	2,736
Sokołów	6,127	Parczew	2,685
Dubienka	5,988	Terespol	2,351
Zduńska Wola	5,962	Szaki	2,146

Wogóle wykonanie budżetu z 1890 r. wszystkich 114 miast Królestwa tak się przedstawia:

Dochody.	rubli	% ogółu dochodów
a) zwyczajne:		
1. Opłaty od nieruchomości	1,129,913	18,2
2. Dochód z czynszów i nieruchomości własnością miast będących	904,269	14,6
3. Podatki pośrednie	616,689	9,9
4. Opłaty przemysłowe	532,015	8,6
5. Dopłaty na rzecz miast do podymnego, patentów i t. p.	118,751	1,9
6. Dochody rozmaite i przypadkowe	464,120	7,5
łącznie dochodów zwyczajnych	3,765,754	60,9
b) dochody nadzwyczajne	2,413,664	39,1
Ogółem dochodów	6,179,418	100,

Wydatki.	rubli	% ogółu wydatków
a) zwyczajne:		
1. Wydatki na administracyę (zarząd) miasta	1,387,210	25,9
2. „ na zakłady dobroczynne i użyteczności publicznéj	665.809	12,4
3. Wydatki na potrzeby długu miejskiego	674,313	12,6
4. „ na uporządkowanie miast	464,201	8,7
5. „ na utrzymanie nieruchomości miejskich i najem lokali	285,480	5,3
6. Różne wydatki	144,902	2,6
7. Wydatki na potrzeby wojskowe	10,273	0,2
łącznie wydatków zwyczajnych	3,632,188	67,8
b) wydatki nadzwyczajne	1,722,466	32,2
Ogółem wydatków	5,354,654	100,—

Kapitały wszystkich miast w Królestwie wynosiły 3,124,221 rubli, z tych najwięcéj miały kapitałów:

	rubli		rubli
Łódź	428,264	Łęczyca	62,552
Warszawa	337,496	Siedlce	62,225
Kalisz	113,458	Olkusz	51,174
Lublin	125,455	Tomaszów Rawski	47.585
Gostynin	129,513	Płońsk	45,552
Włocławek	107,900	Skierniewice	42,183
Radom	107,502	Krasnystaw	45,890
Piotrków	88,256	Łowicz	45,078
Płock	72,406	Konin	40,826.

Wogóle 64 miasta posiadają kapitały wyżéj 10,000 rubli. Jest to fakt nader pocieszający, zwłaszcza wobec zamierzonéj reformye miast. Nowa administracya miejska znalazłaby zaraz na wstępie

dostateczne środki do utworzenia znacznéj liczby tak pożytecznych i niezbędnych instytucyi, jak banki miejskie i lombardy. Jeden tylko Wyszogród miał kapitał mniejszy od 1,000 rubli (732 ruble).

Chociaż nasze miasta są ubogie w dochody, są jednak stosunkowo zamożne w kapitały. Co się tyczy obdłużenia, to oprócz Warszawy, trzy tylko miasta w Królestwie miały długi, mianowicie: Brzeziny 60,000 rubli, Kalisz 10,320 r. i Kielce 10,192 ruble.



Manfred, hr. Henryk i Płoszowski

jako przedstawiciele trzech pokoleń XIX stulecia.

(Dokończenie).



Na uczucie miłości składają się bardzo liczne pierwiastki a przewaga tych lub owych służy za doskonały probierz charakteru moralnego jednostki. Jeśli zostawimy na uboczu niższe żądze, wchodzące w skład tego uczucia, to czysto psychologiczne jego składniki możemy uważać za należące do dwóch kategoryi: czynników estetycznych, t. j. nieświadomego i nieprzezwyciężonego wrażenia, które piękno wywiera na zmysły i moralnych t. j. tych, których siła pociągająca polega na ocenie charakteru moralnego lub położenia ukochanéj istoty. Im większa rola w miłości przypada zmysłom, tém bardziéj przedmiot jéj jest „upragniony”, gdyż nie jest ona czystą, estetyczną kontemplacyą prawdziwego poety-artysty, lecz raczéj da się porównać z zazdrosną chciwością zbieracza pseudo-estetyka; przeciwnie, im mniéj samolubną jest miłość, im mniéjszy w niéj udział bierze egoizm, tém przedmiot jéj jest bardziéj „ukochany”, tém chętniéj zdobywamy się na poświęcenie się dla niego. Pierwszy rodzaj uczucia budzi się najczęściéj w naturach płytkich moralnie a czepia się najchętniéj powodzenia i blasku; drugi świadczy o naturze głębszéj uczuciowo i szuka przedmiotu swego w zaciszu; czasem nawet czyjeś cier-

pienie zasłużone lub nie, nieszczęście i t. d. stają się zródłem miłości dla podobnych natur.

Płoszowski jest, jak sam mówi o sobie, istotą bardzo złożoną, taką téż jest i miłość jego; ale rozglądając się w niéj uważniéj, łatwo dostrzeżemy ogromną przewagę czynników estetycznych i samolubnych.

Przypomnijmy sobie pojedyncze momenta roztaczającego się w powieści dramatu.

Płoszowski spotyka się z Anielką na balu. Nic tak potężnie nie wpływa na postęp i charakter miłości, zwłaszcza w naturach poetyckich, jak pierwsze spotkanie. Owo pierwsze spotkanie było doskonale obmyślane przez matkę Anielki, któréj tajemnicę zdradza ciotka.

„Ślicznie jéj w tych fiołkach! Ha! może to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczył!"

Ale grunt tu nie we fiołkach ani w balowym stroju, który, mówiąc nawiasem, rzadko upiększa kobiétę, tylko w tém całém otoczeniu sztuczném, w téj atmosferze balowéj, odrywającéj człowieka od rzeczywistości i podniecającéj fantazyą. Płoszowskiego, tego typowego pseudoestetyka, nie wzruszyła by, jak Ulissesa, piękna królewna Nauzykaa, zajęta praniem szat na brzegu morskim.

Wszystko składa się na zbliżenie Leona z Anielką: i ta poufałość, do któréj upoważnia blizkie kuzynostwo, i urok zupełnéj nowości — gdyż Anielkę znał Płoszowski poprzednio jako małe dziecko, i ta poczciwość pozornie czysto braterskiego stosunku, który zdaje się mówi do obojga: „czy tak czy inaczéj, mam prawo i powinienem kochać." Wprawdzie Płoszowski, jak wszyscy ludzie bez charakteru, jest kapryśny i przekorny; „nie lubi by go pytano", chociaż jak sam mówi gdzieindziéj, „zmysły prowadziły go zawsze tam, gdzie im się podobało." Więc i tu zamiary ciotki zbyt widocznie stają pozornie (w jego oczach) jako przeszkoda; w gruncie jednak tylko więcéj zachęcają i budzą jego ciekawość: już przed spotkaniem zastanawiał się nad pytaniem: gdzie jest ta doskonałość, którą uszczęśliwić go chce ciotka. A co najwięcéj go zwycięża, to sympatya dlań Anielki, która jest jak najlepiéj względem niego uprzedzona i uważa go prawie za przeznaczonego jéj na męża, owa bezwiedna kokieterya, „śliczna, bo płynąca z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu."

Miłość szybko rośnie; blizkość i zacisze wiejskie sprzyjają jéj. Widok szczęścia domowego Śniatyńskich—młodego kochającego się

małżeństwa i energiczne namowy jego [1]) już popychają Płoszowskiego do stanowczego kroku, ale, jako człowiek słaby, odkłada do jutra. Tymczasem w chwili, gdy uczucie jego, poparte rozumowaniami Śniatyńskiego, dochodzi do najwyższego punktu, wiadomość o chorobie ojca nagle wzywa go do Rzymu. W krótkim czasie ojciec jego umiéra. Smutny ten wypadek był by dla każdego innego powodem zapewne do odłożenia planów matrymonialnych, ale nie do ich porzucenia na zawsze. Przeciwnie, może właśnie smutek i poczucie samotności jeszcze więcéj pobudziły by do szukania współczucia i podpory ze strony kochającéj i ukochanéj duszy, a koniec pierwszego tomu był by dla każdego innego końcem powieści. Ale nie dla Płoszowskiego. Też same uczucia popychają go właśnie w przeciwną stronę, w objęcia zmysłowéj kobiéty, pozbawionéj wszelkiéj wartości moralnéj, dla któréj czuje pogardę, przebijającą się w każdém o niéj słowie, i rozdrażnienie jako na przyczynę swego upadku, prowadzące go aż do niesprawiedliwości względem niéj. Ta haniebna niewola dobrowolnie przyjęta dezoryentuje go zupełnie i niweczy w nim te ostatnie ślady woli, których nie zniszczyło przygnębienie po śmierci ojca. „Zatraca się we mnie poczucie dobrego i złego” pisze on w tym czasie. „Przypuśćmy, że jesteś gorszy niż byłeś; dla czegóż masz męczyć się z jakiegokolwiek powodu?” Kapryśną miłość własną jego podnieca list ciotki, która niezręcznie wspomina o zamiarach Kromickiego względem Anielki, domagając się stanowczéj odpowiedzi od Leona. Pod chwilowém wrażeniem rozdrażnienia, w téj obojętności na wszystko, w którą wtrąciło go poczucie upadku moralnego, odpowiada Płoszowski, że „życzy Anielce szczęścia z Kromickim.” I ta odpowiedź była by zrozumiałą w ustach kogo innego: po epizodzie z Davisową człowiek, który „nie utracił poczucia dobrego i złego”, nie miał by odwagi mówić Anielce o swojéj miłości; wyrzeczenie się jéj było by natu-

---

[1]) ... Na wagę złota ją bierz! co to na wagę złota! — na karaty—rozumiesz! Ty nie masz poprostu stałego miejsca zamieszkania, nietylko pod względem fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie masz spokoju — ona ci to wszystko da. Tylko jéj nie przefilozofuj, jak przefilozofowałeś swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat życia!“

Po takiém energiczném napędzaniu powziął Płoszowski chwilowe postanowienie:

— Nie, jéj nie przefilozofuję bo ją kocham. I odprowadzając Anielkę do domu całuję ją, a późniéj w sposób bardzo przejrzysty zapowiada oświadczyny na jutro, sam zaś pisze w swoim dzienniku: „Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę.“—Tylko że ten człowiek nigdy nie ma odwagi oddać się temu uczuciu i zanurzyć się istotnie.

ralnym wynikiem winy względem niéj i znowuż punkt ten był by punktem końcowym powieści. Inaczéj jednak z Płoszowskim — on, który się sprzeniewierzył Anielce w tak haniebny sposób, który pozostawia ją przez parę miesięcy bez żadnéj wiadomości o sobie, dręczoną smutkiem za nim i niepokojem oń, ten Płoszowski, czuje się jeszcze obrażonym tém, że ciotka mu pisze o zalotach Kromickiego, któremu zresztą bynajmniéj nie sprzyja Anielka, z upragnieniem oczekująca od Leona tak znacząco przyrzeczonego stanowczego słowa. Ta rada jego jest objawem kaprysu, miłości własnéj podrażnionéj złą myślą, że może Anielka waży Kromickiego na téj saméj szali co i jego. Dopiéro wiadomość, że Anielka, wziąwszy do serca jego radę, dała słowo Kromickiemu, galwanizuje go chwilowo—ale znowuż tylko chwilowo: w naturze Płoszowskiego jest coś takiego, co mu każe robić tylko pół kroku nawet tam, gdzie inny nie potrafił by posunąć się mniéj jak o cały. Zamiast tego, żeby pojechać natychmiast, przeprosić i przejednać sobie Anielkę, zmusić ją przez osobiste widzenie do cofnięcia nierozsądnego przyrzeczenia, co by był niezawodnie uczynił każdy w takich okolicznościach, Leon posługuje się pośrednictwem telegrafu i Śniatyńskiego. Płoszowskiemu wciąż chce się, żeby inni nie tylko robili za niego [1]), ale za niego chcieli i domyślali się prawdziwych jego pragnień z poza sprzecznych wygłoszonych przezeń zdań i uczuć. Kiedy te kroki a raczéj półkroki nie doprowadzają do niczego, Płoszowski leczy się na zmartwienia miłości tak, jak zwykle leczą na wszelkie zmartwienia ludzie bogaci, t. j. za pomocą podróży. Późniéj, jak wszyscy ludzie skłonni do kompromisów, zadaje sobie „czysto teoretyczne" pytanie, czy miał by prawo sprowadzić panią Kromicką z drogi cnoty, a następnie, nie rozwiązawszy go teoretycznie, przyjeżdża do Płoszowa (gdzie w nieobecności męża bawi Anielka z matką) szukać szczęścia na drodze prób praktycznych. Tu zaczyna się ów ciężki i nizki—bo pozbawiony wszelkiego wyższego tragizmu dramat,—kończący się jednak moralném odrodzeniem Płoszowskiego.

Wytrwałość Anielki przy swych zasadach ma skutek dwojaki. Najprzód, doprowadzając Płoszowskiego do egzasperacyi, każe mu uciec się do wszystkich zasobów swego sprężystego umysłu, aby uzyskać jeśli nie to, co pierwotnie uważał za ostateczny cel swoich zabiegów, to przynajmniéj jakiś możliwy *modus vivendi*, a w tych zabiegach wykazuje, że wcale nie jest pozbawiony potrzebnych w walce życiowéj uzdolnień. Obluzowany mechanizm duchowy tego człowieka, w którym żadna zdrowa sprężyna nie mogła dojść do stanu napięcia, potrze-

---

[1]) „Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień"—pisze on.

bnego dla wywołania ruchu, teraz, podrażniony oporem, wykazuje niezwykłą ruchliwość i doskonałe dopasowanie do siebie wszystkich części. Poprawność tego działania budzi w Płoszowskim i „szczęście mistrza, który czuje, że mu się arcydzieło udaje, ...i zadowolenie pająka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci.” Wszystkie te wyrachowania i zabiegi rozbijają się jednak o niezachwiane zasady Anielki, jak morskie fale o granitową skałę. Ów „mistrz i pająk”, który nie mając żadnych zasad, nie wierzył w istnienie podobnéj niezłomności i dla tego nie wziął jéj w rachubę, zostaje zwyciężony zawsze i tém mocniéj wije się w mękach niepowodzenia, im pewniejszym był zwycięstwa.

Ale jednocześnie opór Anielki budzi w nim coraz większą cześć dla niéj, coraz to uszlachetnia jego miłość, podnosi ją i z mieszaniny kaprysu, zmysłowych popędów, miłości własnéj i estetycznego pociągu, wydziela czyste etyczne ziarno, oczyszcza to złote jądro, które, według słów Śniatyńskiego, kryło się w sercu Leona pod skorupą kwarcu. Anielka była pierwszą zacną młodą kobiétą, którą spotykał w życiu.

Kochała go—nie wątpił o tém. Wobec tego jéj opór zdaje mu się z początku niemożliwym, późniéj niezrozumiałym, niedorzecznym—wywołuje on szereg ironicznych uwag nad „prostotą duszy kobiét” zadawalniających się „dziesięciorgiem” i „kodeksem uczciwéj Magdy”, przez które jednak dobrze prześwieca ów pogląd lisa na zbyt wysoki gołębnik, tak często występujący w jego sądach o kobiétach — ale mimo to wszystko nie może nie kochać jéj i nie czcić coraz więcéj.

Uboczném następstwem tego wszystkiego jest szereg mniéj lub więcéj cynicznych, mniéj lub więcéj rzewnych ustępów w jego dzienniku, zapełniających dwa ostatnie tomy powieści, a w których umysł jego umiejący „zawiesić się na każdym przedmiocie, jak małpa zawiesza się ogonem na gałęzi — i wywracać koziołki”, odsłania nam całą chwiejność i bezwyznaniowość moralną, stanowiącą bardzo ciekawy okaz etyki „bezdogmatycznéj”...

„Mogłem stać się twojem szczęściem, a stałem się nieszczęściem —i ja to jestem przyczyną twéj śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych—nie przyszły by na ciebie te wstrząśnienia, które cię zabiły.

„Jam to już podczas ostatnich twych chwil na świecie zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą...

„A czy Ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się; ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny unosi mo-

nadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia...

„Ale jeśliś Ty przez moje „niewiem" umarła — jakże ja mam tu zostać i żyć?

„Więc im bardziéj się boję, im bardziéj nie wiem, témbardziéj nie mogę Cię tam saméj puścić—nie mogę moja Anielko i idę"....

W tych ostatnich chwilach staje Płoszowski na wysokości tragicznéj godnéj Manfreda, do którego znowuż zbliża się tém, że jak tamten jest przyczyną śmierci swojéj ukochanéj, że jak tamten zabija ją miłością swoją. Jakie podobieństwo, ale i jakaż różnica pomiędzy tylko co przytoczonym ustępem a temi prostemi i silnemi słowy z monologu Manfreda: „Gdybym nie był nigdy żył, ta którą kocham była by przy życiu; gdybym nie był kochał, ta którą kocham była by wciąż piękną, szczęśliwą i darzącą szczęściem" [1]. Manfred poszedł do piekła, aby jeśli nie wydrzéć królestwu śmierci kochankę swoję, to przynajmniéj ujrzéć ją; Płoszowski umié tylko pójść w jéj ślady...

Tak apoteozują się ostatecznie uczucia Płoszowskiego; dusza jego stopniowo oczyszcza się. Jak Poza staje się dla Karlosa tłomaczem jego miłości i od Królowéj stopniowo odwraca uczucia jego ku pognębionéj mieczem i stosami Alby Flandryi, tak Anielka, tłomaczy Płoszowskiemu miłość jego, a chociaż nie uczyni zeń bohatera, podnosi go jednak do godności człowieka szczerze kochającego. Z początku, gdy swoim dobrotliwym wpływem usiłuje go wyprowadzić z owego zaczarowanego koła ustawicznego czyhania i podstępów, jemu się zdaje, że go wyprowadzają w pole, a gdy następuje w nim ostatni przełom — śmierć dawnego Płoszowskiego — zdaje mu się, że to już koniec jego istoty; ale teraz właśnie odrodzony i oczyszczony wraca do niéj z lepszém uczuciem i z tém uczuciem idzie za nią w wieczność.

Tak gdy bóg, zerwawszy wnet z ziemskością
I ludzkiego zbywszy się okrycia
W szlak eteru promieniejąc wpada —
Lot niezwykły poi go radością,
Płynie wzwyż — a sen ponury życia
Coraz niżéj... niżéj... w dół opada.

(Schiller. Ideał i życie).

. . . .

---

[1]) *If I had never lived, that which I love*
Had still been living; had I never loved
That which I love would still be beautiful
Happy and giving hapiness.

(Akt II, Sc. 2).

Jeśli pominiemy tę ostatnią fazę miłości Płoszowskiego, w któréj wznosi się ona na etyczne wyżyny, to w całym jéj poprzednim przebiegu zauważymy ogromną przewagę czynników niższych estetycznych a raczéj pseudo-estetycznych.

Miłość jego zależy zupełnie od dekoracyi, wśród jakich widzi Anielkę: bierze go za serce, gdy ukazuje się w błękitném świetle ranka po skończonym balu, a „psuje mu ją”, ciotka, opowiadając o zalotach Kromickiego. Wogóle podobny jest w tym względzie do uczniaka, który rozczarowuje się w swoim ideale, zobaczywszy rozpruty bucik lub plamę na sukience. Lecz i do tego estetycznego uczucia nie podnosi się Płoszowski odrazu: pierwsze jego myśli są znowuż „poglądem lisa na gołębnik”. „Ach żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!”—takim wykrzyknikiem kończy opis pierwszego spotkania. Dopiéro gdy ją odjechał, błękitna mgła oddalenia przesłania rzeczywistość, naturalna idealizacya uczuciowa robi mu z niéj „więcéj ukochaną duszę a mniéj upragnioną kobiétę”, ale téż uczucie to również szybko słabnie jak i idealizuje się: elizejski cień Anielki, zachowany w pamięci, musi ustąpić wobec rzeczywistości w postaci Dawisowéj.

Płoszowski jest naturą wysoce wrażliwą w zakresie taktu psychologicznego; posiada on wiele poczucia delikatności i przyzwoitości moralnéj, i te to cechy ma niezawodnie na myśli, mówiąc o sobie, że wrażliwość estetyczna .. chroni go od cynizmu czyli od ostatecznego zepsucia;—w jakim stosunku zostaje ta właściwość do „bezwzględnéj piękności jako egoizmu” wcielonego w Dawisowéj i czy może ona zastąpić etykę, o tém powiemy niebawem kilka słów. Wrażliwość ta nie pozwala Płoszowskiemu oświadczyć się Anielce po otrzymaniu wiadomości o chorobie ojca; tak przynajmniéj sam tłomaczy ową zwłokę: „Było by czémś przeciwném naturze i cyniczném z mojéj strony szeptać czułe słowa, nie wiedząc czy właśnie w téj chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia”. Takie usprawiedliwienie zawiéra jednak tylko połowę prawdy; Płoszowski jako człowiek ogarnięty wprost panicznym strachem wobec jakiegokolwiek bądź postanowienia, obawiający się nadewszystko „zatrzaśnięcia klamki”, rad oczywiście ze sposobności, która mu pozwala odroczyć tę straszną chwilę. Nie mamy jednak powodu nie wierzyć mu, iżby i przytoczony przezeń skrupuł nie odegrał w tém swojéj roli; a w takim razie służy tylko za wyraźny dowód tego jak lekkomyślnie i płocho pojmował Leon miłość w tym jéj pierwszym okresie. Gdyby ją brał nawet ze strony czysto estetycznéj, ale prawdziwie estetycznéj, gdyby była dlań taką świętością jak sztuka dla artysty; nie wydała by mu się cyniczną mowa o niéj nawet w naj-

groźniejszéj chwili, tak samo jak nie raziła by modlitwa płynąca w podobnéj chwili z ust wierzącego. Zapewne, że w tych okolicznościach inaczéj by mówił o niéj niż w zwykłych. Ale dla Płoszowskiego miłość nieodłączną była od „czułych szeptów" i całéj téj fałszywéj sceneryi, któréj się nauczył w swoich „godzinach sali". Patrząc przytem na świat przez odwrócone szkła swego dziecinnego egoizmu, który mu oddalał i czynił małém wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z jego przyjemnością, wyprowadza on taką filozofią, „że wojownik, kanclerz państwa, kupiec, bankier, rolnik" pracują jedynie na to „by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei!" Nie przychodziła mu na myśl, pod formą poważnego postanowienia związania na zawsze życia swego z życiem innéj istoty w otoczeniu całego szeregu obowiązków, wkładanych na siebie, obowiązków przedewszystkiém względem rodziny i ojca, który za kilka dni miał wykrzyknąć:

— Cobym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synowę! Daléj względem Anielki i społeczeństwa, dla którego mógł by wychować kilku dzielniejszych od siebie potomków. Obowiązki te są tak ważne, że bynajmniéj nie bledną wobec grozy śmierci. Czyż nie widujemy w życiu i na scenie par kochających się połączonych ręką umierającego, a kombinacya taka ani razi nas cynizmem ani się wydaje niestosowną: przeciwnie, groza śmierci kładzie piętno swojéj powagi na miłość, podnosząc ją z estetycznie uczuciowego związku do wysokości etycznéj.

Czyż naprawdę Leon nie mógł przewidzieć, jaką radość sprawiła by ojcu wiadomość o tém, że syn jego nareszcie przybił do tego, co nazywają portem życiowym? Czy z drugiéj strony niewiadomość o stanie zdrowia ojca, konieczność wyjazdu na czas nieokreślony i prawdopodobieństwo odroczenia ślubu wskutek żałoby, nie były by pobudziły człowieka sumiennego na jego miejscu do związania siebie słowem, chociażby dla tego, żeby nie zostawiać Anielki w niepewności po tém przyrzeczeniu połowicznem czegoś stanowczego „na jutro?"

Ale nie tylko nie uczynił tego nawet z Rzymu, gdy zdrowie ojca chwilowo polepszyło się, gdy bawił się marzeniami o przyjeździe Anielki i ślubie w Rzymie—to tak dogodne dla słabych natur: marzenia do niczego nie obowiązują, a namarzywszy się lub wygadawszy czują, że już zadość uczynili swojéj potrzebie czynu—zaledwie zdobył się na pozdrowienie jéj w przypisku do listu.

Gdyby pobudka do wstrzymania się z oświadczeniem, którą wystawił Leon, była prawdziwą i jedyną, to teraz właśnie nasuwała się doskonała sposobność naprawienia złego i wyprowadzenia Anielki z niepewności. Mógł by był napisać to, czego nie mógł powiedzieć,

tém bardziéj, że list służy za jedno z owych ułatwień, które według jego wyznania, tak potrzebne są dla natur słabych. Ale i na ten środek okazuje się za słabym: „Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki." — Te „zamiary ciotki" są wspaniałe; nieświadomie wykazuje tu Płoszowski, jak mało w grę wchodziła jego wola, jak mało przyzwyczaił się obierać ją za dźwignię dla swoich czynów.

Dla czegoż nie może się zdobyć na list, tak jak nie mógł się ...zdobyć na słowo kiedy chciał je wyrzec? Wszystkie ćwiczenia w „godzinach sali", gdzie był tak pewnym siebie, nie pomogły mu nic w téj jednéj godzinie gdzie szło o jego przyszłość. Dlaczego? Dla téj saméj przyczyny, dla jakiéj łatwiéj być odważnym wobec floreta z guzikiem i w drucianéj masce, niż wobec gołéj szpady. „W godzinach sali" Leon urządzał sobie rozrywkę i wiedział, że mało go obejdzie jeśli ta rozrywka nie powiedzie się; tu kochał prawdziwie. W „godzinach sali" wszelkie wynurzenia miłosne do niczego go nie obowiązywały; tu szło o postanowienie na całe życie, przed wszelkiém zaś stanowczém postanowieniem czuł Leon dreszcz zgrozy, jak tchórz przed śmiercią. Co dla natury energicznéj było by właśnie najsilniejszą pobudką — prawdziwość uczucia, ważność i stanowczość chwili — to na niego działało jak hamulec.

Zamiast więc napisać parę stanowczych słów do Anielki, zapisuje długie stronníce dziennika swojemi wahaniami i zwątpieniami lub trawi godziny na gawędziarstwie z Davisową, o któréj sam mówi, że „inteligencya jéj nie jest inteligencyą duszy, lecz mózgu", t. j. że ma tylko głowę umeblowaną pięknemi ideami, nie przenikającemi do serca—jak to zresztą i u nas często spotkać można — i że „na religię, sztukę, filozofią, literaturę patrzy jak na przybory tualetowe", ale za to ma ciało Junony i męża zużytego morfinika, za którego poszła dla jego bogactw, albo jak naiwnie powtarza za nią Płoszowski „nie wprost dla jego milionów, ale dla tego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy ludzkiéj, ozdobne. Ponieważ zaś potrzebuje on ciągle usprawiedliwiać się przed sobą z braku postanowienia, więc utraciwszy jeden powód wyszukuje nowy dla uzasadnienia swych wahań: zaczyna rozważać, czy ma prawo żenić się z Anielką, nie będąc pewny, że ją uszczęśliwi; godne szacunku zastanowienie, gdyby nie było tylko wybiegiem, po za którym ukrywa się jeszcze większa, bo rzeczywista krzywda zamiast urojonéj, lub gdyby postawione było wcześniéj.

Po śmierci ojca, nagle przerywającéj tę „letnią kąpiel dyletantyzmu", gdy ciotka przyjeżdża i z całą delikatnością kochającéj ko-

biéty zaprasza go do Płoszowa, on widzi w tém „tylko chęć prowadzenia daléj swatów”, co oburza go wobec świeżéj mogiły ojca. Oburzenie to jednak nie przeszkadza mu jechać z Davisami do Peli i tu niebawem znaleźć wcale nie idealnie-sielankową pociechę w osobie pani Davisowéj.

Wprzód jeszcze nim to nastąpiło, analizując swoje uczucie dla Anielki pisze: „Śmierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak samo było by naprzykład gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego”. To porównanie jest bardzo charakterystyczne. Płoszowski jak i hr. Henryk ma zawsze w sobie widza i aktora. I w tym względzie jednak istnieje między nimi różnica. Pierwszy ma tak osłabione władze czynne, że nie czuje głębokiéj różnicy pomiędzy marzeniem a życiem, miłość dla niego jest tylko „dziełem literackiém”; to owo niepochwytne, a jednak tak silnie odczuwane przez każdą zdrową naturę, coś, które odróżnia fikcyę od rzeczywistości, dla niego prawie nie istnieje. Hr. Henryk przeciwnie tak poetycznie odczuwa każde uderzenie rzeczywistości, że wydaje mu się jakoby tylko „dramat układał.”

Zkąd to podobieństwo i zkąd różnica?

Przyczynę pierwszego już wyjaśniliśmy wyżéj: ani jeden, ani drugi nie mają tego „zdrowego rozumu” filistrów, który ściśle odgranicza zakres „złudzeń” od zakresu rzeczywistości; granica ta zaciéra się w nich tak dalece, że jedno zlewa się z drugiém. Podobni są, bo obaj należą do jednego typu ludzi; różnica wynika ztąd, że należą do różnych pokoleń, że wychowali się w odmiennych warunkach dziejowych, pod wpływem niejednakowéj filozofii. Henryk był dzieckiem epoki romantyków i idealistów, dla których idea była wszystkiém; poezya, na któréj się wychował, uczyła go wznosić oczy ku gwiazdom, filozofia, na któréj się kształcił, mówiła mu o wszechpotędze ducha i woli, o panowaniu idei nad faktem. Wierny syn tych doktryn gotów był raczéj zdecydować się zbyt pośpiesznie, niż zadługo się namyślać; raczéj pójść za widmem zwodniczém, które fantazya jego ubrała w tęczowe barwy poezyi, niż zatrzymać się w wahaniu na rozdrożu.

Płoszowski wychowywał się wśród realizmu, który zabił poezyę, odrzucił ideały, a za filozofią swoję obrał uwielbienie faktu, t. j. rzeczywistości. Ta filozofia od lat najmłodszych uczyła go, że ideały są chorobliwą i szkodliwą mrzonką, wola — urojeniem, wielkie cele — śmieszną donkiszoteryą. Zamiast porywać się ku gwiazdom kazała mu zbiérać ziarko do ziarka; wskazała rozkosz za jedyny, godny i rozumny cel życia. Jak i na czém mogła się wyrobić ta wola, w którą nie wierzył, któréj nie miał ku czemu skierować, skoro cele o jakich

mu pozwalała myśléć jego filozofia, były tak małostkowe, że dla nich nie warto było chcieć?

Ta filozofia nie przerobiła oczywiście charakteru Płoszowskiego, bo żadna filozofia nie może do gruntu przekształcić człowieka; ale stworzyła ciągły rozbrat pomiędzy wrodzonemi popędami i skłonnościami a rozumem; gdy jedne mówiły „tak", drugi odpowiadał „nie" lub „niewiem"; gdy jedne wołały „chcę", drugi mówił „nie warto." Ten rozdźwięk sparaliżował w nim ostatecznie wolę, bo czémże jest postanowienie, jak nie zadeklarowaną przez rozum chęcią?

Płoszowski jest naturą wysoce złożoną, jest przytém, jak wspominaliśmy, może za mało typem a za nadto indywiduum (co nie jest bynajmniéj zarzutem przeciw jego wartości estetycznéj). To też analizując go, spotykamy w nim jak w każdym żywym człowieku pełno sprzeczności, nie o logicznych tu mówię — bo te wynikają z natury samego typu—ale psychologicznych. Gdy czytamy jego narzekania na filozofią, która uczyniła go nieszczęśliwym, mimowoli zadajemy sobie pytanie: „Czy nie dla tegoś wybrał taką marną filozofię, że i sam jesteś marny?"—bo przecież filozofią sami sobie wytwarzamy, a przynajmniéj z rozmaitych wybieramy tę, która najlepiéj odpowiada naszym usposobieniom, tak jak dobiéramy sobie odzienie do miary. Ale gdy widzimy jak boleść przygniata tego człowieka, kiedy probuje wyprężać się pod tym ciężarem, czujemy w nim siłę atlety ducha i gotowiśmy powtórzyć za nim: „to człowiek, który mógł by wiele zrobić, który ma siły ku temu, brak mu tylko gruntu do oparcia się", brak mu dogmatu, i to nie dogmatu pozaświatowego, ale dogmatu życia; nie tego, z którego płynie wiara kontemplacyjna, lecz tego który stwarza czyn.

Może być, że inna filozofia zrobiła by Płoszowskiego lepszym. Ale cóż ma robić człowiek jeśli znajduje na rynku tylko takie odzienia, które mu nie pasują do miary? Jeśli sam nie umié uszyć, musi wziąć pierwsze lepsze—i cóż dziwnego, że mu w niém niewygodnie?

Przyjął więc poglądy krążące, chociaż wbrew sobie samemu. Ta filozofia powiedziała mu „nie porywaj się do wielkich rzeczy", a on nie śmiał zaprzeczyć; zasłoniła mu dalsze widoki, a on nie miał siły zedrzéć téj zasłony — i oto „jak ptak raniony wlecze skrzydło po ziemi"...

Ale czy ta filozofia uczyniła go jałowym sybarytą życia? Czy ona zabiła w nim twórczość?

Tu już nie polemizujemy z Płoszowskim lecz z Sienkiewiczem. Autor powieści usiłując przedstawić brak dogmatu jako źródło jałowości duchowéj, potrącił o niezmiernie głębokie zagadnienie psycholo-

giczne, zagadnienie stosunku wartości moralnéj jednostki do jéj twórczości umysłowéj.

Tam gdzie jest żywotność, gdzie jest siła uczuć, tam dogmaty powstają same przez się i zupełnie nieświadomie, ci zaś, którzy najwięcéj deklamują przeciw dogmatom, mają zwykle swoje wcale nie chwiejne. A jeśli nawet krytyka z całym arsenałem wiedzy rzeczywistéj lub urojonéj uzbraja się przeciwko owym dogmatom, to człowiek niepozbawiony twórczości, potrafi wystawić argumenta przeciw argumentom i bądź co bądź obronić tę twierdzę, która jest żywotném źródłem jego istoty.

Gdyby Płoszowski był, nie mówię już geniuszem, ale tym człowiekiem obdarzonym pewnemi zasobami twórczości w dziedzinie teoretycznéj lub inicyatywy w zakresie praktyki, nie byłby się zatrzymał w pół drogi analizy i krytyki. Na miejscu rozbitéj filozofii znalazłby nową, swoją własną; zamiast zniszczonych dogmatów, znalazłby nowe, nie troszcząc się o konsekwencyę i o małostki logiczne, a poszedłby pewnym krokiem raz obraną drogą. Ale nie ma w nim tego. W żadnym zakresie nie jest on nowatorem, wzbijającym się nad swój wiek, ukazującym nowe drogi. Jest on tylko zwierciadłem, niezmiernie wrażliwém, odbijającém i skupiającém wszystkie światła i błędne ogniki swego czasu. Dlatego musi przyjąć to życie, na które się jednak nie zgadza — bo jako jednostka typowa, posiada wyrafinowaną uczuciowość i wrażliwość na brzydotę moralną.

I czy *ta* filozofia, na któréj się kształcił Płoszowski, koniecznie już prowadzi do bezdogmatycznego hamletyzmu?

Wprawdzie wiedza nie może dać żadnych haseł do czynu, bo jéj twierdzenia są zawsze względne i warunkowe, nigdy nie rozkazujące; czyn zaś spoczywa na rozkazie. Przeciwnie, sama wiara w wiedzę, spoczywa już na pewnym rozkaźniku, który razem z Feuerbachem moglibyśmy sformułować tak: „Zadawalniaj się światem danym!"

Takim był dogmat pozytywizmu filozoficznego i dogmat ten ma pewną świeżość i żywotność, może służyć za podstawę dla szeroko-humanitarnego rozwoju, czego najlepszym dowodem kult ludzkości u Comte'a i wiara filozoficzna Feuerbacha, którą sam on najlepiéj charakteryzował, mówiąc:

„Bóg był moją pierwszą myślą, rozum drugą, człowiek trzecią i ostatnią."

Ale Płoszowski nie jest pozytywistą; jest on tylko utworem wyrosłym na gruncie pozytywizmu i to nie filozoficznego, szeroko pojmującego swoje zadanie, usuwającego problemata, przewyższające rozum ludzki i pozaświatowe na to, aby całą siłę myśli skupić na praktycznych

i żywotnych, ale tego brukowego pozytywizmu, który był zlepkiem reakcyi politycznéj z niewiarą filozoficzną, braku ideałów w sztuce, z płaszczeniem się przed faktem w życiu, dogmatyką użyteczności i interesu w dziedzinie moralnéj i mieszczańską filozofią współzawodnictwa na polu społecznem.

Bardzo trafnie zestawia p. Bogusławski w swoim rozbiorze powieści Sienkiewicza trzy typy wyprowadzone przez tegoż pisarza w rozmaitych okresach jego twórczości: młodego studenta entuzyastę wiedzy z „Hani", doktora Józwowicza z dramatu „Na jedną kartę" i „Płoszowskiego." Każdy z nich istotnie odpowiada pewnéj fazie rozwoju u nas pozytywizmu, jako poglądu na świat, ale czy można uważać te trzy postaci, jako trzy fazy rozwoju jednego i tegoż samego typu, a może osobnika?

Student z „Hani", ów spartanin w dziurawym płaszczu, napewno nie został ani Józwowiczem ani Płoszowskim, chociaż niezawodnie zmienił się z biegiem lat: wkrótce musiał dostrzedz, że jeśli miłość dla kobiety nie jest w stanie wypełnić i wyczerpać całego życia, to znajdzie się jednak przedmiot godniejszy jego młodzieńczych zapałów, niż przewód pokarmowy wymoczka, a tym przedmiotem jest miłość szersza, miłość „wogóle." Dziś może wiatr stepowy pędzi śnieżne wichry nad jego daleką, nieznaną mogiłą, a pamięć o nim przechowała się zaledwie w sercu kilku przyjaciół.

Józwowicz, już będąc studentem, miał zapewne najlepiéj płatne korepetycye, ubierał się starannie i ukrywał pod rękawiczką swoje chłopskie ręce; Płoszowski uciekał ze szkoły, polując jedynie na wrażenia; obojętny na ideę, równie gotów był ich szukać w dziewiczych lasach Ameryki lub w obozie Karlistów.

Ten ostatni odpowiada rzeczywiście upadkowi i rozkładowi filozofii, któréj pierwszych, pełnych wiary i entuzyazmu początków wyrazicielem był ów student. Ale cóż spowodowało taki rozkład i upadek?

„Coś się stało takiego, że to wszystko — literatura, sztuka, cała cywilizacya — nie tkwi w saméj miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami."

W tych przypadkowo i od niechcenia rzuconych przez Płoszowskiego wyrazach, tkwi klucz do zagadnienia psychologii jego, jako typu. Oderwał się on od życia, utracił pod sobą grunt i czuje niemoc swoją, bo nie ma o co się oprzéć.

Starożytny myt o owym Tytanie, synu ziemi, który dopóty jest

silny i niezwalczony, dopóki spoczywa na jéj piersi, da się najzupełniéj zastosować i do świata moralnego.

Ludzie w położeniu Płoszowskiego podobni są do wybujałych kwiatów, które utraciwszy związek z gruntem życiodajnym więdną bezużytecznie. Ten rozdźwięk pomiędzy masą a inteligencyą, to oderwanie się téj ostatniéj jest przyczyną jéj jałowości, wyczerpania żywotnych sił, téj anemii duchowéj, która powoduje i zanik dogmatów. Gdzie uczucia są silne i głębokie, dogmaty istnieją nieświadomie; człowiek ich nie spostrzega, jak nie czuje obecności zdrowéj ręki. Trzeba je stracić, aby uczuć ich brak.

A jeśli te naturalne i instynktowe podwaliny, na których one spoczywają, utracą żywotność swoją, jeśli analiza rozumowa rozłoży doszczętnie naiwne wierzenia nie badawczego umysłu, to w zdrowém społeczeństwie zastąpi je nowemi myśl twórcza geniuszów. Ale tam, gdzie geniusze odwrócili się od żywych zagadnień dziejów dla bujania w mglistych błękitach sybarytyzmu duchowego lub egoistycznie zakochani w swoich mrzonkach, potępili i zaprzeczyli prawa bytu tym zagadnieniom żywotnym, tam cywilizacya stając w pół drogi swego dzieła, nie uzupełniając analizy syntezą, rozkładu stworzeniem czegoś nowego, wytwarza typ wcielający niemoc duchową, świadomą swojéj niemocy; poczucie braku podstaw do życia, połączone z niemożnością jego wypełnienia.

Filozofia, któréj hołduje Płoszowski, wprawdzie wielce przyczynia się do zniszczenia tych dogmatów i sprawia, że ta oderwana od życia mas postać spada z wyżyn, na których stoi bohater Nieboskiéj komedyi, na niziny bezdogmatyzmu, ale nie ona jest jego wyłączną przyczyną; jest tylko ułamkiem całokształtu warunków cywilizacyjnych wydających podobny typ, a nawet przeciwnie, jest poczęści ich wynikiem, jeśli nie w osobie Płoszowskiego, to w téj klasie, do któréj on należy. I tu widzimy, jak mszczą się dzieje na osobnikowém życiu jednostki za zaniedbane przez jéj klasę obowiązki społeczne.

Płoszowski również jak i Manfred, jak hr. Henryk i Ugo, pozbawiony jest zupełnie tego idealizmu moralnego, który każe szukać zapomnienia własnych cierpień w myśli o ludzkości, który ścieśniając swoje *ja* do rozmiarów punktu matematycznego, sprowadza do nieskończenie małéj wielkości cierpienia osobiste wobec ogromu niedoli całéj ludzkości, wobec olbrzymiego zadania ulżenia téj niedoli; idealizmu, połączonego ze zdolnością uogólnienia, która na każdy cios bolesny życia reaguje myślą: Jak zrobić, ażeby innych ochronić od podobnego?

Taki idealizm byłby go uchronił od owéj obojętności woli, cechującéj całe jego postępowanie, a gdyby się nawet już znalazł w tém tragiczném położeniu, w jakim go znajdujemy na początku drugiego tomu, — wskazałby mu wyjście z niego, kierując wszystkie zasoby ducha, całą moc uczucia ku pracy dla ogółu i w ten sposób wypełniając pustkę, którą zostawiła w duszy stracona nadzieja szczęścia w miłości indywidualnéj.

Egoizm więc, ciasny egoizm, owo skupienie całego życia na swojém maluczkiém *ja*, rozdymanie tego *ja*, w owéj niby to chorobie analizy, która w rzeczywistości jest Narcyzowskiém pozowaniem przed sobą samym, rozdymanie do tak potwornych rozmiarów, że w koncu wszystko ruguje się z duszy prócz pragnienia dogodzenia owemu *ja*, to wyrafinowane przez wszystkie środki cywilizacyi, kultury, zamożności, samolubstwo jest bezpośredniém źródłem braku dogmatów a pośrednią przyczyną braku woli, sprowadzającego tragiczne położenie Płoszowskiego. Egoizm klasowy — jako członka inteligencyi, zapominającéj o obowiązkach swoich i egoizm osobowy, jako jednostki. Jest to ten sam arystokratyzm ducha, który był źródłem tragizmu Manfreda i hr. Henryka. Tylko ci dwaj pojmowali go szlachetniéj: pierwszy szukał czegoś i nie znalazł, porywał się ku wyżynom i gotów był uszczęśliwić ludzkość po drodze, byleby ten czyn stał się podnóżkiem jego wielkości, ale uszczęśliwiając nawet, czułby, „że jego ścieżki nie są ścieżkami tłumu.” Drugi stanął w obronie tego, co minęło, nie poznał idei postępowej wieku — ale chociaż arystokrata ducha, również wzbijający się nad masę, walczył i zginął za to, czego bronił wbrew przekonaniu. Płoszowski nie walczy, nie działa, nie ma żadnych idei wyższych, nie wié o niczém na świecie, tylko patrzy w siebie samego i wylewa potoki słów z powodu każdego szpilkowego ukłucia, które dostaje z zewnątrz.

I jakaż kolosalna różnica w zachowaniu się wobec narzuconych przez społeczeństwo powijaków ze strony tamtych bohaterów a Płoszowskiego! Jaka uległość tego ostatniego względem despotyzmu przyjętych zwyczajów i przepisów towarzyskich!

Burząc w myśli wszystkie zasady moralne, rozkładając swoim sceptycyzmem wszystkie ideały, on — jako prawdziwy dekadent, z pokorą uchyla się przed konwencyonalizmem wymagań dobrego tonu i ani myśli łamać się z wymaganiami przyjętéj etyki.

„Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teoryi, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślu nych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie — i eraz — ja będę mieszkał z mojemi teoryami, a Kromicki z Anielką.”

Bo też hamlecik XIX wieku nosi swój dramat „pod ko szulą” bojąc się nawet zdradzić ze swoją miłością, że już ani wspomnieć o walce w jéj imię. Bohaterowie Byrona, gdy społeczeństwo obrażało ich poczucie sprawiedliwości, świadomi swéj potężnéj indywidualności, rzucali mu rękawiczkę, wypowiadali wojnę, zostawali korsarzami, giaurami; ale Płoszowski jest zbyt dobrze wychowanym młodzieńcem, aby w czémkolwiek, prócz pamiętnika, zdradzić się z oburzeniem swojém.

Z tém wszystkiém Płoszowski jest doskonalszy od różnych manekinów b e z d o g m a t u o całą wyższość Sienkiewicza nad tymi powieściopisarzami, którzy próbowali sił swoich nad pokrewnemi typami, a wyższość ta polega na tém, że jest żywym człowiekiem, nie zaś abstrakcyą, że będąc typem, jest zarazem i osobą.

Jako osobnik, Płoszowski urosł w takich warunkach, które przyczyniły się do uszlachetnienia wielu niemiłych rysów i do uczynienia go interesującym, jako bohatera powieści. Próżniacze wychowanie arystokratyczne potęguje w nim wprawdzie niektóre niemiłe rysy; brak zajęcia doprowadza prawie do obłędu, skłonność bawienia się swoją drobną osóbką, swojemi namiętnostkami, którą to zabawę pompatycznie nazywa analizowaniem siebie, a egoizm, do rozwinięcia którego znacznie przyczynia się takie wychowanie, nie hamowany żadnemi zasadami, urasta do kolosalnéj wielkości. Z tém wszystkiém Płoszowski jest estetykiem — nie czystym wprawdzie, ale więcéj pseudo-estetykiem — niemniéj ta estetyczność chroni go często od złego. „Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nie tyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć.”

Wszystko to nietylko wypowiada Płoszowski, ale i stwierdza postępowaniem. Wprawdzie ta estetyczność nie posuwa się tak daleko, aby go wstrzymać od cynicznego związku z Davisową, daje mu jednak uczuć całą jego ohydę, odpycha go od niéj, każe mu ją oczerniać w swoim dzienniku, pomimo całéj dobroci, którą mu okazuje po śmierci ojca, a gdy stara się przed sobą samym okryć ten stosunek jakąś osłoną klasyczności i zrobić z téj Cyrcy nowożytnéj kapłankę kultu piękna, to w tém objawia się jedynie tylko sofisterya dekadentyzmu nicująca wartości moralne na pseudo-estetyczne. W rzeczywistości tylko odczuwamy większy wstręt do téj kobiety z etyką prostytutki, która sprzedaje się dlatego, by się stroić — nie zapominajmy, że

nawet ogłada literacka Davisowéj jest dla niéj tylko strojem — a stroi się dlatego, by się drożéj sprzedać. Nie ma tu ani śladu tego greckiego spojenia miłości fizycznéj z duchową, téj naturalnéj harmonii, człowieka biorącego rzeczy prosto, a nie potrzeba mieć żadnych „gotyckich strzelistości" w duszy, ażeby uczuć wstręt do tego „pseudoklasycyzmu", ażeby dostrzedz, że w niczém „do bogów" nie byli podobni ci ludzie, lecz tylko „do zwierząt."

Zniewieściałość charakteru Płoszowskiego wiele téż przyczynia się do złagodzenia szorstkości męskiego typu i do wyrobienia pewnego rodzaju biernéj dobroci, trwającéj dopóty, póki interes egoistyczny nie stanie z nią w sprzeczności, dobroci, która tak łatwo godzi się z największém samolubstwem, która bardzo podoba się kobietom i któréj wcieleniem jest dobroduszny cielak Połaniecki, w późniejszéj powieści Sienkiewicza.

Co zaś głównie wyróżnia Płoszowskiego wśród innych bezdogmatyków, to, że dzięki bogactwu, nie potrzebuje on walczyć o byt. Czyni to jego egoizm biernym, tak jak bierną z natury jest jego dobroć. A chociaż myli się naiwny w wielu swoich sądach Śniatyński, mówiąc, że Płoszowskich tylko bankructwo może zamienić na ludzi czynnych, nie ulega wątpliwości, że bogactwo chroni go od wielu konieczności, które możeby wpłynęły dodatnio na jego żywotność, ale ale napewno spodliłyby charakter. Bogactwo to przyczynia się poczęści do wyrobienia jednego z sympatycznych rysów Sienkiewiczowskiego bohatera — jego pogardy dla pieniędzy, nietylko w tém znaczeniu, że ich nie ceni i nie przywiązuje do nich wagi — nie byłoby w tém nic dziwnego, ponieważ ma ich w bród — ale że gardzi niemi jako narzędziem, że brzydzi się użyciem ich jako środkiem do swych celów.

Jakże dodatnio odbija ten rys od drugiego typu bezdogmatyków, których jeden okaz odmalował już Sienkiewicz w Józwowiczu, a drugi naszkicował, wprawdzie pobieżnie, ale tak wyraziście w młodym Chwastowskim.

Wystawmy sobie ludzi również pozbawionych dogmatu, ale szukających stanowiska, karyery, użycia, nieposiadających tych skrupułów czułostkowych i estetycznych, które są źródłem męki zbyt „złożonéj" natury Płoszowskiego, przytém nie zniewieściałych i nie wyzutych z woli, a otrzymamy przedstawicieli pokolenia rekinów, do którego należy młody Chwastowski; pokolenia, które za hasło sobie obierze dewizę: „pieniądz to potęga!"

Autor „Rodziny Połanieckich" usiłuje, nie bardzo szczęśliwie jak mi się zdaje, wybrnąć w téj powieści z dylematu, dotąd dlań nierozwiązalnego, dotyczącego młodego pokolenia inteligencyi: rekinów

z jednéj strony, z drugiéj—ludzi szlachetnych w gruncie, lecz nieudolnych w życiu. Że zagadnienie to oddawna leży Sienkiewiczowi na sercu, świadczy o tém dramat „Na jedną kartę", pełen melancholii, wywołanéj przeświadczeniem, że piękne i szlachetne musi ustąpić miejsca sprytniejszemu i podlejszemu. W „Bez dogmatu" owo szlachetniejsze utraciło wiele ze swoich dodatnich rysów, a sprytniejsze ukrywa w cieniu wiele niemiłych. Niemniéj stosunek zostaje ten sam i Chwastowscy przedstawieni są jako przyszli panowie sytuacyi. I pesymizm Płoszowskiego jest w znacznym stopniu wynikiem tego przeświadczenia, że ów miły jego sercu świat, pełny gotyckich kaplic, ustąpić musi miejsca pokoleniu rekinów. Z tegoż przekonania płynie jego kokietowanie z młodym Chwastowskim. Imponuje mu ten młodzieniec swoją trzeźwością i realizmem, gdy na nieśmiałe i połowiczne wystąpienie Płoszowskiego w obronie uczucia, odpowiada:

— „Potrzebę uznaję, ale nie chcę jéj przyznać więcéj miejsca, niż jéj się należy. Na każdą potrzebę jest rada."

Prawda i to, że Płoszowski przez uczucie rozumié tylko jedno — miłość kobiety i to w formie „wiecznego romansu." Ale nie myślmy, że w obronie jakichś wyższych uczuć potępił tak kategorycznie romans, bądź co bądź szczery Płoszowskiego. Nie, ten sam Chwastowski lubi używać, ale tylko nie oddając swego serca i również imponuje Płoszowskiemu tém, że „pomimo, iż pracuje jak wół, ma czas na rozmaite wesołe, może zbyt wesołe, stosunki w okolicach „Kaerthner-Strasse"; kiedy drugi braciszek żali się z Baku, że „kobiet tu nic, a przystojnéj ani na lekarstwo."

Apologetą pokolenia rekinów chciał zostać Prus w swojéj „Lalce." W Wokulskim przedstawia on jednego z tych „żywotnych" z domieszką pewnéj dozy podfilistrzałego romantyzmu, który zresztą ciągle bawi się w chowanego wobec realistycznych idei wieku. Postać ta jest nietylko wysoce nienaturalna, ale pomimo wszystkich usiłowań autora do wyśrubowania jéj na bohatera (w co uwierzyli niektórzy czytelnicy, a co najdziwniejsza—i czytelniczki) wprost wstrętna. Mamy tu w stosunku do pieniędzy zupełną przeciwstawność Płoszowskiemu: dorabianie się majątku drogą Kromickich, sypanie z czysto dorobkiewiczowską miną złotem dla przypodobania się przedmiotowi miłości, posługiwanie się nim na każdym kroku, jako narzędziem—słowem cały wstrętny cynizm mieszczańskiego hasła: „pieniądz to potęga."

Literatura nasza nie może się zdobyć na postać, którаby wzniosła się po nad ów dualizm rekinów lub niezdolnych do życia niedołęgów, bo nie umié się otrząść z tego mieszczańskiego hasła, bo nie umié się pozbyć téj myśli, górującéj w naszéj epoce, że „potrzeba

mieć dużo pieniędzy", ażeby być „czémś." Pozostaje więc jedno z dwojga: albo dostać te pieniądze bez wszelkich starań, jak Płoszowski — i wtedy przychodzi do tego, że mu powie taki Śniatyński:

— „Z takich, jak ty, już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczéj musicie wszyscy, pierwéj pobankrutować, bo inaczéj i wnuki wasze nie wezmą się do żadnéj roboty!"

Albo muszą się sami ich dorabiać, tak jak Chwastowscy, Kromiccy, Wokulscy i *tutti quanti.*

Ale wróćmy do naszego typu bezdogmatyka i jego „choroby woli", ażeby zreasumować etiologię téj choroby, tak jak ona wypada z naszéj analizy i przedstawia się w jego dramacie osobistym.

Przyczyną upadku Płoszowskiego jest brak wiary w swoją miłość. Ten brak wiary objawia się w zwątpieniach jego co do możności uszczęśliwienia Anielki, w wahaniu wobec ojca, w obawie „zatrzaśnięcia klamki." Przyczyną niewiary—brak siły i świeżości uczucia, spowodowany głównie przez zblazowanie, a spotęgowany przez skłonność do grzebania się w sobie, właściwą naturom mało energicznym, skłonność, którą chętnie nazywają analizą.

Zdrowe uczucia są jak zdrowe owoce -- robak analizy nie może się do nich dostać, aby stoczyć ich wnętrze. Zarazki napełniające powietrze w większym lub mniejszym stopniu, są źródłem choroby, ale brak odporności organizmu jest jéj niezbędnym warunkiem. Dogmata życiowe, które poddały się analizie i uległy wobec téj niegłębokiéj filozofii Płoszowskiego, musiały być wątłe i niedołężne same w sobie; nie spoczywały na żadném silném i zdrowém uczuciu — przekonaniu.

Czy to znaczy, że filozofia jest obojętną w sprawie wyrobienia tego typu?

Wcale nie. Są organizmy tak zdrowe, że nie ulegają zarazkom nawet w przepełnionéj niemi atmosferze; nie uwalnia to jednak lekarzy od obowiązku ścisłéj profilaktyki dezynfekcyjnéj.

Dla lepszego poparcia swego założenia, Sienkiewicz przeciwstawia „ulepionemu z jałowéj gliny" Płoszowskiemu dwóch ludzi czynnych—każdy na swojém polu realném—o niezachwianych dogmatach: rzeźbiarza Łukomskiego, który myśli liniami i kształtami, a opisując swoją narzeczoną, używa technicznych terminów malarskich, i komedyopisarza Śniatyńskiego, wiecznie kręcącego się, zadowolonego z siebie, z żony swojéj, z którą stacza ciągłe pojedynki wspaniałomyślności, ze swojéj działalności i ze swoich dogmatów życiowych, nad którémi — to jego pierwsza zasada — nie filozofuje wcale.

Pierwszy z nich jest bardzo zacnym człowiekiem, dobrze myślącym i uczciwie czującym; tęskniącym za krajem, do którego jest szczerze przywiązany, ale do takiego stopnia nic nie widzącym po za swoją gliną i posągami, że gotów stawić Davisowéj pomniki za jéj kształty.

Drugiego Płoszowski w pamiętniku swoim przedstawia jako bardzo rozumnego i dzielnego, ale w tym samym pamiętniku jest kilka subtelnych rysów, coś prawie niepochwytnego, co pomimo mądrych i zacnych, jakby wziętych z książki zasad, które wygłasza Śniatyński, pomimo pochwał dlań Płoszowskiego silnie osłabia w czytelniku wrażenie tych pochwał. Nie ulega téż wątpliwości, że to osłabienie wrażenia było potrzebne dla autora; świadczy ono o subtelném poczuciu architektoniczném. Gdyby Śniatyński był jednym z tych, przed którymi Płoszowski musiałby schylić czoła, postać tegoż zmalałaby a zasadnicza idea powieści zostałaby silnie zachwiana.

Co się składa na te rysy? — Rozmaite drobnostki: kilka nietaktowności (jak np. owe „ruszaj w świat" dodane do telegramu odbierającego Płoszowskiemu ostatnią nadzieję na rękę Anielki), jego niezręczne zaglądanie do serca Leona, pobudzające tegoż do przypomnienia sobie sceny z fletem z Hamleta, jego naiwne uwielbienie dla Płoszowskiego, jego katechizmowo-proste zasady — a tak zacne, że któżby się na nie nie pisał? — wobec których jednak zwątpienia i wahania Płoszowskiego przybierają wygląd czegoś, jeśli nie tytanicznego, to przynajmniéj demonicznego.

— „Miłość w znaczeniu ogólném, miłość w znaczeniu szczegółowém — i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tém, żeby nad niemi nie filozofować — i niech mnie licho porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tém życie jest coś warte; bez tego nie warte torby sieczki."

Takie jest wyznanie wiary Śniatyńskiego. Owo jednak nie filozofowanie nad swojemi dogmatami, pomimo całéj praktyczności zasady, zanadto przypomina człowieka, który dobrowolnie zamyka oczy, a gdy Płoszowski zadaje sobie pytanie, kto z nich głupszy czy Śniatyński, czy on, to mimowoli przyznajemy, że jeśli nie jest mędrszy w zwykłém znaczeniu, to ma w sobie pewną głębię ducha, któréj pozbawiony jest Śniatyński.

Wogóle Śniatyński bardzo przypomina ową figurę uczciwego i przekonanego sekretarza redakcyi z dramatu „Na jedną kartę", który staje się narzędziem w ręku Józwowicza. Tylko tam było poczucie swojéj drugorzędnéj roli, czego u Śniatyńskiego nie ma.

W każdym razie zestawienie Płoszowskiego ze Śniatyńskim nie jest przekonywające: pierwszy nie dlatego jest mniéj czynny od dru-

giego, że ma umysł głębszy, ani téż dlatego mniéj moralny, że estetyczniéj pojmuje świat i życie.

Dualizm pomiędzy niezachwianemi dogmatami życiowemi a władzą analizy istnieje rzeczywiście, również jak i dualizm pomiędzy estetycznością a moralnością. Żaden z nich jednak nie jest nieprzejednanym. Synteza woli z głębokim i krytycznym umysłem w postaci poetyckiéj oczekuje jeszcze na swego twórcę; do syntezy estetyczności w życiu z poważném pojmowaniem i pełnieniem obowiązku społecznego dała wiele materyału przygotowawczego p. Orzeszkowa w powieściach z ostatnich kilku lat, przeprowadzając głęboką i subtelną analizę i przeciwstawność tych dwóch poglądów na życie: jednego opartego na kaprysie estetycznym lub nie, drugiego — na poczuciu surowego i bezwzględnego obowiązku.

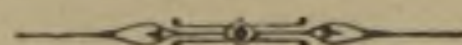
Bliższe rozejrzenie się wśród tych typów, stanowiące niejako uzupełnienie tego zagadnienia psychologii społecznéj, którą roztacza przed nami powieść „Bez Dogmatu" mam nadzieję uczynić przedmiotem jednego z najbliższych studyów.

W. M. Kozłowski.



Ubezpieczenie robotników

na wypadek utraty zajęcia.



W gospodarstwie pierwotném praca najemna nie grała prawie żadnéj roli: każdy uprawiał sam swój kawałek gruntu, swemi środkami zaspakajał potrzeby w miarę, jak te się pojawiały. Jeszcze za panowania cechów położenie robotnika nie występowało w tak jaskrawém świetle. Organizacya cechowa starała się utrzymać wśród społeczeństwa pewną równowgę ekonomiczną, zaprowadzając różne ograniczenia w swobodném rozporządzaniu się jednostek. Kto do cechu nie należał, nie mógł liczyć na zbyt towarów w mieście. Oznaczono czas trwania dziennéj pracy, ilość przypadającéj na każdego rzemieślnika produkcyi i płacę robotników.

Środki te regulowały do pewnego stopnia normalny stosunek podaży do popytu, gdyż majster cechowy robił na obstalunek, a bardzo niewielką ilość na sprzedaż, tak, że produkcya roczna zwykle zostawała skonsumowaną. Przy przejściu do gospodarstwa kapitalistycznego położenie się zmieniło. Producent nie wie i przy obecnym stanie statystyki wiedzieć nie może, czy cały jego towar zbyt znajdzie natychmiast i czy go wogóle znajdzie; on tylko oblicza, że jak najwięcéj wyprodukować musi, bo z powiększeniem produkcyi zmniejszają się jego koszta, wytwarza się nadwartość, a przy ograniczeniu fabrykacyi dochód nie stoi w odpowiednim stusunku do wydatków. Wynikiem tego stanu rzeczy jest nadprodukcya. Producenci

rzucają na rynek masę towaru, dla którego nie ma nabywcy. Gdy jednak nie cała z danego okresu produkcya została skonsumowaną, pozostały towar zniża cenę bez względu na koszta produkcyi, wobec czego następuje jéj ograniczenie, co znowu pociąga za sobą wydalenie pewnéj ilości zbędnych sił roboczych. Cóż mają robić ci „zbyteczni?" Pozbawieni pracy bez żadnéj ze swéj strony winy, stanowią oni dla każdego społeczeństwa ciężar, nad którego usunięciem zastanawiano się od kilku wieków. Pierwszy pod tym względem przykład dała Anglia przez wydanie w r. 1601 „prawa ubogich" królowéj Elżbiety. Nakazuje ono dostarczania pracy wszystkim pozbawionym zajęcia, a wynikające stąd ciężary nakłada na obywateli ziemskich danéj parafii. Te i tym podobne usiłowania miały przeważnie do r. 1848 charakter czystéj dobroczynności, i dopiéro w ostatnich lat dziesiątkach starano się wynaléźć inną formę zaradzenia złemu.

Obecnie w dążeniu do zabezpieczenia robotnika na wypadek utraty pracy, wyróżniamy dwa systemy: samopomoc robotników i system interwencyi państwowéj. Przykładem pierwszéj jest Anglia, gdzie jak świadczy ostatnie sprawozdanie urzędu pracy [1]), spotykamy w 1891 r. 202 stowarzyszeń rzemieślniczych z 682,025 członków, które pozbawionym zajęcia rozdały zapomóg w ogólnéj kwocie 222,088 f. st., nie licząc wsparć na podróże w celu poszukiwania pracy po za miejscem stałego zamieszkania.

Stowarzyszenia te powstały zupełnie niezależnie od państwa, to téż organizacya ich nie jest jednolita. Głównym celem tych asocyacyi jest rozdawanie tygodniowych zapomóg (*Unemployed Benefit*, *Gift*, *Out-of-Work*) pozbawionym pracy. Zasadą przy wydawaniu wsparć jest stopniowe zmniejszanie tygodniowéj kwoty, np. stowarzyszenie zjednoczonych cieśli wypłaca swym członkom w ciągu pierwszych 12-tu tygodni bezrobocia po 12 szyl., w następnych 12 tygodniach po 6 szyl. Największa ilość wsparć nie może przenieść 9 f. szt. 12 sz. rocznie. Celem uchronienia się przed wyzyskiem, stowarzyszenia wymagają, by robotnik, żądający wsparcia, był przynajmniéj przez $^1/_2$ roku członkiem i wkładkę przez ten czas uiszczał. Kto z własnéj winy zajęcie utracił, nie ma prawa domagania się zapomogi. Ten przepis bywa stosowany z największą wyrozumiałością. Stowarzyszenia udzielają także wsparć na podróże (*Travelling Benefit*); celem ich jest danie możności robotnikom, pozbawionym pracy, szukania jéj także po za miejscem dotychczasowego zajęcia. Wprawdzie w celu

---

[1]) Report of Agencies and Methods, for Dealing with the Unemployed. Board of Trade, Labour Departement 1894.

zabezpieczenia się przed nadużyciami, stowarzyszenia obwarowują datki na podróże rękojmiami, mimo to zrobiono z temi wsparciami najsmutniejsze doświadczenie. Robotnik często opuszczał latem posadę, by przy pomocy zaoszczędzonego grosza i zapomogi stowarzyszenia odbyć wycieczkę po kraju. Niektóre ze stowarzyszeń przyjmują do zakresu swéj działalności także wyszukiwanie posad (*Assistance to Members in Obtaining Work*). Ten rodzaj pomocy najmniéj jest jednak rozwinięty; stowarzyszenia poprzestają zwykle na ogłaszaniu wakujących posad i listy osób pozbawionych zajęcia. Do zakresu działania niektórych stowarzyszeń należy również tak zw. *Equalisation of Work*, cobyśmy przetłomaczyli przez „wyrównywanie sposobności do pracy.” Wychodząc z założenia, iż w czasie przesilenia większa ilość będących bez pracy może znaléźć zatrudnienie, gdy ci, którzy posad nie utracili, poniosą pewne ofiary, stowarzyszenia te ograniczają ilość godzin pracy, wymagają, by stowarzyszeni po za godzinami umówionemi tylko za podwyższone wynagrodzenie pracowali, przez co starają się wywołać popyt na pracę. Jakkolwiek stowarzyszenia angielskie osiągnęły niezwykle pomyślne rezultaty, to jednak przeciw rozwiązaniu téj sprawy w drodze prywatnéj inicyatywy, przemawia głównie ta okoliczność, iż stowarzyszenia prywatne nie byłyby w stanie podołać zadaniu w razie dłużéj trwającego lub ogólnego przesilenia. Daleko większą możliwość powodzenia przedstawia system interwencyi państwowéj.

Pierwszą próbę złagodzenia skutków braku pracy w drodze państwowéj dała Francya w r. 1848. Pod wpływem Ludwika Blanca i Ledru-Rollina, rząd wydaje 25 lutego dekret, uznający prawo do pracy: „rząd zobowiązuje się do dostarczenia wszystkim obywatelom pracy i uznaje, że robotnicy muszą się stowarzyszać, by módz korzystać z owoców swéj pracy.” Skutkiem téj deklaracyi było powstanie warsztatów narodowych (*ateliers nationaux*), mających dostarczyć pracy wszystkim pozbawionym zajęcia. Warsztaty te pochłonęły w przeciągu kilku miesięcy miliony franków, a liczba szukających w nich zajęcia przeszła sto tysięcy; po wybuchu czerwcowym zostały one zamknięte.

Nie trudno przyjść do wniosku, iż na téj drodze kwestya prawa do pracy urzeczywistnić się nie da. Zakładając warsztaty, państwo miało zamiar dać chwilowy zarobek ludziom aż do ożywienia się téj gałęzi przemysłu, w któréj oni pracę utracili. Jeśli jednak przyjmiemy za konieczne, by robotnik tém był przez państwo zajęty, do czego ma kwalifikacyę (*droit au travail professionel*), gdyż w przeciwnym razie może stracić dawną wprawę, co mu odbierze możność powrotu do wła-

ściwego mu zawodu z chwilą ożywienia się rynku, — to musimy żądać od państwa, by ono każdego odpowiednio do jego dawnego zajęcia zatrudniło. Robotnik ten jednak traci pracę właśnie z powodu przesilenia, t. j. braku popytu na towar, do wyrabiania którego jest uzdolniony, państwo więc, zatrudniając go dalej w tym samym zawodzie, podtrzymuje w sposób sztuczny przesilenie, gdyż ilość nagromadzonego towaru jeszcze się zwiększa, a cena jego, dalej spadając, naraża państwo na większe straty, niż te, jakieby ono poniosło, dając zapomogę robotnikom pozbawionym zajęcia, bez wymagania od nich pracy.

Nierównie donioślejszym jest projekt, który podejmuje obecnie Bazylea. Już na kongresie berneńskim w r. 1888 uchwalono program zasadniczy stronnictwa, w którym przyjęto także zasadę uznania przez państwo prawa do pracy, na mocy którego państwo winno każdemu dostarczyć o ile możności odpowiedniéj pracy, zapewniającéj dostateczne utrzymanie. W r. 1891, na kongresie w Olten postanowiono zażądać powszechnego nad tém prawem głosowania ludu szwajcarskiego. Wniosek, który przedłożono rządowi, obejmował między innemi następujące postulaty:

a) celem dostarczenia jak największéj sposobności do pracy, skrócenie dnia roboczego w większéj części rzemiosł,
b) utworzenie biur, mających za zadanie wyszukiwanie źródeł pracy,
c) ochrona robotników przeciw nieusprawiedliwionemu wydaleniu,
d) zakładanie publicznych towarzystw ubezpieczeń na wypadek utraty pracy, bądź téż popieranie prywatnych instytucyi, mających to na celu.

Gdy wniosek ten znalazł poparcie 52,387 głosów, został poddany 3 czerwca 1894 r. pod głosowanie powszechne, przyczém przeszło 200,000 głosów oświadczyło się przeciw niemu. Jednocześnie z dążeniem do ustawodawczego unormowania sprawy, spotykamy się z partykularnym rozwojem téj saméj zasady; przykładem — Bazylea.

Od r. 1891 stale zwiększająca się zimą liczba robotników bez zajęcia, których dobroczynność prywatna w przyszłości utrzymać nie byłaby w stanie, nasunęła myśl rozwiązania téj kwestyi za pomocą ubezpieczenia robotników na wypadek utraty zajęcia.

Dnia 3 lutego 1893 rada rządowa upoważniła departament spraw wewnętrznych kantonu do wypracowania odpowiedniego projektu. Utworzono komisyę, w skład któréj wszedł także prof. ekonomii na uniwersytecie bazylejskim Jerzy Adler, który po kilkumiesięcznych studyach, przedstawił projekt ustawy o ubezpieczeniu robotników na

wypadek utraty zajęcia, dołączając do niego komentarz [1]). Projekt ten, przyjęty przez departament spraw wewnętrznych z nieznacznemi zmianami, został przedstawiony w listopadzie roku zeszłego radzie wielkiéj do zatwierdzenia.

Przypatrzmy się przewodnim zasadom projektu.

Przedewszystkiém ubezpieczenie ma być przymusowém dla wszystkich objętych ustawą robotników. Warunek ten jest bardzo doniosły, gdyby bowiem przystępowanie do towarzystwa było dowolne, zapisywaliby się tylko ci robotnicy, dla których niebezpieczeństwo utraty zajęcia byłoby największe, ztąd towarzystwo byłoby narażone na niestosunkowe straty, nie usuwając przytém skutków braku zajęcia, gdyż nieubezpieczeni stawaliby się nadal ciężarem społeczeństwa po utracie pracy. Jakkolwiek ustawa przyjmuje powszechność należenia do towarzystwa, to jednak ogranicza ją na początek do robotników budowlanych i do zawodów, podpadających pod ustawę fabryczną z 3 marca 1877 r. Z liczby téj wyłącza projekt wszystkie zajęcia, przynoszące więcéj, niż 2,000 fr. rocznie, gdyż otrzymywana w tym razie płaca pozwala robotnikowi bez uciekania się do sztucznych środków, cośkolwiek na przyszłość zaoszczędzić; daléj wyłączeni są chłopcy, nie mający jeszcze ukończonych lat 14, gdyż znajdują się oni zwykle pod opieką rodziny, i robotnicy, niezamieszkali poprzednio przez 1 rok w kantonie, a to, by nie obciążać téj niestałéj ludności podatkiem, z którego ona prawdopodobnie wcale korzystać nie będzie, powracając do miejsca swego stałego pobytu, jak również, by nie zaciągać zbyt wielkich zobowiązań bez koniecznéj potrzeby.

Przy wypłacie premii projekt wymaga braku winy ze strony pozbawionych zajęcia. Wina zaś zachodzi w następujących wypadkach:

1) dobrowolne opuszczenie roboty lub też utrata jéj z powodu lenistwa;

2) utrata zajęcia wskutek sporów o płacę lub z powodu strejku, gdyż wypłacając w tym wypadku premią, państwo przyjmowałoby udział w walce między pracodawcą a robotnikiem;

3) niewnoszenie wkładki przez 26 tygodni przed zgłoszeniem się po zapomogę;

4) nieprzyjęcie przez zgłaszającego się wskazanego mu przez towarzystwo zajęcia, przyczém opuszczone wskutek strejku posady będą uważane za nieistniejące;

---

[1]) Die Versicherung der Arbeiter gegen Arbeitslosigkeit im Kanton Basel-Stadt. Gütachten erstattet dem Departament des Innern des Kantons Basel-Stadt. Basel, 1895.

5) również brak zajęcia wskutek choroby lub nieszczęśliwego wypadku nie uzasadnia żądania premii, gdyż w tych razach ma zastosowanie odpowiedni rodzaj ubezpieczenia.

Ostrożnie musi być stosowane wskazywanie zgłaszającym się źródeł pracy. Zgodnie z dzisiejszą teoryą projektodawca rozróżnia 3 rodzaje robotników: wykształconych w pewnym zawodzie, pół-wykształconych (*half-skilled*) i posiadających tylko swą siłę fizyczną. Otóż warunkiem przy nadawaniu posad, jak to już wyżéj zauważyliśmy, musi być wzgląd, by każdemu dać zajęcie, odpowiadające jego kwalifikacyi. Dlatego też najmniéj trudności sprawi wyszukiwanie pracy dla dwóch ostatnich kategoryi, gdy przy pierwszéj towarzystwo musi być przygotowane na wypłacanie przez pewien czas premii.

Wypłata premii rozpoczyna się dopiéro po upływie tygodnia od czasu zawiadomienia towarzystwa przez robotnika o utracie zajęcia, otrzymuje ją pozbawiony pracy przez 91 dni od chwili zawiadomienia. Prócz téj zapomogi towarzystwo udziela w razie szukania zajęcia po za miejscem dotychczasowego pobytu dziennie po 1 fr. dla nie żonatego, po 2 fr. dla posiadającego rodzinę na utrzymanie w czasie podróży, ponosząc przytém koszta biletu jazdy poszukującego pracy i jego rodziny. Chcąc zachęcić robotników, korzystających z premii, do szukania chwilowego choćby zajęcia, projekt postanawia, iż taki poboczny zarobek do wysokości 3 fr. nie wpływa na zniżkę zapomogi, dopiéro powyżej téj kwoty nastąpi stosunkowe zmniejszenie premii, a to w ten sposób, iż odpowiednio do każdego zarobionego po nad 3 fr. franka strąci się $^{2}/_{3}$ fr. z premii.

W celu uproszczenia manipulacyi przy wypłacie premii projekt dzieli robotników na 3 klasy, każdą zaś klasę na 3 kategorye; przy podziale na klasy uwzględniono wysokość płacy otrzymywanéj, za podstawę zaś podziału na kategorye służą osobiste stosunki robotników.

Do I klasy należą robotnicy, których płaca nie przenosi 15 fr. tygodniowo, do II kl. ci, których tygodniowy zarobek waha się między 15 a 24 fr., do III kl. ci, którzy wyżéj 24 fr. zarabiają.

W każdéj z tych klas rozróżniamy kategorye:

a) nieżonatych, wdowców lub wdowy bez dzieci niżéj lat 14 i zamężne kobiéty;

b) wdowy lub wdowców z jedném lub więcéj dzieci niżéj lat 14, żonatego robotnika bezdzietnego lub z jedném dzieckiem niżéj lat 14, o ile jego żona sama nie otrzymuje zapomogi lub też nie ma zajęcia, zapewniającego jéj zwykłą płacę;

c) żonatego z kilkorgiem dzieci niżéj lat 14, o ile żona nie ma środków, tak jak w kategoryi b.

Dla każdej kategoryi przy uwzględnieniu klasy ustanawia projekt inną premię, co tworzy następującą tablicę:

Klasy	Kategorye		
	a	b	c
I	0,80 fr.	1.20 fr.	1,50 fr.
II	0.90 „	1,40 „	1,70 „
III	1,— „	1,50 „	2,— „

Robotnik więc nieżonaty (a), otrzymujący 15 fr. tygodniowéj płacy (I kl.) dostanie premię w kwocie 0,80 fr.

Kapitał towarzystwa składać mają:

1) darowizny;

2) wkładki pracodawców;

3) zapomoga państwowa;

4) wkładki członków.

Wciągnięcie pracodawcy do liczby ponoszących koszta usprawiedliwia się zyskiem, jaki mu podczas ożywienia się produkcyi przypada w udziale; niemniéj zasługuje tu na uwzględnienie ta okoliczność, iż przez wypłacanie premii podczas zastoju w przemyśle pozostaje w kraju przeważna część wykwalifikowanych sił roboczych, których producent z chwilą ożywienia się rynku może użyć, a któreby po większéj części musiały emigrować.

Państwo w dwojaki sposób przystępuje do zasilania środków towarzystwa: ponosząc koszta administracyi i płacąc rocznie pewną stałą kwotę, którą projekt na 25,000 fr. określa. Przy wkładkach członków projekt odróżnia robotników budowlanych od innych, gdyż u nich niebezpieczeństwo braku zajęcia zimą jest najprawdopodobniejsze, to też należący do I-éj kl. płacą tygodniowo 40 cnt., do II-éj 50 cnt., do III-éj 60 cnt.

Wszyscy zaś inni robotnicy płacą stosunkowo do pomienionych 3 klas po 20, 30 i 40 cent. tygodniowo.

Administracyą towarzystwa zarządza płatny urzędnik, do którego należy przyjmowanie wkładek, wypłata premii i wskazywanie wolnych posad. Od jego postanowień służy odwołanie do komisyi, w skład któréj wchodzi 5 członków stanu robotniczego, trzech przedstawicieli przemysłowców i jeden członek rządu w charakterze przewodniczącego. Ogólny nad towarzystwem nadzór sprawuje departament spraw wewnętrznych.

Przedstawiliśmy dotychczas w ogólnych zarysach projekt ubezpieczenia na wypadek utraty pracy. Nasuwa się tu jeszcze pytanie,

ilu robotników może żądać rocznie zapomogi od kasy. Kwestya ta była może najtrudniejszą do rozwiązania wobec niepewnych danych statystycznych. Na podstawie pracy Büchera, „Ludność Bazylei 1 grudnia 1888” i sprawozdania departamentu spraw wewnętrznych za rok 1892, wyliczającego firmy przemysłowe, podlegające ustawie fabrycznéj, Adler przyjmuje, że stowarzyszenie będzie miało 9,000 członków. Z tych 20%, t. j. około 1,800 osób będzie korzystało wskutek braku pracy przez 66 dni rocznie z kasy towarzystwa.

Jeśli te przewidywania się spełnią, co tylko przy normalnym biegu przemysłu przyjąć należy, będzie można kwestyę ochrony robotników przed skutkami bezrobocia uważać za rozwiązaną, ale tylko dla niewielkich obszarów, jak np. pojedyńcze kantony w Szwajcaryi, trudno zaś na téj podstawie mówić o możliwości przeprowadzenia powszechnego w daném państwie ubezpieczenia. W każdym razie jest to ciekawa próba rozszerzenia wpływu państwa na jedno jeszcze zjawisko życia gospodarczego.

Dr. Stefan H.

Wiedeń w marcu 1895.



NOWE AUTOBIOGRAFIE.

II [1]).

1. *F. Dahn.* Erinnerungen IV.—2. *F. Gregorovius.* Römische Tagebücher oraz Briefe von Ferdinand Gregorovius an den Staatssekretär von Thile. — 3. *H. Ehrlich.* Dreissig Jahre Künstlerleben. — 4. *E. Hanslick.* Aus meinem Leben I, II. — 5. *H. Brugsch.* Mein Leben und mein Wandern.—6. *L. Pietsch.* Wie ich Schriftsteller geworden bin.

I.

Jeżeli tak daléj pójdzie, to prof. Dahn będzie mógł walczyć o palmę pierwszeństwa z genialną wprawdzie, ale nieskończenie gadatliwą panią George Sand, któréj jak wiadomo, Musset wykréślał po 30 przymiotników na stronicy rękopisu — a mimo to pozostawiał jeszcze pod tym względem dosyć pola czytelnikowi niesentymentalnemu. Rozumié się, że tylko gadatliwość wielkiéj autorki francuskiéj, ale nie jéj geniusz,—tylko ta cząstka „kobiecości" pani Sand zdaje się być integralnym czynnikiem natury pisarza niemieckiego, co w chwilach wolnych od obowiązkowych zajęć profesorskich zdołał zapełnić 27 tomów beletrystyki.

W zeszłym roku zapoznałem czytelnika naszego z trzema pierwszemi tomami jego „Wspomnień". Obecnie mamy przed sobą

---

[1]) Patrz „Ateneum" 1894 zeszyt lipcowy.

czwarty, potężny, blizko 40-o arkuszowy a wraz z nim zapowiedź piątego, który *utinam sit ultimus*! Aż 612 stronic trzeba było Dahnowi, by opowiedzićć siedm lat zaledwie owego życia (1863—70), życia profesorskiego, a więc spokojnego, oddanego pracy. Wprawdzie na ten czas przypadają „dzieje utworzenia się państwa niemieckiego" — i w szczególności wojna „francuska", którą opisuje, jako świadek naoczny na 400-tu str. Nie możemy wreszcie powiedzićć, aby książka nie zawierała rzeczy ciekawych — tylko że tu esencya materyalna rozpuszczona została w takiéj ilości wody,—że nie radziłbym czytelnikowi puszczać się w bród poprzez „oceany uczuć patryotycznych". Łódź moją opancerzę należycie i żagiel nie zawadzi, ale nadewszystko nie zapomnę steru! Wreszcie postaram się—zapewnienie chyba najprzyjemniejsze—zużytkować dorobek nowoczesnéj techniki naszéj i korab' nasz jak najszybciéj wprowadzić do portu „końca".

Pożegnaliśmy p. Dahna w czasie, kiedy na zachmurzoném jego niebie ukazała się wreszcie drobna gwiazda nadziei; kiedy nakoniec mógł rzucić zabójczą fabrykacyę artykułów i oddać się w zupełności pracy naukowéj. Został profesorem w Würzburgu, gdzie spędził lat dziewięć (do r. 1872-go). Tu nawiązał nowe stosunki, odnowił stare. Podaje kilkanaście charakterystyk swoich kolegów. Był między nimi jeden, najszczerszy przyjaciel Dahna, poważany germanista Lexer. Biedny karyntyjczyk za młodu pasał kozy na górach rodzinnych; o chlebie suchym przepchał się przez gimnazyum: zbierał on na targu skorupy z dużych orzechów wypełniał je łojem, wsadzał knot z nici— i przy téj lampie Aladynowéj śnił sen nauki złoty.

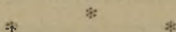
Opisując swe lata uniwersyteckiéj propagandy, nie mógł Dahn pominąć—studentów. Pod tym względem spostrzeżenia jego są ciekawe. Skala jego obserwacyi była dość rozległa i różnorodna: uczył w Monachium, w Würzburgu, w Królewcu, obecnie we Wrocławiu. Stąd téż pewne prawo do uogólnień. Wszystkie te uniwersytety mają to do siebie, że są lokalne — że ludność swą rekrutują z „tubylców"— jak je określają np. studenci berlińscy, gdzie napotkać można latorośle wszystkich szczepów niemieckich. Taka jednolitość masy, może również dodatnio wpłynąć na warunki charakterystyki. Najsympatyczniéj ocenia Dahn swoich słuchaczy północnych: „bez porównania najpilniejszymi, najbardziéj oddanymi swym obowiązkom, najpracowitszymi i najwytrwalszymi byli studenci wschodnio-pruscy, oraz zachodnio-pruscy (z wyjątkiem polaków!)" Być może, sądzi daléj, że na tę pilność wpływa także straszna nędza, w jakiéj żyją. O téj przekonać się można z podań o uwolnienie od wpisu, o darmy stół i t. p., których niekiedy bywa do 80, kiedy we Wrocławiu 6 — 8 zaledwie! Stu-

dent północny nie prędko chwyta myśl cudzą, zawsze z pewnym oporem, z dużem niedowierzaniem: „nigdy nie można go przegadać, ale trzeba go krok za krokiem przekonywać" — nigdy nie uda się go porwać, fantazyi jego obudzić — gdyż nie ma jéj zupełnie. Natomiast w ciężkich warunkach bytu nauczył się Prusak ze wschodnich kresów pracować wytrwale, jak kolonizator. Dahn wspomina, że w ciągu jednego semestru otrzymał od 18 studentów 35 robót seminaryjnych. Jedną ze swych prelekcyi odbywał latem między 5 i 6 godz. po południu, kiedy „wszystko" szło na spacer, z zapisanych 60-ciu słuchaczy nie brakowało pięciu nawet, pomimo, że wykład przypadał pięć razy na tydzień i dotyczył bardzo nużącego przedmiotu. Jakże inaczéj we Wrocławiu! Tutaj ostrzegał go starszy kolega z fakultetu, aby nie wykładał pomiędzy 12—1 z poł., gdyż w tym czasie nie utrzyma studentów w audytoryum. „Szlązacy, zachodni Prusacy i Poznańczycy — to wogóle najgorsi studenci, jakich kiedykolwiek uczyłem. Na prelekcyi, na którą zapisanych było 55 — (przyczém z przedmiotu tego obowiązującym był egzamin, a to rzecz najważniejsza) — widywałem w zimowém półroczu 6—10". Ażeby dopełnić porównania, dodaje, że we Wrocławiu otrzymał od 135 słuchaczy zapisanych do seminaryum w przeciągu całego roku 2 prace (p. w.) Dahn objaśnia to lenistwo ogólną naturą etnopsychologiczną plemienia. Mają Szlązacy „wszystkie wady swych zalet". Podobni są „o ile są Niemcami — żywioł bowiem słowiański reprezentowany jest tutaj w ilości takiéj, do któréj się przyzwyczaić dopiéro trzeba! — do Niemców austryackich: są uprzejmi, lekkomyślni, pojętni, weseli, zupełnie inni, aniżeli Prusacy z północy: skryci, nieuprzejmi, „ciężcy na umyśle" — ale pracowici. — (Str. 78—9).

Większą część tomu niniejszego wypełnia szczegółowy opis kampanii pruskiéj, którą odbył Dahn w oddziale ochotniczym na równi z dziesiątkami innych profesorów niemieckich. Nawet profesorowie prawa międzynarodowego nie mieli żadnych wyrzutów sumienia—ani podczas kampanii, ani z racyi jéj realnych prawno-państwowych rezultatów. Dahn na podstawie własnego dziennika oraz pamiętników swych towarzyszy kréśli szczegółowy obraz tych wypadków. Nie będziemy powtarzać go tutaj. Niedawno uczyniło to — może już ostatecznie—mistrzowskie pióro Zoli, a Dahn (niektóre „niedokładności" wyjąwszy) zgadza się z genialnemi obrazami francuskiego pisarza. Dahn jest wielkim patryotą niemieckim; wiemy, co oznacza taki patryotyzm w potrzebie wojennéj: my jesteśmy zawsze mężni, sprawiedliwi, bronimy ideału; nasi wrogowie — to uosobienie wszystkich cnót piekielnych. Dahn jest także czcicielem Bismarcka — o czém pomó-

wimy niżéj. Mimo to jednak, umié być czasem sprawiedliwym: przyznaje nawet, że „niekiedy” mężni rycerze Odynowi zostawali zwykłymi rabusiami. Opowiada bardzo malowniczo, jak nocy pewnéj budził go dwukrotnie krzyk ofiar: *Vos soldats —ils pillent, ils volent*! — i jak na gorącym uczynku łapał Prusaków, Bawarów, Wirtemberczyków (tutaj nie było żadnych różnic plemiennych i żadnéj niezgody północy z południem), „którzy kradli wszystko: bieliznę rozwieszoną na strychu, cały inwentarz biednego kramu: filiżanki, fajki, szaliki etc. wszystko w ilości, jaką tylko można było zdobyć” (561). Broni nawet gdzie niegdzie Francuzów. Wiadomo, że Niemcy oskarżają Francuzów o „teatralność” — niesłusznie sądzi Dahn. Potrzeba bowiem żywego wyrazu w spojrzeniu, gieście, ruchu całém ciałem, w mowie, ubiorze— tkwi głęboko w tym wysoce utalentowanym mieszańcu etnograficznym; te cechy odziedziczył on po celtyckim i romańskim rodzicu. A i Frankowie występują w dziejach, jako pyszałkowie, wielomówni, prędcy, „gorąco kąpani”. To co my nazywamy teatralnością, a więc czémś sztucznem, obliczoném na efekt, — to jest u Francuzów i Włochów istotnym wyrazem natury. Francuzi natomiast zarzucają nam właśnie brak tych cech: wszak to Renan zarzucał Moltkemu, że umié zwyciężać, ale że brak mu właśnie tych „*mots sonores*” Napoleona o tysiącoleciach, co patrzą na grenadyerów ze szczytu piramid i t. p. (str. 550). Chwali waleczność Francuzów. Jakże, woła, nie ma być waleczną narodowość powstała z połączenia najmężniejszych plemion świata: Celtów, Rzymian, Germanów (różnych plemion germańskich: Franków do Loary, Burgundów na połud.-wschodzie, Normanów na półn.-zachodzie, Alamannów w Alzacyi)! Czyliż nie mamy uznać waleczności narodu, który nas pokonywał w 17-ym, 18-ym, 19-ym w. I przytém, co za patryotyzm! Jakże długo po zniszczeniu armii cesarskiéj dręczyli nas jeszcze pod dowództwem Gambetty. Boję się, czyby w Niemczech w warunkach podobnych dokonano tego... Niemcy zamiast Paryża biorą Francyą całą— przytém znają Paryż tylko z epopei cudzołóstwa, którą im ofiarują wielkomiejscy romansopisarze. Prowincyą poznałem w r. 1870-ym podczas długiego pobytu: co za zdrowe życie rodzinne! Był to obłęd niemieckich szowinistów, kiedy wołano u nas (1871/2), że Francya wstępuje w ślady upadającéj monarchii rzymskiéj 5-go stulecia. Co za gospodarcze cnoty tkwią we Francuzie: pilność, która nie ma odpoczynku, oszczędność, ścisłość i słowność w interesach. Moglibyśmy się wiele nauczyć u Francuzów — przedewszystkiém ekonomii czasu, który spędzamy na rannych libacyach piwnych i wieczornéj grze w karty po kawiarniach. Cóż znaczą głosy kilku anarchistów, co wołają: *A bas la patrie, à bas la France!* — izba

francuska uchwali wszystko, czego żąda minister wojny. A u nas? U nas trzeba rozwiązywać parlament, aby uzyskać nowy kredyt na cele wojskowe. A jeżeli chcesz być dumnym z Niemców, to musisz cofnąć się o 24 lata wstecz! O dni Sedanu! jakeście daleko od nas! Wtedy zwyciężyliśmy najmężniejszą armię całéj ziemi. Teraz doznajemy porażek od Hotentotów i nagich Negrów. To boli! Jakże głęboko upadły Niemcy w pojęciu Europy i innych części świata od dni upadku Bismarcka" (str. 586—8; 521). Umié jednak Dahn i wyśmiewać okrutnie Francuzów. Pewnego dnia pić się zachciało Niemczykom, a tu nigdzie nie dostać. Pytają po sklepach, — nigdzie nic. „Wszystko zrabowane". Owóż gdy cierpliwości brakło, zajrzeli goście do piwnicy: znalazło się wino, mimo oświadczeń i skarg gospodarza. Dahn oświadcza mu wtedy, że miałby prawo zabrania mu wina, którego nie chciał był sprzedać—ale mimo to zapłaci mu za nie. Francuz nie chce przyjąć pieniędzy: *je n'accepterai jamais d'argent prussien!* Zostawiają pieniądze na stole i idą. Ciekawość przemogła, co uczyni Francuz. „Wracamy, zakradamy się z cicha: dumny Francuz liczy „pruskie" grosze i zgarnia je do kasy. Nie mogą oni zapomnieć wielkich słów"—woła Dahn! (456—7) [1]).



Dahn zapewnia nas (str. 123), że nie zajmował się nigdy polityką z wyjątkiem kilku popełnionych w tym kierunku grzechów. Próbowano go przynęcić dwukrotnie mandatem do parlamentu: wytrwał w postanowieniu. „Proszę tylko pomyśléć: prawo, historya, filozofia i poezya—zaprawdę starczą rozmaitości! Gdyby do tych zajęć przybyła jeszcze polityka—siły rozproszyły by się *ad infinitum.*" Ale kilkakrotnie—i to już w późnym wieku, bo w czasie wczorajszym, one-

---

[1]) Z czasów pochodu Sedańskiego została Dahnowi „odwaga", która, jak zwykle u niespecyalistów wojny, przechodzi w śmieszność. Kiedy np. pani Suttnerowa podjęła nanowo i z wielką siłą sprawę pokoju (w powieści „Waffen nieder"! i w czasopiśmie tegoż tytułu (od r. 1893), Dahn przywitał te zabiegi następującym czterowierszem, który wart jest przepisania na tém miejscu:

Die Waffen hoch! das Schwert ist Mannes eigen
Wo Männer fechten, hat das Weib zu Schweigen
Doch freilich: Männer giebt's in dieses Tagen, —
Die sollten lieber Unterröcke tragen!

(...W górę broń! miecz to rzecz mężczyzny; gdzie mężczyzni walczą, tam niechaj milczy niewiasta; lecz prawda — mamy mężczyzn dzisiaj, którzy powinni właściwie nosić—spódnice...)

gdajszym zerwał więzy milczenia, które był sobie sam nałożył. Raz uczynił to dla Bismarcka, gdy ten padł, oraz drugi dla apoteozy Moltkego, trzeci wreszcie — gdy chodziło o zwalczanie nowych zamachów na szkołę ludową. Nie mówiono u nas o tych występach, choć rzucają pewne charakterystyczne światło na „duszę" Niemców — tego mianowicie pokolenia, które najlepsze swe lata przeżyło między r. 1848 a 1870-ym— a dzisiaj zatacza się już za zenit sławy doczesnéj. Jakkolwiek to rozszerza nieco plan niniejszéj notatki, skorzystamy ze sposobności, ażeby w niewielu słowach z ich treścią czytelników naszych zapoznać. Z Bismarckiem, który nie gardził znajomościami w świecie naukowym (szczególniéj jeżeli mógł z nich korzystać dla swoich celów), nie miał żadnych stosunków. Początkowo, jako południowiec nienawidził go—dopiéro po r. 1866-ym uczuł dla niego sympatyę wielko-niemiecką, a już po r. 1870-ym pokochał go szczerze. Nie zbliżał się atoli do niego; dopiéro gdy żelazny kanclerz poszedł na wygnanie do Friedrichsruh, wtedy dopiéro Dahn pośpieszył mu złożyć wyrazy swojéj czci. Poświęcił mu jedną z napisanych w tym czasie powieści historycznych (*Die Bataver*, sześć wydań); napisał kilka wierszy po łacinie i niemiecku, w których sławi „Ottona Wielkiego"; wygłosił w Frankfurcie i Mannheimie mowę ku jego chwale. Odwiedzić nawet udało mu się upadłego arcykapłana. Opowiada, że spędził na pogawędce z Bismarckiem około 10 godzin. Wypytał go o wszystko, co mu ciążyło na sercu; całą ciekawość zadowolił, wszystkie wątpliwości rozwiał. Przepadł dla historyi ślad tego momentu. Dahn zapewnia, że nie zapisał ani słowa z dyalogu z obawy aby kiedykolwiek nie dotknęła tego dokumentu świętokradzka ręka. Możemy atoli tę lukę wypełnić z innego źródła. Zawrze ta domniemana konstrukcya nasza zawsze przedsmak przynajmniéj istotnéj ambrozyi boskiéj właściwéj rozmowy. W swéj wspomnianéj powyżéj pracy publicystycznéj, „Moltke als Erzieher" Dahn temi słowy charakteryzuje swój ideał polityczny. Przedewszystkiém jest niezadowolony ze zwrotu polityki niemieckiéj nazywanego „nowym kursem". Chciał powrotu Bismarcka, choć „wié dzisiaj, że to nie nastąpi". Ale ma program życzeń pozytywny zupełnie, żąda mianowicie: 1) „Pogodzenia się cesarza z Bismarckiem—aby ten dysonans nie uwiecznił się w dziejach niemieckich. Więc t e g o uczyć się mają wnuki nasze w szkołach? (pisane w roku 1891-ym). 2) Ograniczenia prawa wyborczego przez *census* wykształcenia. 3) Nowego prawa wyjątkowego przeciwko socyalistom. 4) Powszechnego przygotowania wojennego, iżby cały naród był zdolny do broni i można było w ten sposób zrównoważyć przewagę Francyi w pieniądzach i Rosyi w ludziach. 5) Rządu, któryby się nie opiérał

na ultramontanach i Polakach, ale na partyach oddanych ideałowi niemieckości i królewskości (*das Deutschthum und das Königthum*) t. j. na narodowo-liberałach i na konserwatystach (umiarkowanych — Dahn jest przeciwnikiem szkoły wyznaniowéj i wrogo usposobiony przeciwko hegemonii kościoła).

II.

Ferd. Gregorovius, którego pamiętnik rzymski („Römische Tagebücher" 1852—1874) w krótkim czasie doczekał się drugiego wydania, posiada cechy, robiące go zewnętrznie podobnym do Dahna. Poeta i historyk zarazem, uczony, któremu profesorska nauka niemiecka nie mogła nigdy darować czarującego stylu, któremu zarzucano nienaukową idealizacyą średniowiecza rzymskiego, subiektywizm, prawie że dyletantyzm—to punkty zewnętrznie styczne. Ale z chwilą, kiedy zajrzymy mu „pod papier"—jak chciał S-te Beuve —*quantum mutatus ab illo!* „Był Gregorovius—tak mówi wydawca téj książki na str. XV, śród Niemców drugiéj połowy naszego stulecia, ideałem humanisty. Nie znosił w otoczeniu swém niczego, co było nieszlachetném. Demokrata z przekonań, był arystokratą w tém znaczeniu, w jakim byli nimi Göthe, Schiller. Nadewszystko cenił wolność i niezależność—(Greg. dla téj właśnie przyczyny nie chciał przyjąć profesury uniwersyteckiéj) —które zdobył w ciężkiéj walce o byt z prawdziwie heroicznym wysiłkiem. Świadomość niezależności czyniła go szczęśliwym — i kazała zapominać o zawodach życiowych. W tym samym stopniu, w jakim był wolny od pedantyzmu i wyłączności cechu, w jakim łączył w sobie uczonego i człowieka życia, w tym samym stopniu naukowe jego prace nie przeszkadzały mu brać udziału w ruchach czasu. Historya była dla niego, według słów Freeman'a przeszłą polityką, a polityka współczesną historyą". Pamiętniki mają dużą wartość biograficzną, gdyż Greg. spalił przed śmiercią listy swych przyjaciół i żądał od nich zniszczenia własnych,— dla nas nie zawierają zbyt wiele ciekawego. „Pewien rzymski przyjaciel Greg. zamierzał napisać szkic o wyznaniach Augustyna, Marka Aureliusza i Russa. Pierwszy—tak mówił —spowiada się przed Bogiem, drugi przed sobą samym, jako stoik, trzeci – próżny Russo przed światem, o łaskę którego się umizga". Pod datą r. 1859-go pisze: „Niezależność Włoch uważam za święte prawo narodowości; i gdyby nawet każdy Austryak w Lombardyi był moim rodzonym bratem, kazałbym sam Włochom go wypędzić." Bardzo ładne są charakterystyki uczonych niemieckich. „Drumann'a—zapomniany już dzisiaj historyk Grecyi — znalazłem w gabinecie pracy;

cichy, poważny i uprzejmy, prawdziwy typ nieskończonéj nauki niemieckiéj. Giesebrecht (autor „Dziejów cesarstwa niemieckiego" — wielki patryota) jest mężem porządku, spokoju i reguł. Wymyślał na Garibaldiego, którego by chciał powiesić. Pomimo to upewniał o swéj miłości dla Włoch—którą ja nazwałem platoniczną". „Ranke zna tylko dyplomacyę w dziejach — nie zna narodu. Posiada dar kombinacyi i ostrą logikę, ale brak mu siły twórczéj. Jego ludzie ukazują swą duszę jak w teatrze anatomicznym. Przechodzi dzieje, jak galeryę obrazów, do których dorabia notatki. Jest jako historyk tém, czém Alfieri, jako poeta". „Bluntschli (prawnik niemiecki) uchodzi tutaj (w Heidelbergu r. 1867) za przyjaciela Prus z ambicyi".

Następująca rozmowa z Gervinusem dowodzi niekoniecznie dalekiéj myśli politycznéj—albo raz jeszcze stwierdza zasadę, że nic przewidziéć nie można (r. 1866). „Gervinus jest wrogiem wszystkiego, co zdziałały Prusy. Przepowiada nieszczęście w razie jeżeli połączenie Niemiec ma nastąpić za przewodem Prusaków. Jego ideałem są Stany Zjednoczone. I ja uważam związek federacyjny za historycznie uzasadniony dla Niemieć. Ale jakże z drugiéj strony mają się rozpaść Francya, Włochy na prowincye. To co było możliwém przed laty, jest dzisiaj niemożliwością: przedtém gospodarowano przy pomocy małych, obecnie tylko przy pomocy wielkich kapitałów. Jestto skutkiem kolei żelaznych—które znoszą wszystkie polityczne różnice w granicach narodowości jednéj. Nadejdzie czas kiedy Europa będzie republiką federacyjną—złożoną z kilku narodów—rodzin téj części świata. ...Mówiłem z nim także o papiestwie. Sądził, że świat dojrzał już tyle, aby się bez papieża obchodzić (*abzuschaffen*). Wskazałem przeciwnie na nienaruszoną dotychczas maszyneryę kościoła co nie może się obejść bez głównéj sprężyny, około któréj się kręci. Przypomniałem mu słowa Macaulay'a: „Papiestwo istniéć będzie wtedy jeszcze, kiedy podróżny z Nowéj Zelandyi stać będzie na gruzach Londynu — i oglądać ruiny Św. Pawła". A mówiąc w inném miejscu o r. 1870 dodaje: „Ten drobny obrazek czasu o wypadkach wagi wszechświatowéj—to dodatek nadzwyczajny historyi świata. Potém przyjdzie koléj na Rzym, ażeby wreszcie wyzwolić ludność „*vom zweiten Incubus des Grössenwahnsinns*?

Jeszcze dwie tylko zanotujemy uwagi. „Pani K., Norweżka, zauważyła może słusznie: we Francyi jest ideałem *ésprit*, w Niemczech stan (!), we Włoszech piękno" — „Uważam, że w dziejach Włoch powtarzają się ciągle trzy typy: Machiavelli, Cezar Borgia i *Condotiere*."

* * *

Ustęp powyższy był już napisany, kiedy wydany został, dziwnym ocalony trafem, jeden z niewielu zbioru listów pisanych przez Gregoroviusa do współczesnych dostojników myśli i czynu. Jest to korespondencya, którą prowadził przez długie lata (1857—1891) z wysokim urzędnikiem pruskim, przez czas pewien ministrem, panem von Thile. Zdawałoby się, że powinna ta właśnie książka zawierać stokrotnie więcéj niżli „Pamiętnik rzymski" poglądów politycznych, wiadomości zakulisowych, ciekawych i dla historyka nawet. Nie jest tak atoli; Gregorovius milczy tu — mimo szczerą i długoletnią przyjaźń z adresatem — stanowczo i konsekwentniéj nawet, niż w tém, co dla siebie pisał: trudno niekiedy oprzéć się podejrzeniu, że ołówek wydawcy przysłużył się tutaj historyi. Nawet napotykane gdzieniegdzie ulubione piękne zdanie Gregoroviusa, zapożyczone u kronikarza średniowiecznego: *multum esset scribendum quod dimitto in calamo*—nie działa pod tym względem uspakajająco. Nie wiele przyjdzie nam uczynić notatek, uzupełniających „Gregoroviusa" pamiętników własnych. Zaraz na wstępie czytamy: „Ze wszelkiego rodzaju nagany, ta najbardziéj dotknie autora, która go moralnie boli. Wady rozumu albo wiedzy nie idą tak głęboko, jeżeli z góry się przyzna, że jego wiedza jest niewielka; inaczéj jednak, jeżeli się porusza osobiste kalectwo. Tak nie zostałbym obojętnym, gdyby ze „Wstępu" (do „Dziejów Rzymu") chciano wyczytać pretensyonalność autora." W gruncie rzeczy jest wolny od takowéj; jeżeli niektóre ustępy pozwalają na podobne przypuszczenie— to winnym jest tutaj poeta, który oszukuje gdzieniegdzie historyka. Wszak jasném jest, że w dziele, które jest jedyną „własnością" autora i przedmiotem jego namiętności, w dziele, do którego ze względu na przeszkody przystępował nie bez heroicznéj odwagi — czyż nie jasném jest, że odrazu (we „Wstępie"), niepomny na chłód i oschłość świata— mówić zaczyna językiem osobistych doświadczeń i bólów?" (str. 15).

I tutaj mówi o papiestwie: „Nie mam sądu o rewolucyi włoskiéj i o Jéj rezultatach; wolę jednak stokrotnie żywy strumień, którego kierunku nie znam, niż zgniłe stojące bagno. Takiém stały się z czasem Włochy. Papiestwo, którego wielkie zadanie kulturalno-historyczne podziwiam, ale jako prawie już skończone uznać muszę, wydaje mi się dzisiaj, niby obraz „Colosseum", wielka ruina moralna, podtrzymywana przy pomocy złych choć nowych murów. Może stać jeszcze stulecia całe, wielka atoli jego epoka jest po za niém, a początek ruiny pochodzi z czasów Reformacyi..." (str. 36).

„Wierzę szczerze w dobro i prawdę, jaka tkwi w ludzkości. Złe, które w końcu samo siebie sądzi, wydaje mi się czynnikiem ruchu świata, głupota i obłąkanie, sprężyną działającą na równi z cnotą i ge-

niuszem. Męki ludzkości świadczą o téj prawdzie, jako o wiecznéj zasadzie, która działa pomimo wszelkiego pozornego nieporządku. Cieszę się nawet, że żyję w czasie, kiedy narody walczą o szlachetne dobra, a te, które nazywają się dzisiaj (pisane w r. 1862) w Niemczech i Włoszech samoistnością i jednością, ponieważ są same przez się szlachetne i z przyrodą zgodne, prędzéj czy późniéj zostaną zdobyte. W r. 1814 prorokował ten sam Niebuhr, który nienawidził Włochy, ich jedność „po jedném lub kilku pokoleniach...” (str. 51).

Z Paryża, który odwiedził w r. 1878 z okazyi wystawy, pisze: „Paryż jest cudem współczesnéj cywilizacyi. Owa niezmierzona istota (*Wesen*) tak jednolita i tyle skoordynowana w sobie, niby organizm naturalny, jest wyrazem, o ile mi się zdaje, nowoczesnéj cywilizacyi zupełnie tak samo, jak Rzym Cezarów był wyrazem kultury ówczesnéj. Teraz dopiéro zrozumiałem konieczność dążenia Paryża do władzy nad światem, pojąłem takie zjawiska, jak Ludwik XIV, Rewolucya albo Napoleon; takie bowiem miasto musiało w jakimkolwiekbądź kierunku przyciągnąć do siebie świat cały — i sądzę, że w przyszłości nie zadowoli się idyliczną rolą stolicy republiki francuskiéj. Kiedy z Mont-Martre spoglądałem na ten miejski makrokosm, powstawały mi przed oczyma owe trzy postaci, które dzisiaj jeszcze panują nad Paryżem: Henryk IV, Ludwik XIV i Napoleon, a przy nich cień Woltera... (str. 105).

W r. 1888 z powodu sławnéj mowy Bismarcka, która kończyła się owym historycznym aforyzmem: „My Niemcy boimy się tylko nanaszego Boga, zresztą nikogo w świecie”—pisze Gregorovius: „Bardzo podniośle oddziałała na mnie mowa B.; cokolwiekbądź powiedzą o niéj dzisiaj lub w przyszłości, jedno wydaje mi się pewném: jest on naturą bohaterską — on, Luter naszéj politycznéj Reformacyi. Po przeczytaniu téj mowy, zdawało mi się, jak gdyby zdjęto z nas dręczącą zmorę, i jak gdyby wszystko winno obecnie odetchnąć swobodniéj. I dzisiaj nie wierzę w blizkość wojny. Wogóle nie mogę sobie już wojny wyobrazić; będą ją bowiem toczyć nie uzbrojone armie, ale narody całe i przy pomocy narzędzi zniszczenia, przeciwko którym natura ludzka walczyć już nie może. Te właśnie wynalazki sprawią być może, że wojna wskutek własnego wydoskonalenia stanie się niemożliwą.” (Str. 205).

A po upadku Bismarcka pod datą 23 kwietnia 1890 r. czytamy: „Upadek B. czyni na mnie wrażenie wielkiego tragicznego zjawiska, nie tyle dla Niemiec, ile dla niego. Widzę trawę już rozwiniętą, która rośnie nad nim, jeszcze za życia jego. Jakże może żyć w tym ogrodzie — on, który przez 20 lat panował nad światem. Nic nie ma głup-

szego nad słowa: „wszelki początek jest trudny" — nie, początek jest łatwy, ale koniec jest trudny."

Ostatni list w tym zbiorze pisany jest 8 marca 1891 r. W tym czasie wyszła z druku mowa jego miana w Akademii monachijskiéj „O wielkich monarchiach." W kilka tygodni później — 1-go maja — śmierć wytrąciła z zastygłéj ręki piękne pióro „*civis Romani*" na zawsze.

III.

Nie wielkie będzie żniwo recenzyjne na polu trzeciéj z rzędu autobiografii. Jéj cecha charakterystyczna: że autor jest muzykiem z zawodu, dawniejszemi czasy był jednym z najbardziéj poważanych krytyków berlińskich, dzisiaj, gdy przekroczył już siódemkę dziesięcioleci pisze (oczywiście) swe wspomnienia — któż bowiem w epoce naszéj nie zostawia wspomnień. Jak na Niemca „rasowego" przystało, umié być także marnotrawnie szczegółowym. Nietylko, że ogłoszone obecnie „*Dreissig Jahre Künstlerleben*" (Trzydzieści lat życia artystycznego) przedstawiają grubą ósemkę o 416 str., ale obiecuje, że przygotował swoje pamiętniki młodości, które zawierają wiele „polityki" i wyjść mają w 25 lat po śmierci autora. Wątpię, czy czytelnika naszego zająć potrafią opisy szczegółowe artystów, którzy występowali w Berlinie w ostatnich dziesięcioleciach, albo koncertów, albo publiczności berlińskiéj. „Kulturalne" znaczenie posiada tylko rozdział, w którym p. Henryk Ehrlich — musimy wreszcie przedstawić go — omawia berliński również antysemityzm ostatnich lat kilkunastu, który potępia ze względu na jego niemoralną genezę, dążenia i cele; czyni to wrażenie młócenia raz już, a właściwie kilkanaście razy wymłóconéj słomy, zarówno i to, że mimo swe wrogie dla antisemityzmu stanowisko nie pochwala wcale żydów berlińskich — „ich zarozumiałości, braku taktu i wychowania, narzucania się możniejszym od siebie a gardzenia słabszymi ekonomicznie, dążenia do zbytku i wystawności życia": wszystko cechy „organiczne" parweniusza pod każdym stopniem szerokości geograficznéj konieczne i tylokrotnie sprawdzane. Dowodzi to pewnego obiektywizmu, którego zlekka traktować nie należy: nie zapominajmy, że autor jest członkiem narodu zorganizowanego politycznie, gdzie wszelka przedmiotowość na rynku przekonań wartości nie ma, lecz szkodzi tylko. Kilka oryginalnych uwag spostrzegamy w zestawieniu, które czyni autor, życia politycznego i muzycznego chwili bieżącéj. „Lata 1888—1892 — czytamy na str. 384 — złożyły dziejom kultury jeden z najlepszych dowodów, jak sprężyny życia poruszają jednocze-

śnie politykę i sztukę. W obradach parlamentu niemieckiego i sejmu pruskiego spotykamy wykluczające siebie nawzajem, biegunowo przeciwne sprzeczności, a przedstawiciele tych przekonań, windykują każdy dla siebie przywiléj nieomylności i doskonałości. To, co jedna strona uważa za jedynie zbawcze pod względem materyalnym i intelektualnym dla rozwoju narodu, to samo druga strona ogłasza za herezyę, albo za chorobę, albo nawet za zdradę sprawy narodowéj. Partye pośrodku tych sprzeczności się znajdujące, jak wolno-konserwatywna i narodowo-liberalna coraz bardziéj usuwane bywają na plan dalszy (one zresztą nigdy na wyraźną zasadniczą politykę zdecydować się nie mogły) — walka toczy się jasna, otwarta, pięść w pięść, oko w oko z przeciwnikami... To samo zjawisko zauważyć się daje na polu muzyki współczesnéj na scenie i na estradzie — aczkolwiek nie z tą otwartością i wyrazistością zapasów parlamentarnych. Najbardziéj ciemny, niewyraźny, waryacki pomysł rozgorączkowanéj fantazyi, w którym kryje się może słaby przebłysk prawdy, zostaje spreparowany z mniejszym lub większym talentem w sztuce tendencyjnéj i wprowadzony na scenę, jako ogólnie obowiązująca norma moralna. Krzykliwsze dysonanse panują w utworze orkiestrowym, który nosi tragiczny tytuł. Oto co chwalą późniéj recenzenci wszelkiego rodzaju. Nie błogosławi się autorów i utworów staréj szkoły — co nie wypowiedziały jeszcze wojny zasadom piękna i uczuciom istotnym, ale tych i te, które w najdalszém przeciwieństwie znajdują się względem idealizmu. Wszędzie panuje nabożeństwo dla siły, dla energii, która nie zna granic ni przeszkód; dla téj siły poświęca się to, co jest dobre i to co piękne." Więc znowu i tu owo oddalenie biegunów: na osi, wokoło któréj porusza się sztuka nie ma miejsca dla czegoś pośredniego, jest jedna tylko alternatywa i walka tytaniczna krańcowych sprzeczności.

IV.

O wiele wyższą pod względem treści i stylu jest autobiografia drugiego z rzędu muzyka, którego włączamy do szeregu prezentowanych tutaj postaci. I Hanslick bowiem, wyrocznia teatrów wiedeńskich i autor wielu bardzo cenionych utworów teoretycznych, historycznych i praktycznych w dziedzinie muzyki, wydał w roku bieżącym dwa tomy wspomnień swego nieszarego swą jałowością, ale różnolitego, barwnego i pod wielu względami ciekawego żywota. Urodził się w r. 1825 w Pradze, jako wnuk chłopa niemieckiego, którego syn jednak potrafił już zaopatrzyć się w dyplom uniwersytecki i ostatecznie wpro-

wadził do rodziny zamiast rydla i motyki — pióro, równie być może dobre narzędzie kultury — nie tyle materyalnéj, jak umysłowéj, równie dobrze rozbijające na „rolę” — skostniałe bryły zmarzłéj gleby — umysłowości ludzkiéj. Lata pacholęce, lata nauki szkolnéj i uniwersyteckiéj spłynęły mu chyżo w Pradze, która w owe czasy nie była *Zlatą Prahą* naszych dni. Hanslick, jak sam opowiada, nigdy nie uczył się czytać nawet, ani mówić po czesku, fakt dziś zupełnie niemożliwy. Wtedy mówili tym językiem w Pradze służący i gospodynie musiały posiadać słownik wyrazów, wystarczający na potrzeby kuchni, a więc niewielki. W teatrze dawano przedstawienia czeskie tylko w niedzielę po południu, a na te chodziła jeno służba. Z rodowitymi Czechami żyło się mimo to Niemcom niezgorzéj: w domu rodzicielskim widywał Hanslick Palackiego, Hankę, Purkiniego. Dopiéro w czwartém dziesięcioleciu, w tym czasie właśnie, kiedy przenosił się na uniwersytet wiedeński, poczęły się budzić prądy narodowościowe. Stan nauki szkolnéj był okropny: nie słyszano tam nigdy ani słowa o literaturze niemieckiéj nowszéj — wszystek czas pochłaniał klasycyzm. Historyę wykładano według receptury austryackiéj z przed r. 1848. Tak tedy sprowadzało się tu wszystko do kilku dogmatów: „kościół katolicki miał zawsze racyę, a armia austryacka odnosiła zawsze i wszędzie historyczne zwycięstwa.” W związku z taką nauką ukształtowały się i ideały młodzieńcze; Hanslick przytacza trzy marzenia, które pieścił za młodu: konstytucyę austryacką, jedność państwową niemiecką wraz z odzyskaniem Alzacyi i złamanie władzy papieża. „Wtedy było to wszystko snem, a jednak dożyłem wszystkiego” — woła z pewném zadowoleniem na schyłku życia (str. 39) szczęśliwy!

Hanslick pomimo sympatyi żywionéj od lat najmłodszych dla sztuki i muzyki, kończył w uniwersytecie nauki prawne. Skarży się gorzko na zmarnowanych lat kilkanaście w kieracie służby urzędniczéj. W r. 1852 wysłano go w charakterze aplikanta sądowego do Klagenfurtu, po dwu latach wrócił do Wiednia, gdzie spędził jedenaście lat jeszcze w ministeryach finansów i oświaty, aż wreszcie zdobył katedrę profesora nadzwyczajnego (płatną) historyi i estetyki muzyki — i od téj pory (od r. 1861) mógł już w zupełności poświęcić się pracom swym estetycznym. Wykłady bowiem prowadził dawniéj jeszcze od r. 1856 — wykłady, które zdobyły mu rozgłos i sympatyę muzykalnéj ludności wiedeńskiéj. Jakże ciężko musiał jednak pracować: ranne godziny w biurze, po obiedzie (5—6) na katedrze, wieczorem, jako referent muzyczny w operze albo w sali koncertowéj.

Recenzent muzyczny téj miary, co Hanslick, musiał poznać osób mnóstwo — wszystko co najsławniejsze mieszczą roczniki literatury, nauki, sztuki za ostatnie pół wieku przewinęło się przed nim, z wielu zawierał blizkie stosunki. Opowiada też o nich dużo: o Hebblu—genialnym poecie niemieckim, albo o Ungerze znakomitym prawniku austryackim, późniejszym ministrze—nie są to jednak anegdoty warte zanotowania na tém miejscu. Oczywiście musiał spotkać na swéj drodze, pokochać, a późniéj rozejść się pod kątem prostym z R. Wagnerem (zwykły to los znajomych tego muzyka). W pierwszym tomie widzimy Wagnera w Maryenbadzie (r. 1845), prawie że nieznanego, stale oświstywanego na wszystkich scenach. Hanslick odwiedził go w domu i pełen ździwienia zauważył papugę, która przez cały czas rozmowy skrzeczała ohydnie nad głowami gawędzących. Nie wytrzymał wreszcie i zapytał Wagnera, jak może znieść przy pracy podobne towarzystwo. „O — odrzekł Wagner — to bardzo dobre zwierzątko, które wożę wszędzie ze sobą. Prawda, że jest często zbyt głośną, jestem natomiast o tyle szczęśliwym, że mam żabę, która nie gra na fortepianie.” I w drugim tomie poświęca autor Wagnerowi kilkanaście pierwszych kartek: charakteryzuje go tutaj, jako aż do bezczelności zarozumiałego, gminnie egoistycznego, bezwzględnego człowieka, co zresztą nie odbiega od zwykłego portretu „księcia na Beyreuth'cie.”

Hanslick jest pierwszorzędnym talentem literackim. Pisze językiem tak pięknym a przytém tak prostym, że niekiedy wiary się dać nie chce, aby język rodzinny autora, ciężki i niegiętki można było uczynić tak sympatycznym. Najlepiéj uwydatniają się te zalety w pięknéj charakterystyce genialnego chirurga wiedeńskiego Billrotha. Połączyło tych ludzi wspólne uwielbienie dla muzyki; i Billroth bowiem w wolnych od zajęć chwilach oddawał się rozkoszom muzycznym: zbierał u siebie najlepszych muzyków wiedeńskich, którzy wykonywali tutaj po raz pierwszy swe kompozycye (Brahms), sam grywał namiętnie na fortepianie i skrzypcach, skomponował kilka rzeczy, które popalił, wreszcie pozostawił rękopis z teoryi muzyki, którą wyda Hanslick. (Pierwsze rozdziały tego *opus* pośmiertnego ukazały się w zeszycie październikowym *Deutsche Rundschau* za r. 1894). Billroth był „naturą” istotnie wyjątkową. Nie przypominał wcale swéj ojczyzny północno-niemieckiéj. „Nie ma drugiéj jednostki, pochodzącéj z Niemiec północnych, któraby potrafiła w Wiedniu zdobyć sobie w równym co on stopniu powszechny szacunek i miłość. Pokazało się najlepiéj na wiosnę 1887 r. w czasie jego ciężkiéj choroby. Od wczesnych godzin rannych, aż do póżnego wieczora stały tłumy wokoło jego domu, żądając ciągłych wiadomości o chorym. Dzien-

niki przynosiły dwa razy dziennie biuletyny o stanie zdrowia. Przez kilka dni uważano Billrotha za straconego. Byłem wściekły, kiedy mi krzyczano w uszy: „Co za strata dla nauki!” — Cóż obchodziła mnie wtedy nauka — ta sobie da radę. Wielcy lekarze będą i po Billrocie. Ale Billroth - człowiek! Ten jedyny niezależnie od swéj wiedzy i sztuki człowiek, którego posiadamy, ten nie wróci nigdy w takiéj doskonałości... „Pochowają mnie z wielką miłością”—pisał mi Billroth w jednym z ostatnich dwóch listów. Sprawdziła się ta przepowiednia, tylko w większym stopniu, aniżeli mógł się tego spodziewać. Cały Wiedeń — w istocie druga wdowa po Billrocie — opłakuje go. (Billroth umarł 3 lutego 1894 r.)... Postać idealna przyjaciela mego stoi mi jeszcze przed oczyma. Słyszę wyraźnie jego głos jeszcze dzisiaj. Nigdy nie ujrzymy jego sobowtóru. Na progu nowego prozaicznie-praktycznego stulecia, wyrasta z ziemi Billroth, jedynie w swym rodzaju wielki lekarz, owiany poezyą i romantyzmem, wielkie serce, z którego płynęły promienie artystyczne i szlachetnie ludzkie naokół i spadały w spragnioną duszę. Jego sławny kolega Nothnagel, porównał go trafnie z kamieniem szlachetnym: „z którój strony spojrzéć nań, coraz wydaje się piękniejszym... (tom II, str. 91—102).

W końcu książki przytoczył Hanslick kilkadziesiąt listów swego ubóstwianego przyjaciela, z których przytoczymy dwa tylko ustępy: „...Wszystko jest u mnie napadem nagłym i zmiennym: raz jestem oszczędnym, to znowu rozrzutnym, surowym, poważnym — to znowu narwanym. Drogę złotego środka mogę tylko podziwiać i polecać po akademicku... Im starszym się staję, tém więcéj wydaje mi się nasze współczesne różniczkowanie, ześrodkowywanie się przy jedném powołaniu życiowém i nasza wyspecyalizowana praca dla chleba — kalectwem ducha: karłem o ramieniu olbrzyma...”

V.

Smutném, choć napozór rozległém i rozmaitém było życie Henryka Brugscha, przed kilku miesiącami zmarłego egiptologa niemieckiego. Są wody, co zalewają wielkie, szerokie płaszczyzny: zda się na oko morza całe; ale są płytkie i szare i monotonne — smutne. Takiém było życie tego uczonego. W latach 1860—80 należało imię jego do liczby tych, które znał każdy, nie uczony specyalista tylko, ale przeciętnie wykształcony, nietylko czytelnik książek, ale i taki, co z dziurawego sita „Kuryerów” swą wiedzę czerpie. Któż nie znał Brugscha-Paszy, albo nie słyszał o nim? I pewnie nikomu z tych, któ-

rym o uszy obijało się to nazwisko, nie przychodziło na myśl, jak ciężko borykać się przychodzi z potworem-życiem jego właścicielowi. Dopiéro pod koniec życia, w przeddzień śmierci prawie opowiedział nam Brugsch—ile cierpiał. W kilku wierszach powtórzymy treść téj jego spowiedzi ciekawéj, nietylko ze względu na samego autora, ale i dlatego, że rzuca wiele barwnego światła na stosunki w świecie uczonych europejskich.

Był on synem żołnierza—i w tém pochodzeniu tkwiła już cząstka niepowodzeń przyszłych. „W młodych latach zauważyłem już—mówi na str. 56,—że istnieje w świecie różnica pomiędzy „wielkimi" i „małymi", że pochodzenie od rodziców „dobrze urodzonych", albo bogatych, jest najlepszą rekomendacyą dla losu dzieci. Dziedziczność kastowa istnieje dziś jeszcze i własném doświadczeniem stwierdzić mogę zdanie Humboldta, że żelaznego pierścienia mandarynizmu nie może złamać bezkarnie *homo novus*." Można rzec śmiało, że cała blizko 400 stronic licząca autobiografia, zbudowana jest na tém jedném zdaniu. Nie wiodło się Brugschowi. Ani gdy pierwsze stawiał kroki, ani późniéj, kiedy w piérwsze wybierał się wędrówki, ani późniéj jeszcze, kiedy już miał prawo zupełne do spoczynku. To też ta historya życia jego, którą spisał, mało przypomina epos, ale mocno natomiast elegię.

Wcześnie bardzo pokochał on wiedzę, w ogrodzie któréj sądzoném mu było zerwać kwiaty niezwykłéj barwy—egiptologię. Zaledwie 12-letni, lubiał spędzać wszystkie wolne od zajęć szkolnych godziny w zacisznych, nieodwiedzanych prawie pokojach muzealnych. Te częste a długie odwiedziny musiały snać zadziwić służbę muzealną, która zwróciła uwagę dyrektora na młokosa, co chciał wyczytać sens zagadki przedziwnéj. Dyrektor zasięgnął języka w szkole — i zamiast się pupilowi swemu przysłużyć, o mało co nie przeciął złotéj nitki snów młodzieńczych na zawsze. Władza szkolna oczywiście kazała chłopcu „głupich mrzonek" zaniechać i w dalszym ciągu wierzyć w nieśmiertelność aorystu. Na szczęście nie dał odrazu za wygranę opiekun hieroglifowy, a że „najmędrszym z Niemców" był za dni owych Humboldt, więc zapytał go o radę. Humboldt kazał sobie śmiałka przyprowadzić, do pracy go zachęcił i—gotową wtedy gramatykę demotyczną własnym kosztem wydać kazał. „Sam nie znam się na egiptologii, wydrukujemy więc rękopis i roześlemy do znawców — niechaj ci osądzą." Przedziwnie skromni bywają wielcy. Wyszła więc książka młodego Brugscha p. t. „Scriptura Aegyptiorum demotica ex papyris et inscriptionibus explanata scripsit Henricus Brugsch *discipulus primae classis* Gymnasii realis quod Berolini floret." Uczeni francuscy przyjęli rzecz tę znakomicie. Aż do śmierci opiekował się też Brug-

schem stary Humboldt. Dzięki jego poparciu mógł on jeszcze za lat studenckich zwiedzić Paryż, Holandyę i Włochy — wszędzie szukając wiedzy egiptologicznéj—tak szczupłéj wtedy w Niemczech.—Po ukończeniu studyów uniwersyteckich zaznał rozkoszy nauczyciela, ale już w początkach r. 1853 widzimy go w Egipcie. Żył jeszcze Humboldt i dzięki jemu otrzymał Brugsch zasiłek rządowy, umożliwiający mu pobyt w „krainie słońca." Całych ośm miesięcy pracował wtedy wraz ze znakomitym Mariette'm w Serapeum Memfisu, w Kairze, w warunkach materyalnie strasznych, zdobył wszakże tyle, ile nie przyniosła żadna z późniejszych wycieczek. Przygód opowiada mnóstwo. Między innemi bardzo ciekawą lekcyę arabskiego, którego mu udzielał pewien derwisz Szech Ahmed. (Ten liczył z górą lat 60, posiadał jedno tylko zdrowe oko, ożenił się był wtedy po raz 71-y). „O panie, tak zaczął pewnego dnia rozmowę, czy posiadasz piéniądze?" „Nie — brzmiała odpowiedź."—„Powiédz „tak!" — Dlaczego „tak?" — „To tylko ze względu na konwersacyę naszą jest potrzebne."— „Dobrze więc. Mam piéniądze."-- „Ile masz piéniędzy?"— „Ależ ja nie mam piéniędzy!"— „Powiedz: mam tyle a tyle, np. talara." — „Niechaj tak będzie. Mam więc talar." — „Gdzież go schowałeś?" — „Ależ ja wcale nie mam piéniędzy."— „Dobrze. Czy masz drobne piéniądze?"— „Tak."— „Pokaż mi je i zlicz je." — „Dobrze, ale w jakim celu?" — „Tylko ze względu na arabską konwersacyę." — Wyciągnąłem dziesięć piastrów. — „Połóż mi je na dłoni." — „Pocóż to znowu?" — „Tylko z racyi stylu arabskiego." — Uczyniłem, jak chciał. — „Dobrze—powiedział—jeżeli Bóg zezwoli, to za przyszłym razem porozmawiamy w dalszym ciągu." — Schował piastry do worka, nigdy ich więcéj nie widziałem.

Po powrocie przez lat kilka oddawał się Brugsch pracy naukowéj, łudząc się, że za odkrycia swoje i zdobycze otrzyma jakąkolwiek odpowiadającą jego skłonnościom nagrodę. Za wstawieniem się Humboldta miano go uczynić dyrektorem muzeum, ale radca ministeryalny wygotowujący odnośną nominacyę pomylił się i zamiast Brugscha wpisał do niéj Lepsiusa—już wtedy profesora uniwersytetu. Król nominacyę podpisał—nie było żadnéj rady. Następne lata upłynęły w ciągłych i niespokojnych wędrówkach. W r. 1858-ym jeździł po raz wtóry do Egiptu, w r. 1860-ym brał udział w poselstwie nadzwyczajném do szacha perskiego, w r. 1864-ym mianują go konsulem pruskim w Kairze. Dwa lata późniéj omal, że nie zamienił Brugsch poddaństwa swego, na obywatelstwo francuskie. Zniechęcony długiém i bezowocném czekaniem, miał już uledz namowom swych przyjaciół francuskich, którzy mu obiecywali pewną profesurę w Paryżu. Po raz ostatni zwrócił się do ministra pruskiego—i wtedy dopiéro, pod wpływem nacisku „zagra-

nicy" ofiarowano Brugschowi profesurę w Getyndze. Niedługo atoli raczył swych słuchaczy przysmakami dalekiego Wschodu. Wicekról Egiptu Ismael-Pasza zaprosił go na dyrektora szkoły wschodnio-europejskiéj, którą zamierzał założyć w Kairze. Od roku 1866 do r. 1873 widziano go na tém stanowisku. Był delegatem Egiptu na wystawie Wiedeńskiéj i Filadelfijskiéj (1876) — kiedy wrócił z téj ostatniéj, finanse Egiptu spadły tak nisko, że stracił całą swą pensyą zaległą —jedyne zaoszczędzone pieniądze na obczyźnie. Kilka razy odbywał jeszcze wędrówki wschodnie: z arcyksięciem austryackim Rudolfem oraz z ks. Fryderykiem-Karolem (1880 — 1882) a następnie 1890—91 z polecenia rządu pruskiego dla zakupu papyrusów. Od tego czasu mieszkał w Berlinie. Jak poprzednio, nie umiał przekonać swych rodaków i zwierzchników o swoich nietylko idealnych potrzebach. Dobił się zaledwie prywatnéj docentury w uniwersytecie berlińskim i żył z pióra. Nic dziwnego, że żal serdeczny podyktował mu—dobiegającemu już prawie siódmego dziesiątka—wiersze następujące: „Nie boję się—było to pisane na kilka miesięcy przed śmiercią—popularyzować mojéj wiedzy po całych wielkich Niemczech, zapoznawać na drodze wędrownych wykładów téj różnobarwnéj ciżby ludzkiéj z rezultatami mojéj pracy, z treścią moich wędrówek... Wiem dobrze, że niejeden uczony pokiwa głową nademną, żem się odważył przesunąć obraz tajemnic staroegipskich przed oczyma profana; wiem także, że dobrze płatni kapłani nauki, spoczywający na miękich poduszkach w ciepłym pokoju, mówili z pogardą o opłacanych wędrówkach ojca rodziny..." Dla tychże względów aż do śmierci saméj ogłaszał Brugsch drobne artykuliki w pismach codziennych niemieckich, gdzie oczywiście tylko sympatya osobista redaktorów zgodzić się mogła na umieszczanie sprawozdań, których nikt nie czytał. Dopiéro uczciwa ręka przyjaciela lat młodych dźwignęła go z téj literackiej niewoli. Spotkali się po 53-letniém niewidzeniu na ziemi egipskiéj w r. 1892-im i od téj chwili zamieszkał Brugsch w willi przyjaciela w Harcu. Niedługo cieszył się spokojem zdobytym tak ciężko i tak późno. Po dwu latach odpoczynku—pożegnał świat na zawsze [1]).

*
* *

Jednocześnie z autobiografią Brugscha, wydał swoje wspomnienia dziennikarz berliński p. Pietsch (*Wie ich Schriftsteller geworden bin.* Erinnerungen aus den fünfziger Jahren)—których nie rozpatrujemy

---

[1]) Autobiografia Brugscha nosi tytuł: „Mein Leben und mein Wandern". (Berlin, 2 wyd. str. 396, VI).

bliżéj, gdyż nie zawierają nic nowego [1]). Pietsch poznał Brugscha w r. 1858-ym u Lassalle'a. „W tym roku właśnie wrócił był on z wielkiéj swéj podróży egipskiéj, zapoznał się z Lassallem i został prędko jednym z jego najbardziéj zaufanych przyjaciół... Młody, 32-letni uczony słynął już wtedy, jako jedna z pierwszych powag europejskich na polu swéj nauki. Nigdy jednak żaden profesor niemiecki nie posiadał mniéj typowych cech „profesora niemieckiego", mniéj pedanteryi, mniéj oderwania od świata, niż on. Równie dobrze, jak na polu egiptologii znał się na „powabach życia", które wchłaniał w siebie na Zachodzie i na Wschodzie, za młodu i w starym wieku. Na Wschodzie przejął Brugsch nieco z natury oryentalnéj: spokój obejścia i mowy, wyniosłą równowagę. Wielkie, głębokie, miękkie, pełne ognia ciemne oczy otrzymał w darze od natury, a o „zciemnieniu" jego wyrazistego oblicza pamiętało słońce Górnego Egiptu" (st. 305).

Tutaj kończymy naszą dzisiejszą wycieczkę w krainy wielkich i nieco mniejszych ludzi, należących bez wyjątku do tego pokolenia Niemców, które wymiera już dzisiaj. Dwa są wypadki w życiu tego pokolenia, dwa punkty krystalizacyjne, które ich życiu nadały ton szczególny, rozpięły pod tém życiem tło wspólne: rok 1848 i rok 1870. Pierwszy oznaczał w tém życiu wiosnę, drugi ten punkt, kiedy słońce z zenitu staczać się zaczyna powoli w otchłanie nocy. Dzisiaj widzimy ostatnie już tylko jego promienie, ale ciepła ich starczy jeszcze aby odtworzyć obraz tego wszystkiego, co bohaterowie czuli, myśleli a niekiedy i cierpieli.

Zen. Por.

---

[1]) Przed kilku laty—mówi znany uczony monachijski W. Riehl—zacząłem spisywać wspomnienia własnego życia. Gdy jednak obecnie rok każdy przynosi kilka książek, w których wielkie i małe wielkości wydają swe „Pamiętniki"—uznałem za zbyteczne, abym i ja się do tego grona przyłączył... (Kulturgeschichtliche Charakterköpfe, 1891, VI).



SYNDYKAT KSIĘGARZY NIEMIECKICH.

Wśród licznéj rzeszy związków, karteli i syndykatów niemieckich, spotykamy jeden, zwracający na siebie uwagę: nieprawidłowością swéj natury, wielką liczbą członków, siłą organizacyi, do pewnego stopnia względami ogółu i najzupełniejszą jawnością organizacyi i postępowania. Jest to związek księgarzy niemieckich.

Do związku należą wszyscy prowadzący handel książkami, nakładcy stanowią około 60% ogólnéj ilości członków; wobec powszechnie więc dziś przyjętéj klasyfikacyi syndykatów na handlowe i przemysłowe, zaliczenie związku księgarzy niemieckich do jednego z tych typów jest kwestyą wątpliwą. Liczba członków związku w marcu 1894 r. przechodziła 2,500, jest to więc najliczniejszy syndykat, z jakim spotkać się dziś można. Siła organizacyi związku jest tak wielka, że najwyższa kara przewidziana za naruszenie przepisów związku: wyłączenie na ogólném posiedzeniu związku giełdowego niemieckiego w Lipsku, dotąd wyrzeczona ani razu nie była. Co się zaś tyczy opinii publicznéj, to prasa nie rzuca na ten związek piorunów, najwyższy sąd rzeszy niemieckiéj uznaje go za prawnie istniejący, a rządy niemieckie wchodzą z zarządem związku w korespondencyę i zawierają z nim umowy. Statuty organizacyi związku są wszystkim znane. Posiedzenia i uchwały związku są jawne.

Syndykat zatém księgarski jest niewątpliwie syndykatem wyjątkowym, a pierwotne źródło téj wyjątkowości leży ostatecznie w tém, że produkt i przedmiot handlu księgarstwa, książka, jest też

towarem wyjątkowym. Specyalny charakter książki, jako towaru, wywołuje w handlu księgarskim pewne właściwości, na które przedewszystkiém musimy tu zwrócić uwagę.

Właściwym producentem książki, z handlowego punktu widzenia, jest nakładca. Wobec dzisiejszych praw własności literackiéj, nakładca jest właścicielem monopolu, prawnie co do czasu ograniczonego, faktycznie jednak istniejącego przez cały czas, w którym, z nielicznemi wyjątkami arcydzieł literackich, książka istotną wartość zachowuje. Nakładca ma prawo ustanowienia ceny; ustanawia ją jednostronnie i nie potrzebuje syndykować się z innymi nakładcami, aby cenę książki utrzymać na pewnéj, dającéj mu zysk wysokości. Niebezpieczeństwo leży gdzieindziéj. Aby zapewnić zbyt swéj książce, nakładca oddaje ją do sprzedaży księgarzom, zajmującym się tylko handlem książkami, t. zw. sortymencistom z pewnym rabatem; sortymenciści znowu, sprzedając książki, szczególniéj stałym nabywcom, zwykle dają im także rabaty, t. j. sprzedają książkę po zniżonéj cenie. Jeśli pomiędzy księgarzami sortymentowemi rozwinie się silna konkurencya, rabaty idą w górę, t. j. cena książek spada. Przy ułatwieniach w przesyłaniu książek pocztą, księgarze wielcy ze stolic odbierają chléb księgarzom prowincyonalnym, a w daném mieście księgarze wielcy czynią istnienie małych księgarni trudném.

Interesem zaś nakładców jest utrzymanie w kraju jaknajwiększéj ilości księgarni i utrzymanie stałéj ceny książek. Samowolne podniesienie ceny książki po nad normę przez nakładcę ustanowioną, jest dla niego téż niekorzystne, gdyż niewątpliwie wywołuje zmniejszenie liczby sprzedanych egzemplarzy.

Zresztą nakładcy grozi jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo. Powszechny i niedający się już dziś usunąć bez wielkiéj krzywdy tak dla nakładców, jak dla czytających książki zwyczaj rozsyłania sortymencistom świeżo wyszłych książek, „nowości”, *„à condition”*, t. j. z prawem zwrotu i z warunkiem zapłaty na najbliższym jarmarku lipskim, o ile książka będzie sprzedana, pozwala w Niemczech pragnącym założyć nową księgarnię w tani sposób (ponoszą tylko koszta przesyłki) zaopatrzyć się w nowe wydawnictwa. Zdarza się więc często, że taki młody księgarz ściągnie klientów wielkiemi rabatami, wyprzeda książki po zniżonéj cenie, wycofa się z interesu przed najbliższym jarmarkiem, nie zapłaci nakładcom za dostarczone *„à condition”* książki i narazi na straty nietylko nakładców, ale i wszystkich sortymencistów w mieście.

wano całkowite zniesienie rabatu dla publiczności, pod karą zupełnego odjęcia kredytu.

Jednocześnie projekt obejmował zakazy: wysyłania przez nakładców wprost od siebie książek osobom prywatnym do miast, w których istnieją księgarnie sortymentowe, sprzedawania własnych nakładów publiczności po cenie niższéj, obniżania ceny książki przed upływem lat 10, i inne jeszcze przepisy, dotyczące zwrotu książek, kredytów, terminów, rachunków i t. d.

Całą tę jednak robotę przerwał najazd francuski 1806 r. Burza r. 1815 była tak silna, że kiedy na jarmarku 1822 r. znów zjawiły się narzekania na nadmierne rabaty i żądania środków zaradczych, nie spotkamy się z żadną wzmianką o usiłowaniach lat 1802—1804, a o rabacie wspomniano, jako o kwestyi, która dopiéro w ostatnich dziesiątkach lat pojawiła się w handlu księgarskim, nad którą radzi się po raz pierwszy. W 1825 r. powstaje w Lipsku giełda księgarska, jako stowarzyszenie księgarzy, mające na celu ułatwienie rozrachunków pomiędzy księgarzami na jarmarku lipskim. Giełda ta podniosła jeszcze poczucie solidarności i konieczności wspólnéj obrony interesów, a przytém, i to może najważniejsza, stworzyła pewną władzę, któréj decyzya: wyłączenia księgarza ze związku, odmówienia mu kredytu, odebrania prawa załatwiania rachunków w sali giełdowéj i podawania ogłoszeń do gazety związku giełdowego, ma znaczenie bardzo dotkliwéj dla księgarza kary.

Regulamin giełdy lipskiéj dotyczył tylko stosunków i rozrachunków pomiędzy księgarzami, nie zawierał żadnych przepisów co do handlu z publicznością. Kwestya rabatu dla publiczności pozostała nieuregulowaną, „zniżkowcy" trapili sortymencistów coraz mocniéj. Złe stawało się tém dotkliwsze, że ilość księgarni w biegu stulecia wzrosła z 300 do 1,330 i wyrodziło się mniemanie, że źródłem złego jest nadmiar księgarni, któremu należałoby zapobiedz drogą obowiązku wyjednywania u władz krajowych pozwolenia na otwieranie nowych księgarni, a przynajmniéj przez ograniczenia kredytu dla nowootwierających się księgarni i ograniczenia przy rozsyłaniu książek „*à condition.*"

Narzekano na wielkie księgarnie berlińskie i lipskie, które dawały rabat nietylko stałym kundmanom, przy płaceniu dużych rachunków, ale i każdemu wstępującemu do księgarni po książkę — i proponowano zupełne zniesienie stałych cen książek. Narzekano téż na antyliberalne dążenia władz północno-niemieckich: nakładcy zaczęli przenosić się do liberalniejszych, południowych Niemiec, osiadając głównie w Stuttgardzie. W południowych téż Niemczech,

w Stuttgardzie, rozpoczął się nowy ruch, skierowany wyłącznie ku rozwiązaniu kwestyi rabatu, któréj rozwiązać giełda lipska nie chciała a może istotnie nie mogła. Powstał projekt tworzenia związków lokalnych: miejscowych i okręgowych, mających wypełnić braki organizacyi związku giełdowego lipskiego.

W 1837 r. księgarze nadreńscy zjechali się w Weinheimie i radzili nad rabatem. W 1842 r. w Stuttgardzie zawiązuje się związek księgarzy stuttgardzkich, któremu w 1843 r. rząd przyznaje charakter osoby prawnéj, a w 1844 r. związek ten usiłuje rozszerzyć się na cale południowe Niemcy. W czerwcu 1844 r. odbywa się zjazd południowo-niemieckich księgarzy w Stuttgardzie, a jednocześnie księgarze frankfurccy probują założyć takiż sam związek z siedliskiem we Frankfurcie. W styczniu 1845 r. obie partye zjechały się w Heidelbergu. Ułożono wspólny statut, postanowiono odbywać doroczne zjazdy naprzemian w Stuttgardzie i Frankfurcie i w ten sposób ukonstytuowano w 1845 r. najstarszy istniejący dziś w Niemczech związek prowincyonalny południowo-niemiecki. Związek ten w roku bieżącym obchodził uroczyście w d. 6 czerwca 50-letni jubileusz istnienia. W statutach tego związku między innemi znajdujemy: „zważywszy, że wprowadzony w ostatnich dziesiątkach lat mniejszy lub większy rabat dla publiczności, nietylko grozi wyraźnie ruiną handlu sortymentowego, ale jednocześnie narusza jaknajdotkliwiéj interesa nakładców, związek uznaje za swoje główne zadanie całkowite i ostateczne usunięcie z księgarstwa rabatów i przywrócenie zasady stałych cen nakładowych w całym zakresie.”

Związek południowo-niemiecki wskazał drogę, na któréj należało szukać ostatecznego załatwienia sprawy rabatów. Obok związku południowo-niemieckiego, powstaje téż wkrótce związek nadreńsko-westfalski, który projektuje zawarcie umowy obowiązującéj wszystkich księgarzy niemieckich przygotowanéj przez specyalną delegacyę, wybraną z łona giełdy lipskiéj, związku południowo-niemieckiego i innych związków prowincyonalnych. Proponowano z dniem 1 stycznia 1849 r. zniesienie wszelkich rabatów. Niestosujący się do umowy, mieli być wyłączeni od wszelkich stosunków z innemi księgarzami. Agitowano silnie za objęciem całych Niemiec szeregiem związków lokalnych. Na jarmarku 1847 r. sprawa ta była przedmiotem obrad: związek giełdowy wyznaczył delegacyę, która zwróciła się znów do ogółu księgarzy, prosząc o nadesłanie opinii a następnie wydrukowała 9 otrzymanych memoryałów.

Na ogólném zebraniu związku giełdowego w d. 21 maja 1848 r. postanowiono przedewszystkiém popierać zakładanie związków lo-

kalnych; innych jednak punktów projektu nie dotykano wcale: nad krajem zbierała się nowa burza wewnętrzna, która w lecie wybuchła i znów zepchnęła sprawę rabatu na plan bardzo daleki.

Ogłoszone w r. 1848 przez delegacyą opinie, zawierają w sobie już zupełnie sformułowane projekta organizacyi: co do związków lokalnych określono: że powinny one być tak wielkie, aby osobiste spory i niechęci nie mogły w nich brać przewagi — a jednocześnie tak małe, aby mogły prowadzić ścisły nadzór nad postępowaniem swych członków; związki okręgowe miały mieć prawo oznaczania *maximum* rabatów dla publiczności z uwzględnieniem stosunków miejscowych;—one też miały prowadzić śledztwa przeciw członkom oskarżonym o łamanie przepisów; ostateczne jednak wyroki miały być wydawane przez władzę centralną t. j. zarząd związku giełdowego w Lipsku. Dla wytępienia „zniżkowców, outsiderów” t. j. nienależących do związku, proponowano dostarczenie konkurentom ich do związku należącym książek z tak znacznym rabatem, aby oni mogli sprzedawać taniéj jeszcze od „outsiderów” i zmusić ich do ustąpienia z placu, albo też do zapisania się do związku. Rewolucya 1848 r. zawiesiła wykonanie tych projektów, nawet wywołała ich zapomnienie.

Gdy burza ucichła poczęło się księgarstwo organizować w związki miejscowe i prowincyonalne; na jarmarkach jednak w Lipsku o rabatach publicznie nic nie stanowiono. Dopiéro w roku 1873 wprowadzenie obniżonéj i jednakowéj bez względu na odległość opłaty pocztowéj od posyłek ważących niżéj 5 kilogramów poruszyło księgarzy. Rozporządzenie to powoli zaczęło podkopywać znów interesa księgarzy prowincyonalnych, a coraz gorsze jego skutki wywołały ogłoszenie w 1878 w „Börsenblacie” ostrzeżenia kilku firm Stuttgardzkich, iż zabraniają stanowczo sprzedaży swoich nakładów po zniżonych cenach. Tegoż roku związek giełdowy lipski zwołał zjazd do Wejmaru, gdzie zaproponowano ustanowienie okręgowych rabatów, rosnących w miarę odległości księgarza od nakładcy. Księgarze lipscy i berlińscy mieli dostawać rabaty najniższe, a różne prawa, służące tylko Lipskowi, miały być rozszerzone na inne główniejsze miasta Niemiec. Groziło to zupełną decentralizacyą handlu księgarskiego i zniszczeniem całkowitém dotychczasowéj organizacyi księgarstwa. Jedynym praktycznym rezultatem tego zjazdu było odnowienie agitacyi, celem zakładania związków lokalnych i prowincyonalnych z możliwie jednakową organizacyą i postanowienie porozumienia się z zarządami związków lokalnych już

istniejących co do kwestyi: kogo za „stałego zniżkowca" uważać należy? Wybrano też 3 delegatów dla oceny mających nadejść opinii związków.

W 1879 roku związek giełdowy wyznaczył komisyę do rozpatrzenia sprawozdania 3 tych delegatów i zaprojektowania regulaminu handlu księgarskiego. Różnice jednak zdań w komisyi były tak silne, że musiano wybrać ściślejszy komitet, który opracował nowe przepisy w 1880 r. przez komisyę przyjęte. Najważniejszém jednak było postanowienie zasadnicze, że związek giełdowy lipski bierze na siebie kierownictwo związków okręgowych i obowiązek obrony interesow całego księgarstwa niemieckiego. W 1882 roku związki prowincyonalne sortymencistów zażądały od nakładców deklaracyi, że za „zniżkowca" uważać będą każdego, który oddaje publiczności książkę z większym niż 10% rabatem. Z 1200 nakładców tylko połowa zgodziła się na to żądanie, wobec czego cała sprawa groziła upadkiem. Dopiéro zjazd prezesów związków lokalnych i obawa wytworzenia się obok związku lipskiego innego centralnego organu księgarstwa, zmusiły związek giełdowy do bardziéj energicznego prowadzenia sprawy. Ówczesny prezes związku giełdowego, Ad. Kröner ze Stuttgardu, zredagował projekt zmian w statucie związku giełdowego i poddał go pod rozpatrzenie komitetu giełdowego w październiku 1882 r. Różnica zdań co do zobowiązania nakładców do odjęcia lub zmniejszenia rabatów „zniżkowcom" i co do prawa wykreślenia z listy związku giełdowego tych, którzy wbrew postanowieniom związku rabaty powiększać będą, wstrzymywała ostateczne spisanie statutów. Wskutek oporu nakładców lipskich i berlińskich w 1882 roku, nie osiągnięto ostatecznej zgody. W 1883 roku ogólne zgromadzenie członków związku giełdowego lipskiego, postanowiło włożyć na prezydującego obowiązek porozumienia się z prezydującymi związków lokalnych w sprawie rabatów, a w 1884 roku upoważniono komitet giełdy do zażądania od nakładców zobowiązania się, aby sprzedającym stale po zniżonych cenach zmniejszyli rabaty. Jednocześnie postanowiono, aby wyrokowanie w kwestyi: kto jest „stałym zniżkowcem" powierzone było komisyi złożonéj: z 3 delegatów związków nakładców berlińskiego, lipskiego i stuttgardzkiego, z 3 delegowanych związków lokalnych i członka zarządu giełdy. W tymże roku komisya związku giełdowego zgodziła się na opracowane przez delegatów związków lokalnych projekta określenia, kto jest „stałym zniżkowcem" i regulaminu stosunków księgarza z publicznością. Nakoniec w 1885 postanowiono ogólną rewizyę statutów związku giełdowego lipskiego. Rewizya ta

przeprowadzoną została w 1886 r., i ostateczne poprawki statutów opracowanych przez specyalną komisyę zatwierdzono na ogólnėm nadzwyczajnėm zebraniu członków związku giełdowego lipskiego w dniu 25 września 1887 we Frankfurcie nad Menem. Poprawki te obowiązują od jarmarku lipskiego 1888 r. i od tėj daty syndykat księgarzy niemieckich uważać należy za istniejący w ostatecznėj formie.

Związek giełdowy księgarzy niemieckich w Lipsku jest obecnie stowarzyszeniem zapisanėm do regestru urzędowego stowarzyszeń niemieckich (*Eingetragene Genossenschaft*)—a jednocześnie jest on związkiem (*Verband*) stowarzyszeń księgarzy niemieckich miejscowych i okręgowych. Zauważyć téż musimy, iż działaniem swojém przekracza on granice państwa niemieckiego: obejmuje bowiem Austryę i północną Szwajcaryę, w których istnieją osobne stowarzyszenia księgarzy, należące do związku. Obejmuje on wszystkie gałęzie księgarstwa: nakładcy tworzą trzy osobne związki: lipski, berliński i stuttgardzki, księgarze komisyonerzy lipscy tworzą związek osobny. Wszelkie związki oddzielne, chcące należéć do związku giełdowego w Lipsku, obowiązane są nadesłać mu do zatwierdzenia swoje statuty. Stosunek jednak między związkami lokalnemi a związkiem lipskim, jest o tyle luźny, że można być członkiem związku lokalnego, a nie być członkiem związku lipskiego, ale każdy członek związku lipskiego musi być członkiem jednego ze związków lokalnych. W stosunkach księgarskich dla członków zarówno związku lipskiego, jak i związków lokalnych, obowiązują „Przepisy porządkowe" t. z. „*Buchhändlerische Verkehrsordnung*" w ich ostatecznėj redakcyi z 1891 r. Ustanowienie normy rabatów w handlu z publicznością pozostawione jest zarządom związków lokalnych, w statucie zaś związku lipskiego, mówiąc o obowiązkach członków stowarzyszenia giełdowego powiedziano w § 3: Członkowie obowiązani są (p. 3) nie przyrzekać przez ogłoszenia publiczności rabatu ani ogólnikowo, ani w stałėj cyfrze, (p. 4) przy sprzedażach w granicach Niemiec, Austryi i Szwajcaryi i po za ich granicami, gdzie istnieją uznane przez zarząd związku giełdowego stowarzyszenia miejscowe i okręgowe, sprzedawać książki po cenach stałych przez nakładcę ustanowionych, z wyjątkiem: a) wypadków, w których osobne normy ustanowione będą przez związek miejscowy czy okręgowy i zarząd związku giełdowego w Lipsku; b) nakładcom wolno jest w razach wyjątkowych odstępować znaczniejsze partye nakładów władzom, instytucyom i towarzystwom po zniżonėj cenie wprost od siebie albo téż przez sortymencistów (p. 6). Żaden członek związku

nie powinien wbrew żądaniu nakładcy, nakładów jego dostarczać ani takim księgarzom, którzy przez zarząd lub ogólne zgromadzenie wyłączeni zostali ze związku giełdowego, ani takim stowarzyszeniom, które sprzedają książki i czasopisma z niedopuszczalnie wielkim rabatem. Każdy członek związku podpisuje zobowiązanie dotrzymania tych warunków. Wyłączenie ze związku za niedotrzymanie zobowiązania następuje na mocy postanowienia ogólnego zebrania członków związku lipskiego, zapadłego większością $^2/_3$ głosów. Wyłączenie księgarza ze związku giełdowego prowadzi za sobą: niedostarczanie mu gazety giełdowéj i innych druków związku, niedrukowanie jego ogłoszeń w gazecie związkowéj, odjęcie mu prawa robienia rozrachunków osobiście lub przez komisyonera w domu giełdy, wyłączenie od rozsyłania ogłoszeń przy gazecie związku, wstrzymanie dostawy sortymentowéj ze strony związku komisyonerów lipskich, zupełne wyłączenie od przesyłek ze strony tych nakładców, którzy się podpisali na deklaracyi nakładców przeciw zniżkowcom. Nadto zarząd związku, postanowiwszy wnieść na najbliższym zjeździe wyłączenie pewnego księgarza ze związku, ma prawo natychmiast zawiesić wysyłanie mu gazety i przyjmowanie ogłoszeń, a środek ten jest tak skuteczny, tak dotkliwy dla księgarza, że jak dotąd, zawsze wywoływał poprawę. Takie same prawa służą zarządowi związku giełdowego w ostatniéj instancyi i przeciw księgarzom do związku nienależącym.

Procedura wyłączania przeciw członkom i nieczłonkom jest ściśle w ustawie określona: pierwiastkowe śledztwo przeprowadza zarząd związku miejscowego lub okręgowego; rezultat śledztwa komunikuje się t. zw. IV-mu wydz. zarządu związku giełdowego, który sprawę sądzi. Ten wydział 4-ty składa się z 4 delegatów związków lokalnych i okręgowych, z 3 delegatów związków nakładców w Berlinie, Lipsku i Stuttgardzie i z jednego członka wybranego przez związek komisyonerów lipskich. Nazwisko firmy wyłączonéj ze związku ogłasza się w gazecie giełdowéj i zarząd wzywa: wszystkich swych członków do przerwania z nią stosunków, tych zaś nakładców, którzy odpowiednią deklaracyę złożyli—do zmniejszenia jéj rabatu. Opozycya przeciw tym przepisom była początkowo dość silna i w pierwszych latach po ich zatwierdzeniu próbowano przekonać się o ile ta organizacya działać będzie skutecznie. Zaraz w drugim roku po zatwierdzeniu nowych statutów, w 1889, wniesiono 10 oskarżeń, z których 4 zarząd uznał za niedowiedzione, 2 odrzucił zupełnie, a 4 zasądził. Do 1892 r. wniesiono przed wydział IV zarządu 67 skarg; z nich więcéj niż połowę odrzucono. W wielu wypadkach

wydział, zamiast wykonania kary, poprzestał na ściągnięciu deklaracyi, że dalsza sprzedaż z powiększonym rabatem nie będzie miała miejsca. Tam zaś, gdzie zarząd uznał winę, skazani, aby niedopuścić do formalnego wyłączenia ze związku, poprawę obiecali i obniżania cen zaprzestali. Do marca 1894 ani razu nie doszło na ogólném zebraniu do głosowania o wyłączenie członka związku. Wysokość dozwolonego rabatu oznaczają, jak o tém wspomnieliśmy, związki miejscowe i okręgowe, one też wyrokują czy w danym wypadku miała miejsce zniżka, *schleuderei*. Związków tych uznanych przez związek giełdowy lipski w 1893 r. było 30. W tém 3 związki nakładców a i komisyonerów. Średni, uznany za dozwolony rabat, wynosi 5% z wyjątkiem książek szkolnych, kalendarzy, literatury zagranicznéj i pism peryodycznych. Tylko przy sprzedaży władzom, instytucyom i bibliotekom publicznym, wolno rabat powiększyć „czasowo” (*übergangsweise*). Wiele związków upoważnia swych członków do obniżenia ceny w wypadkach, gdy chodzi o konkurencyę z księgarzem do związku nie należącym, ale nie inaczéj, jak za wiedzą zarządu związkowego. Nie wolno też dawać rabatów ubocznych w kształcie premii, okładek etc. Mimo tak ścisłych przepisów, księgarze niemieccy sądzą, że praca uregulowania stosunków księgarskich jeszcze ukończona nie jest. W ostatnich czasach zjawiły się sklepy specyalne „odsprzedawaczy,” którzy zaczęli sprowadzać książki nie tylko przez komisyonerów lipskich, ale i od lipskich introligatorów hurtowych, otrzymując od nich rabaty. Nie należą oni do żadnego związku ani miejscowego ani giełdowego, sprzedają t. z. „Brotartikel“ (szkolne, kalendarze, atlasy, dykcyonarze, klasyków i t. p.), nie prowadzą nowości, przez to mają koszta własne o wiele niższe i mogą ceny obniżać.

Zarząd związku giełdowego próbował sprawę tę załatwić na drodze polubownéj i wydrukował nawet osobną broszurę, mającą zachęcić „odsprzedawaczy“ do usunięcia téj praktyki. Opóźniło to tylko rozwiązanie kwestyi, ale jéj nie usunęło. Związek giełdowy będzie musiał i tą sprawą z czasem poważnie się zająć, tak samo jak sprawą t. z. nowego „antykwaryatu“ (*moderner antiquariat*), świeżego sposobu, obmyślonego przez nakładców do sprzedaży książek ze znaczną obniżką cen. Handel „resztkami“ nakładów już został unormowany przez niektóre związki okręgowe i miejscowe. Zapewne w przyszłości, przepisy odnośne zostaną włączone do „Verkehrsordnung“ związku giełdowego.

Stanowisko prawne związków księgarskich w Niemczech jest zupełnie uregulowane. W 1890 r. związek giełd. lipski wniósł podanie do

rządu rzeszy i rządów państw związkowych, w którém, zawiadamiając je o motywach zawiązania związku, prosił o polecenie władzom prowincyonalnym, instytucyom rządowym i bibliotekom publicznym, o nabywanie książek tylko od księgarzy do związku należących w miejscu, gdzie przebywają władze instytucyi i biblioteki. Powołał się przy tém na postępowanie władz królestwa saskiego, które już poprzednio taką propozycyę przyjęły z rabatem 5%. Ministerya pruskie obiecały mniéj, lub więcéj wyraźnie, trzymać się téj zasady. Uniwersytety zażądały 10% rabatu. Sądy niemieckie uznają związek za instytucyę prawnie istniejącą: jedna z firm berlińskich, która o ile mogła przeszkadzała założeniu związku, wkrótce po ukonstytuowaniu się jego, zaskarżyła związek o niedozwolone prawem ograniczenia wolności handlu i sprzeczność z dobremi obyczajami. Sąd najwyższy państwa odrzucił tę skargę, uważając że cel związku: utrzymanie stałéj normy rabatu, jest prawem dozwolony. W r. 1888 zarząd związku zażądał od nakładców, aby zniżkowcom nie tylko rabat zmniejszyli, ale całkiem dostawy książek odmówili—sąd lipski uznał to żądanie za nieprawne. Z drugiéj strony tenże sąd przyznał, że komunikowanie listy członków wyłączonych t. z. „Sperrliste“ nie tylko członkom związku, ale i wszystkim księgarzom, nie może być uważane za przeciwne prawu. W innych jeszcze sprawach sąd w Dreznie (*Oberlandesgericht*) i sąd hamburski przyznały „że nie można przemysłowcowi odmówić prawa regulowania w drodze stowarzyszonéj samopomocy, działanie swobodnéj konkurencyi, ile razy idzie nie o opanowanie rynku w celach spekulacyi, ale o ochronę wytworów przemysłu od obniżki wartości w dobréj wierze, tém więcéj, że w Niemczech oddawna już uregulowanie rabatów było „potrzebą“ handlu księgarskiego.“

W dniu 1 marca 1894 r. związek giełdowy lipski i związki lokalne liczyły 2571 członków — w téj liczbie 1522 nakładców. W całych Niemczech liczono w 1894 r. w 1723 miastach 8017 księgarni, w któréj to cyfrze mieści się około 2000 antykwaryuszów, przeszło 1000 kolporterów i kilka tysięcy składów materyałów piśmiennych, trudniących się dodatkowo sprzedażą książek głównie szkolnych. Do związku należą obecnie wszystkie poważne firmy księgarskie.

* * *

Z przytoczonych powyżéj danych widzimy, że syndykat księgarzy niemieckich jest i związkiem handlujących książkami i związ-

niem produkujących książki, t. j. nakładców. Udział tych ostatnich każe nam zaliczać ten związek do rzędu syndykatów przemysłowych. W interesie nakładcy leży: utrzymanie stałéj ceny książek, utrzymanie jak największéj liczby zasługujących na kredyt księgarzy prowincyonalnych, jak największe rozszerzenie handlu „*à condition*" i usunięcie ze sfery księgarskiéj żywiołów na kredyt niezasługujących. Tylko handel „*à condition*" pozwala nawet niebogatym księgarzom mićć spory zapas dzieł nowych i posyłać stałym klientom nowe książki do domu, dla przejrzenia. Zdaniem księgarzy, handel „*à condition*" jest najlepszym i najtańszym sposobem reklamowania dzieł nowych, środkiem skuteczniejszym od ogłaszania w dziennikach lub wydawania jak dawniéj pism poświęconych specyalnie recenzyom; sądzą oni, że ten sposób sprzedaży przyczynia się do wzmożenia produkcyi naukowéj i literackiéj w Niemczech, że pozwala on nakładcom drukować książki w stosunkowo większéj ilości egzemplarzy, a tém samém i ustanawiać niższe ceny. Nie ulega téż wątpliwości, że świat naukowy niemiecki zżył się już z temi handlowemi obyczajami. Usunięcie handlu „*à condition*" uważa się dziś w Niemczech za niemożliwe, a w tém położeniu rzeczy, nakładca we własnym interesie musi kontrolować i opiekować się sortymencistą, aby zabezpieczyć siebie przed skutkami nadużycia zaufania, a sortymencistę przed skutkami „zniżki" drogą powiększania rabatów.

Wobec tego, twierdzenie *à priori*: syndykat księgarzy niemieckich, jak każdy syndykat, dąży do podniesienia ceny książek — kyłoby trudném do dowiedzenia. Związek dąży do zapobieżenia obniżaniu cen stałych; czy w razie jego rozwiązania ceny byłyby niższe, rzecz bardzo wątpliwa. Wielce prawdopodobném jest twierdzenie nakładców, że wtedy upadłby całkiem handel „*à condition*" i rozsyłanie do domów, że książki nowe rozchodziłyby się w mniejszéj liczbie egzemplarzy i nakładcy musieliby ceny podnieść. Ceny stałe książek przestałyby istnićć *de facto*, na prowincyę sprowadzanoby książki z centralnych handlów stołecznych, dających maksymalne rabaty, handel książkami prowincyonalny upadłby zupełnie.

Prócz tego—tak twierdzą księgarze niemieccy—młodym autorom byłoby o wiele trudniéj niż dziś znaléźć nakładcę, a honorarya autorskie musiałyby uledz redukcyi.

Opinia publiczna w Niemczech zdanie to zdaje się podzielać. Książka — to pewnego rodzaju też chleb powszedni — rozumié się nie u nas, i zdawałoby się, że syndykat zapobiegający stanieniu tego

„chleba powszedniego“ nie powinienby mieć przyjaciół w sferach inteligencyi i publicystyki; a jednak syndykat księgarski nie ma w Niemczech wrogów, z wyjątkiem paru bardzo wielkich firm księgarskich. Najwięksi wszędzie wolą pozostać poza syndykatem.

Jakkolwiek trudno jest sądzić coby było w Niemczech, gdyby obecna organizacya handlu księgarskiego upadła, to jednak niejakie wnioski o tém wyprowadzać można ze stosunków księgarskich w krajach, w których związków nie ma, np. we Francyi, a szczególniéj w Anglii. We Francyi handel księgarski skoncentrował się w kilku firmach wydawniczych, handel sortymentowy prawie nie istnieje, o nakładcę nowym siłom bardzo trudno.

W Anglii scentralizowanie handlu jest jeszcze silniejsze, a najlepszą ilustracyą stosunków literacko-księgarskich jest to, że powstała tam w ostatnich czasach tak zwana kwestya „trzytomowego romansu.“ Anglik romansów nie kupuje, wypożycza je w czytelniach, w których ustalono zwyczaj trzytomowego abonamentu, z racyi, że większość autorów angielskich pisuje trzytomowe powieści. Czytelnie co najlepsze, są własnością firmy Mudie, któréj zakłady liczą do 60,000 abonentów. Obok téj firmy, drugim potentatem książkowym jest firma Smith & Sons, do któréj należą prawie wszystkie księgarnie na stacyach kolejowych. Honorarya autorskie w Anglii są pokaźne, dla pokrycia ich ustalił się zwyczaj wydawania romansów w kilku edycyach, z których piérwsza najdroższa — kosztuje po $1/2$ funta sterlinga za tom, a za cały trzytomowy romans $1\,1/2$ funta, t. j. około 14 rubli. Piérwsza edycya drukuje się w 1,000 egzemplarzach, z których 750 zabierają panowie Mudie i Smith and Sons, płacąc za 3 tomy netto około 8 — 9 rubli. W ostatnich czasach firmy te uczuły się o tyle panami położenia, iż oświadczyły nakładcom, że nie będą kupowały innych romansów, jak tylko 3-tomowe. Obiecali i dotrzymali: odmówili wzięcia G. Moore'a powieści „*Esther Waters*“, ponieważ... jest w jednym tomie. Wywołało to protest nietylko nakładców, ale i autorów. „*Authors Society*“ uznała to za obrazę całego stanu autorskiego. Co więcéj, w przeszłym roku pp. Mudie i Smith & Sons zażądali od nakładców obniżenia ceny piérwszéj edycyi do 5 szylingów za tom, t. j. około 7 rubli za 3 tomy.

Ostatecznym rezultatem tego usiłowania wyzysku, jest podniesienie w Anglii kwestyi zorganizowania handlu księgarskiego na wzór niemiecki. Stowarzyszenie „*the Associated Booksellers of Great Britain and Ireland*“ postanowiło tę organizacyę stworzyć i sprawę rabatów załatwić: w kwietniu roku bieżącego odczytano na zebra-

niu członków tego stowarzyszenia i ogłoszono drukiem pracę W. Heinemana o organizacyi handlu księgarskiego w Niemczech (*Bookselling, the system adopted in Germany for the prevention of underselling and for promoting the sale of books*). Na jesień zwołano konferencyę sortymencistów i nakładców — zdania jednak świata księgarskiego są bardzo rozstrzelone. Przedstawiciel znanéj firmy nakładowéj Longmans Green & Comp. publicznym listem oświadczył, że jedynym środkiem uregulowania handlu księgarskiego byłoby pozostawienie mu zupełnéj swobody—zniesienie cen stałych. Przypomniał on, że w 1852 r. księgarze angielscy zawiązali już byli raz syndykat, który rozwiązany został przez sądy, jako oparty na przymusie—„*coertion*“ i przeciwny swobodzie konkurencyi; sądy ówczesne orzekły, że kto kupił rzecz jakąś na własność, ma prawo zupełne rozporządzić nią, jak zechce, a więc i sprzedać ją po takiéj cenie, jaką zechce.

Jaki zatém obrót w Anglii ta sprawa weźmie, jak na nią zapatrywać się będą teraźniejsze sądy angielskie, przewidziéć trudno. W każdym razie obecne stosunki księgarstwa w Anglii, są bardzo silnym argumentem na korzyść syndykatu księgarstwa niemieckiego, które słusznie chlubić się może, że stworzyło organizacyę, zapobiegającą nadużyciom ze strony nieuczciwych, broniącą małych księgarzy przed naciskiem wielkich, zapewniającą szeroki i łatwy zbyt nowym książkom, zachęcającą nakładców do wydawania dzieł młodych autorów, i zapewniającą publiczność jeśli nie zawsze ceny możliwie najniższe, to w każdym razie chroniącą ją od wyzysku cen niestałych.

Stanisław Piotrowski.



Szkoły średnie w Anglii.

I.

Wartość społeczeństwa zależy od wartości jego klasy średniéj. Aksyomat ten nie cierpi żadnego wyjątku, żadnego zastrzeżenia. Klasy wyższe, arystokratyczne, są wszędzie mniejszością liczebną, a jeżeli stanowią, co nie jest bynajmniéj powszechném zjawiskiem, kwiat i wybór narodu, to nie mogą nigdzie rościć pretensyi do utożsamiania z tym kwiatem. Klasy niższe, owa milionogłowa demokracya, która wyemancypowaną została politycznie bez należytego przygotowania do owego równouprawnienia, w praktyczném życiu o tyle tylko posiadają znaczenie, o ile wykształceniem, ideami, a do pewnego stopnia nawet materyalném stanowiskiem, zbliżyły się do klasy średniéj. Ona to jest osią każdego społeczeństwa, jego duszą. Narody, które téj prawdy nie zrozumiały, opłaciły zaślepienie swoje utratą samodzielnego bytu; te które zwlekały z jéj uznaniem. pozostały zacofane za innemi. Nie ma potrzeby nad takim pewnikiem się rozwodzić.

Teoretycy utrzymują wprawdzie, że klasy w ścisłém słowa tego znaczeniu nie istnieją. We Francyi, co moment słyszéć się daje zdanie, że wielka rewolucya zniosła je niepowrotnie i że na ich miejscu wystąpiła równość w obliczu prawa, zapisana w kodeksie,

stwierdzona głosowaniem powszechném. Dla socyalistów pojęcie klasy jest jednoznaczném z kastą. Ale praktyka życiowa urąga się takiéj ideologii, i każdy, co na organizm towarzyski spogląda jasno, wié dobrze i czuje nieledwie instynktowo, że w każdym istnieją i istniéć muszą stopnie rozwojowe, że są warstwy społeczne o pewnych tradycyach, pewnéj podstawie materyalnéj, posiadających pewne idee, zasady, sposoby i tryby życia prywatnego i publicznego, wyróżniające je od sąsiednich. Zjednoczenie tych czynników tworzy i utrzymuje klasy społeczne. Granice ich są otwarte i luźne. Osobniki społeczne mogą z niższych klas torować sobie drogę do wyższych, i na odwrót, tracąc dawniejsze stanowisko, spadać na niższe szczeble: codzienne doświadczenie pokazuje nam możliwość takich ewolucyi. Klasa średnia, jako stanowiąca węzeł, łączące ogniwo pomiędzy szczytem—arystokracyą—a podwaliną—ludem—musiała zająć miejsce przodowe. Pod względem ekonomicznym reprezentuje ona najwyższy kapitał, pod względem intelektualnym—najwyższą oświatę, pod względem etycznym—najwyższą moralność. Gdy pierwszeństwo to utraci, ale wtedy jedynie, mowa być może o jéj zagładzie. Ponieważ nie istniała dotąd społeczność bez klas, nie ma, jak obecnie przynajmniéj, żadnego specyalnego powodu o taką przypadłość się troszczyć.

Rozumiéć natomiast łatwo znaczenie i wagę, jaką każde zdrowo ukonstytuowane społeczeństwo przywiązuje do organów, które klasie średniéj wytwarzać się, żyć i działać pozwalają. Skoro w téj retorcie chemicznéj wszystkie osobniki narodowe mieszają się bez ustanku, troska o instytucye, dla niéj przeznaczone, nie jest bynajmniéj uszczerbkiem dla innych, nie jest egoistycznym przywilejem, ale powszechną korzyścią.

Najpierwszym, najniezbędniejszym organem dla klasy średniéj, są szkoły średnie. Zadaniem ich jest dostarczać tego wykształcenia, które do wszystkich zawodów publicznych i prywatnych otwiéra drogę. Gimnazya, kolegia, licea, szkoły techniczne w różnorodnych swych rozgałęzieniach: oto kość pacierzowa, na któréj się ta klasa społeczeństwa opiéra. Mamy, a raczéj mieliśmy aż do dnia wczorajszego państwa chłopskie na półwyspie Bałkańskim, gdzie owe szkoły średnie nie były niezbędną koniecznością; z drugiéj strony historya wskazuje nam typy państw w przeszłości, gdzie oświata była jedynie udziałem najwyższéj, uprzywilejowanéj kasty, a reszta narodu pogrążona była w ciemnościach. Są to wyjątki i archaizmy. Z pojęciem nowożytnego, postępowego państwa, wiąże

się nieodzownie istnienie szkółek elementarnych dla masy ludowéj, szkół średnich dla klasy środkowéj i szkół najwyższych *alias* uniwersytetów dla téj mniejszości, która ma czas i środki do specyalnego uprawiania wiedzy.

Usprawiedliwić by się może wypadało z wyłuszczenia powyższych oklepanek, gdyby celem obecnéj pracy nie było właśnie zapoznanie czytelników z organizacyą szkół średnich w Anglii. Nie tylko, że jest ona tam całkiem odrębna od istniejącéj na stałym lądzie, ale instytucya, która tutaj wychowuje jedne pokolenia po drugich, jest tam zupełnie dotąd nieznana. Drugiego podobnego fenomenu cały świat okolny nie przedstawia. Ma się tu do rozwiązania zagadkę, na pierwszy rzut oka w zupełnéj sprzeczności z dopiéro co wypowiedzianemi zasadami społecznego bytu. Anglia, naród jeden z przodujących światu, mocarstwo jedno z najpotężniejszych, jakie zna historya, zostawiła oświatę klasy średniéj odłogiem i nie wprowadziła szkół średnich do rzędu instytucyi zasadniczych. Istnieją tam uniwersytety o tysiącoletniéj tradycyi, o wszechświatowéj sławie. Istnieją także, przynajmniéj od lat trzydziestu, szkółki elementarne dla ludu na troistéj zasadzie obowiązkowości, bezpłatności i bezwyznaniowości. Ale gimnazyów, szkół dla klasy średniéj, Anglia, jako państwo, dotąd nie utworzyła. Skoro brak ten nie przeszkodził społeczeństwu brytańskiemu wznieść się na wyżyny cywilizacyi, a rasie anglo-saskiéj zająć przodujące miejsce wśród świata, mógłby paradoksalny jaki albo zbyt pośpieszny w swych wnioskach umysł, wziąć stąd pohop do lekceważenia instytucyą tą, jako taką, do uznania jéj za niepotrzebną.

Trudno by było o wywód fałszywszy. Historya poucza nas, jak się to stało, że wyższa oświata uniwersytecka utworzyła dla siebie wszechnice w Oxfordzie i w Cambridge, i jak dwie uprzywilejowane warstwy narodowe, duchowieństwo i arystokracya, zmonopolizowały je na swój wyłączny użytek. Najpowierzchowniejszy znawca publicznego ustroju Anglii wié jak na feodalnym gruncie, jedne swobody wyrastały tam z drugich, jak idea scentralizowanego państwa w nowożytném tego wyrazu pojęciu, jest tam dopiéro naleciałością ostatnich czasów. Państwo o oświatę się nie troszczyło. Zostawiło to zadanie społeczeństwu, albo raczéj społeczeństwo. nie czekając na inicyatywę władzy, wzięło ją w swoje ręce. Gdy się posługujemy wyrazem s p o ł e c z e ń s t w o, mamy na myśli tę jego część, która zaspokojenie wyższych etycznych i intelektualnych potrzeb narodu uważała za swoją naturalną atrybucyę. Było niém duchowieństwo. Pod jego egidą i zarządem powstały, pomiędzy innemi, także i za-

kłady, które pod pewnemi względami, naszym gimnazyom odpowiadały. Skoro przystąpimy do bliższéj ich charakterystyki, spostrzeżemy, nie tylko istniejące pomiędzy niemi a naszemi różnice, ale zrozumiemy dlaczego, pomimo potwornych wad i niedostatków tych zakładów szkolnych, zaspakajały one wymagania społeczeństwa krajowego, i nawet, o dziwy! czasem innym narodom za wzór naśladowania godny stawiane były.

Obojętność państwa daje się tedy wytłumaczyć. Gdy zrodziło się poczucie jego obowiązków względem społeczności, gdy sfera działalności państwowéj ogarnęła naraz w ostatnich lat dziesiątkach całkiem obce sobie dotąd dziedziny, nie dziwota, że władze państwowe wzięły się naprzód do najpilniejszego, najgwałtowniéj o poparcie wołającego dzieła: do szkółek ludowych. Król *Demos* najprzód był obsłużony. Dokonało tego potężnego przewrotu ministeryum Gladstona w r. 1870. Utworzono wówczas rodzaj ministeryalnego wydziału czyli dyrekcyę szkolną, a z imieniem p. Forstera łączy się organizacya szkółek elementarnych z ramienia państwa, które od owego czasu zajęły miejsce obok szkółek, zostających w rękach i pod zawiadowstwem duchowieństwa rozmaitych wyznań oraz rozmaitych stowarzyszeń filantropijnych.

Organizacya szkół średnich odłożona została do swobodniejszych czasów. Wprawdzie już p. Forster przedłożył był parlamentowi bile w tym przedmiocie, ale sprawa ta dotykała zbyt wielu interesów rozsiadłych i poważnych, pociągała za sobą tak olbrzymie przewroty co do stosunku jednych klas do drugich, wymagała tak znacznego nakładu pieniężnego, że dziwić się nie można, iż wówczas zaniechana została. Wymagała fermentu przygotowawczego. Nie podobna twierdzić, iż epoka przygotowawcza trwała zbyt długo, skoro się weźmie na uwagę, że z ustanowieniem ministeryum oświaty, z organizacyą szkół średnich z ramienia państwa, dokona się nowy, radykalny przełom w ustroju publicznym Wielkiej Brytanii, że jeden więcej głaz poważnéj budowy średniowiecznéj strącony zostanie nieodwołalnie w otchłań przeszłości. Tego rodzaju przeistoczeń praktyczny umysł Anglików nie pozwala improwizować, ale gdy raz postanowienie jest powzięte i programat sformułowany jasno, godzina reformy wybija nieodzownie.

Wybiła ona teraz. Nie ma w tém żadnéj niespodzianki. Już w r. 1868 ustanowiona była *Schools Inquiry Commission*, która po zarządzeniu gruntownéj ankiety, trwającéj lat trzy, przedłożyła szczegółowy raport, obejmujący nie mniéj, jak dwadzieścia jeden tomów. Da się on streścić w trzech punktach: liczba szkół średnich

jest niewystarczająca; ich wartość jest podrzędna; nie ma żadnego związku organicznego pomiędzy istniejącemi szkołami średniemi a instytucyami, dającemi u dołu elementarne a u szczytu uniwersyteckie wykształcenie. Bil p. Forstera, o którym już była wzmianka, starał się uorganizować szkoły średnie na zasadach wynikających z tego śledztwa. W r. 1893 miał miejsce w Oxfordzie zjazd pedagogów angielskich i kwestya szkół średnich stanęła na nim na czele. Opinia krajowa została rozbudzona. Rząd liberalny ówczesny ustanowił królewską komisyę do ponownego zbadania organizacyi szkół średnich i do wyciągnięcia z dawniejszéj ankiety praktycznych wniosków i propozycyi. Utworzona w marcu 1894 roku pod prezydencyą p. Jakóba Bryce, ówczesnego ministra handlu, prof. uniwersytetu w Oxfordzie, jednego z najznakomitszych pisarzy i publicystów angielskich, autora pomnikowego dzieła o Konstytucyi Stanów Zjednoczonych, komisya ta obejmowała siedmnastu specyalistów w kwestyi oświaty. Nie zawadzi powiedziéć mimochodem, że pomiędzy nimi były trzy kobiety: panie, Sidgewick, Bryans i lady Fr. Cavendish. Komisya ta wzięła swe zadanie do serca, rozwinęła niezwykłą działalność, zwiédzała zakłady szkolne, przywoływała delegatów, zbiérała zeznania na prawo i lewo i złożyła swój raport w październiku 1895 r. Zawarty on jest w grubym tomie o 450 stronicach: ośm tomów dodatkowych z szczegółami, statystycznemi danemi, wyjdzie niebawem na widok publiczny. Komisya doszła do praktycznych wniosków co do utworzenia centralnéj władzy szkolnéj, co do jéj stosunków z władzami prowincyonalnemi, co do organizacyi szkół średnich pod względem finansowym, administracyjnym i pedagogicznym. Jak można było z góry przewidziéć, jest to zupełna rewolucya w dziedzinie oświaty publicznéj. Nie ma jednak najmniejszego wątpienia, że parlament na obecnéj swéj kadencyi poleci rządowi wprowadzenie w czyn téj radykalnéj reformy. Chociaż przygotowało ją stronnictwo postępowe, to będące obecnie u steru władzy zachowawcze, nie będzie się wahało podjąć téj spuścizny. Naród cały, bez różnicy politycznych opinii, domaga się nowéj organicyi szkół średnich.

Zanim przedstawimy czytelnikom takową, wypada uprzednio dać im obraz téj, jaka istnieje obecnie i jaka w wielu swych charakterystycznych rysach przejdzie do jutrzejszéj. Jakkolwiek wadliwy i niedostateczny system szkolny angielski trwał od wieków, ukształtował społeczność angielską i przedstawia mnóstwo rysów pierwszorzędnego interesu.

II.

Jak powiedzianém już było wyżéj, nie ma jednolitego organizmu szkolnego w Anglii. Ale nie dość tego jeszcze. Jedno tylko słowo określić jest w stanie istniejący tam stan rzeczy: chaos. Nie chcąc topić w nim uwagi czytelnika, ograniczamy się do przybliżonego usystematyzowania czynników pierwszorzędnych.

Po normandzkim podboju, przy klasztorach i katedrach, duchowieństwo zakłada szkoły, których dyapazon umysłowy, odpowiadający nastrojowi społeczeństwa średniowiecznego, nie mógł być wysoki. Ale już z tych pierwszych szkół utworzyły się tu i owdzie, z biegiem czasu i przy sprzyjających okolicznościach, słynne instytucye, jak szkoła w Winchester, datująca od 1387 r., albo jak szkoła w Eton, założona w roku 1441. Ale gdy Renesans rozbudza naraz gorący popęd do studyowania starożytności klasycznéj i gdy równocześnie prawie reformacya wstrząsa całym organizmem narodowym i przenika do jego głębi ze wszech stron, poczucie szerszéj oświaty wywołuje potrzebę szkół wyższych nad elementarne. Od XVI wieku datuje, rzec można, ich powstanie, utrwalenie i rozwój. Obok duchowieństwa, dzierżącego wprzódy monopol oświaty, stają teraz obywatele, zagrzani zapałem do wiedzy, potężni i możni mecenasi, fundujący rozmaite instytucye, odpowiadające ich osobistym skłonnościom i zapatrywaniom. Powstaje tedy jakich 500 szkół, zazwyczaj noszących nazwę *grammar school*, ufundowanych przez miłośników oświaty. Ruch ten, chociaż mniéj wydatny, trwał przez cały peryod Stuartów i nie ustał aż do końca ostatniego stulecia. Faktycznie jedne z tych szkół uprawiały wyłącznie języki i literaturę klasyczną, drugie zaś były wyższemi instytucyami warstatowemi, przygotowującemi do zawodów praktycznych. Jakkolwiek różniły się pomiędzy sobą te rozmaite zakłady uposażeniem, środkami materyalnemi, któremi rozporządzały, składem ciała nauczycielskiego i liczbą uczniów, wszystkie już przez tę jednę okoliczność, iż były *public schools*, w przeciwieństwie do szkół prywatnych, należących do pojedynczych i często wyszarzanych osobistości, stały wysoko w opinii powszechnéj i były otoczone aureolą, która utrudniała ocenienie istotnéj, zbyt często ujemnéj ich wartości, jako zakładów pedagogicznych. Ale gdy się owe szkoły publiczne bliżéj bada, dochodzi się do wniosku, jaki potwierdziły wszystkie ankiety komisyi królewskich i parlamentarnych, że obok jakich 300 *grammar schools*, jest prawdziwych, istotnych zakładów oświaty średniéj w Anglii, wszy-

stkiego—dziewięć. Na trzydziestomilionowy naród, jest to oczywiście ilość niewystarczająca. Szkołami temi są Eton, Winchester, Westminster, Harrow, Rugby, Charterhouse, Shrewsbury, Saint-Paul, Merchant Taylors. Można dodać do nich jako dziesiątą, Marlborough, kreacyę ostatnich czasów.

Nawet statystyka prosta wszystkich tych zakładów szkolnych jest trudna, gdyż w braku centralnego organu państwowego, któryby niemi zawiadywał, trzeba się posiłkować ankietami komisyi śledczych, które trzymając się rozmaitych metod, to wkluczały, to znów wyłączały z całościowego obrazu cale kategorye szkół. W Londynie było w r. 1892 36 szkół uposażonych, posiadających swą własną fortunę, a zatém całkiem niezależnych od wszelkiego nadzoru państwowego, tak zwanych *endowed schools*; liczą one 12500 uczniów i 20 szkół *(proprietary schools)* podrzędniejszych z 1800 uczniami. Istnieje także jakich 450 szkół prywatnych dla młodzieży płci obojéj, ale o tych mówić nie ma powodu w téj części naszéj pracy. W swych bardzo ciekawych i wielce pouczających s t u d y a c h n a d ś r e d n i é m w y c h o w a n i e m [1]) pp. Arthur Asland, członek ostatniego gabinetu Gladstona i Llewellyn Smith, zbiérając żniwo ostatniéj komisyi, podają statyczne dane, odnoszące się do *endowed schools.* Zajmowała się ona 782 szkołami z pośród 3000, jakie w Anglii swe własne, większe lub mniejsze majątki i dochody posiadają. Szkoły, które posiadają ziemskie posiadłości wiejskie, rozporządzają funduszami, zmieniającemi się przy spadaniu w cenie własności gruntowéj. Najlepiéj stoją majątkowo te, którym zapisane zostały grunta w miastach albo kamienice, gdyż cena ich wzrasta bez przerwy. Z pomiędzy tych 3000 szkół uposażonych, któremi się chlubią rzecznicy oświaty w Anglii, jak pp. Asland i Smith wykazują, prawie wszystkie są elementarnemi, albo co najwyżéj, mają na widoku wyższe wykształcenie elementarne. Nie potrzebowała tedy komisya zajmować się jak wówczas 782, które także, po większéj części tylko przy bardzo pobłażliwym sądzie, do średnich zakładów policzyć się dają. Chociaż wszystkie te szkoły posiadają swoje uposażenia, są one tak nierówno rozdzielone, iż kiedy jedne mają książęce dochody, drugie są w nędzy: rozdzielając całość posiadanego przez szkoły majątku, w stosunku przypadających na nie uczniów, pokazuje się, że przypada po j e d n y m funcie szterlingów na głowę ucznia. Już ta okoliczność wykazuje potrzebę interwencyi ze strony narodu przez jego organ—państwo. Bez finansowéj pomocy skarbu,

---

[1]) Studies in Secondary Educations. London 1892. 'str. 41.

oświata publiczna nie będzie mogła odpowiedzieć szerokiemu, postawionemu przed sobą w ostatnich czasach zadaniu,

Inny szczegół pełen jest znaczenia, iż kiedy istnieje w kraju 255000 chłopców, potrzebujących wychowania w szkołach średnich, to mogą je dać tylko 37000. Przeszło 200000 zostaje bez możności kształcenia się i pobiéra tylko owo wadliwe i niewystarczające wykształcenie, jakie pospolite *grammar school*, albo, co jeszcze gorzéj, szkoły prywatnych przedsiębiorców dać im mogą.

Nie tylko, że liczba szkół średnich jest niewystarczająca, ale oświata, przez nie udzielana, jest niewłaściwa. Przedewszyskiém jest nadmiar szkół czysto klasycznych, mających rzekomo przygotowywać do uniwersytetów. Ale widocznie, nawet pod tym względem celowi swemu nie odpowiadają, gdyż zaledwie piąta część ich uczniów jest w stanie o wejście do uniwersytetu się ubiegać. Obok tych 209 szkół czysto klasycznych, jest 183 pół-klasycznych, czyli uczących łaciny bez greczyzny. W pozostałych 340 brak języków starożytnych ma być zastąpiony przez wykład języka francuskiego, matematyki i nauk przyrodniczych. Każdy, co miał sposobność osobiście przyjrzéć się owocom z tych szkół przez uczniów wynoszonym, musi przyznać, że zdumiewają swoją nicością. O języku fransuskim ci uczniowie, co go z domu nie wynoszą, nie mają wyobrażenia; matematyka nie przekracza sfery elementarnéj, a nauki przyrodnicze, bez laboratoryów, zbiorów i systematycznych wykładów, zostały przez wszystkie powagi naukowe uznane za czystą stratę czasu.

Państwo, jak już powiedziano, zatrudniało się jedynie oświatą warstw biédnych narodu, a i tego zadania podjęło się dopiéro w ostatnich czasach. O oświatę klas średnich i zamożnych troszczyć się nie mogło, gdyż udzielana ona była w szkołach wyposażonych, do których mieszać się ono nie miało prawa. Nie ma ani inspektorów do dozorowania szkół średnich, ani ciała urzędowego do nakreślenia planu naukowego i uprzątnięcia miejscowych trudności, ani publicznych egzaminów i nagród, ani stypendyów i zapomóg, ani nominacyi profesorów. Przy braku wszelkiego łącznika pomiędzy trzema szczeblami wychowania publicznego, ta całkowita niezależność średniego musiała wyrodzić nadużycia i zatracić wszelką jasną świadomość w ciele nauczycielskiém celów, do jakich oświata średnia zmierzać winna.

Ażeby jednak zrozumiéć cały organizm szkół średnich angielskich, trzeba przejść od powyższych ogólnych spostrzeżeń, do zwie-

dzenia ich samych. Kilka typowych zakładów wystarczy do sformułowania opinii o reszcie.

III.

Za najpiérwszą szkołę średnią uchodzi w Anglii Eton. Jest ona przedmiotem dumy narodowéj i nie można było aż do niedawna formułować przeciwko niéj najmniejszego zarzutu. Wychowała ona od wieków całe pokolenia pierwszych rodzin arystokratycznych. W murach téj szkoły zawiązują się stosunki, które życie utrwala a sama okoliczność, że chłopak jest w Etonie i że z tamtąd wyszedł daje mu stanowisko w społeczeństwie. Arystokratyczny ten zakład został wszelako ufundowany przez króla Henryka VI w XV stuleciu dla 70 biednych dzieci, otrzymujących stypendya; dodano do nich uczniów opłacających za nauki i utrzymanie w szkole. Ci ostatni z biegiem czasu zmonopolizowali szkołę, a stypendya nawet rozdawane są co rok chłopcom nieraz bogatym, ale ubiegającym się o nie jako o zaszczyt. Ażeby być do téj szkoły przyjętym, trzeba postawić kandydaturę jeszcze w niemowlęcych latach przyszłego Etończyka: miejsc brakuje, a popularność jéj nie zniknęła bynajmniéj. Nie podobna nie zauważyć, że jest to instytucya odpowiadająca interesom towarzyskim wyższych sfer społeczeństwa angielskiego, ale że z pedagogiczną jéj wartością nie stoi w najmniejszym związku.

Eton położony jest na roskosznych wybrzeżach Tamizy o kilka staj od królewskiego zamku w Windsorze: młodzież tam oddycha już od dzieciństwa atmosferą dworską i wychowuje się na lojalne sługi monarchii. Gmachy są wspaniałe, w stylu gotyckim, a słynny *Quandrangle* z basztą w środku, z posągiem króla Henryka VI w dziedzińcu, o murach bluszczem porosłych, ze śliczną kaplicą, gmachami kolegialnemi, galeryami, biblioteką etc., stanowi ramy idealne. Dochód roczny z majątku nieruchomego szkoły wynosi obecnie 20000 f. szt. Zarządza niemi rada zwierzchnicza, złożona z dziesięciu profesorów uniwersytetu, oraz profesorów miejscowych, pod prezydencyą *Master-Head'a*, czyli dyrektora całéj szkoły. Fundusze te obracane są na utrzymywanie 70 stypendystów, mieszkających w samém kolegium. Oprócz tego jest 850 uczniów, zamieszkujących w domach profesorów i osób prywatnych: noszą oni nazwę oppidanów. Koszta utrzymania i opłaty szkolne wynoszą minimum 200 funtów rocznie. Tylokrotnie opisywano Eton i takie nieprzebrane mnóstwo monografii istnieje o tym słynnym zakła-

dzie, że nawet ci, co się w nim nie wychowywali mogą iść krok w krok za życiem i pracą uczniów.

Są to dwa całkiem odmiennéj natury czynniki. Życie uczniów jest przyjemne i lata w szkole spędzone są istotnie najpowabniejszemi, a wspomnienie ich oświetla lata późniejsze. Jedyną skargą, jaką robić by mogli uczniowie, jest, że przez pierwszy rok swego pobytu w szkole poddani są tak zwanemu *fagging*, to jest uległości i rzec można służbie względem starszych uczniów *Fag*, rodzaj popychadła, gotuje śniadanie swego *seniora*, utrzymuje jego pokój, ubranie w porządku, załatwia mu sprawunki w mieście, i jest przedmiotem nietylko psot i figlów, ale nieraz nawet prawdziwie okrutnego znęcania. Ale ponieważ *fag* wié, iż i on z czasem wyzwolony będzie z tego podrzędnego stanowiska i że przyjdzie i na niego kolej rozporządzania swoim famulusem, znosi swój nowicyat cierpliwie. Pedagogowie angielscy nie tylko nie są przeciwnikami tego tradycyonalnego ustroju, ale zalecają go ściśle. Wyrabia on hart i karność w młodych chłopcach, daje im poczucie zależności i protekcyi, a natomiast u starszych wyrabia świadomość swéj osobistéj odpowiedzialności i inicyatywy. Cały wewnętrzny ład i porządek w szkole opiéra się zresztą na dozorze starszych uczniów; ich komitet jest instytucyą, uznaną przez zwierzchność szkolną i nie można dość wysoko moralnego znaczenia jego wysłowić.

Życie szkolne w Anglii, jak powiedziano żartobliwie, jest jednym ciągiem wakacyi, przeplatanym od czasu do czasu nauką. Istotnie, oprócz długich kilkumiesięcznych wakacyi dwa razy na rok i dwóch krótszych, trzy popołudnia w tydzień poświęcone są rekreacyom. Gra w *football* w zimowém półroczu, a w *cricketa* w letniém, z dodatkiem rozmaitych gier innych i sportów, stanowi nietylko rozrywkę, ale uważana jest za obowiązkową, nieodzowną część wychowania publicznego. Wiadomo, jak potężne wpływy na charakter indywidualny i zbiorowy społeczności angielskiéj to uprawianie systematyczne ćwiczeń fizycznych i sportów wywiera.

W powabném otoczeniu, wśród komfortu, przy wielkiéj swobodzie osobistéj, w gronie rówieśników, spędzając większą część czasu na grach i zabawach, młodzież w Etonie tak samo, jak i w innych szkołach publicznych, ma wszelkie powody lgnąć do nich. Ale gdy się na pobieraną tam naukę spojrzy, to się okazuje odwrotna strona medalu. Obowiązkowych lekcyi nie ma więcéj jak trzy w ciągu dnia i można do nich dodać godzinę lub dwie, kiedy uczeń pracuje wraz z profesorem, w którego domu zamieszkuje. Nie przeciążony jest pracą, na pamięć nie uczy się niczego. Głównym

przedmiotem wykładu jest greczyzna i łacina. Wyjątkowi tylko uczniowie mogą, po ośmioletnim pobycie w Etonie, czytać Homera i tragików greckich. Łacina nawet jest na zdumiewająco niskim stopniu. Piszą wiersze łacińskie, które są nędznemi naśladowaniami i łataniną tu i owdzie wykradzionych wyrażeń i obrazów, ale nie mają najmniejszego wyobrażenia o literaturze i o cywilizacyi świata klasycznego. Nauka ich własnego narodowego języka i piśmiennictwa nie istnieje. Historya i geografia chociaż są przedmiotem wykładów, tak podrzędne zajmują stanowisko, że nie można sobie wyobrazić stanu wykształcenia młodzieży angielskiéj w tych gałęziach. Piszący mógłby z osobistego doświadczenia opowiedziéć w tym przedmiocie wiele anegdot, któreby wydały się nieprawdopodobnemi. Nauk przyrodzonych nie wykładają wcale, a matematyka nie przekracza najelementarniejszego stadyum.

Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w ostatnich kilku latach zarówno w Etonie jak i w innych szkołach czynione są usiłowania ku podniesieniu skali nauk. Nie przyniosły one jednak dotąd żadnych widocznych rezultatów. Mają one do walczenia nie tylko ze wstrętem uczniów, z rutyną profesorów, ale i z oporem rodziców, którzy sprzeciwiają się przeładowaniu głowy młodzieży teoryą i przedmiotami, których bezpośredniego zastosowania w życiu nie widzą. Wysyłają zazwyczaj synów do Etonu, nie ażeby pobierali tam wykształcenie naukowe, ale żeby obcowali z rowieśnikami tego samego towarzyskiego poziomu, żeby wyrobili sobie stosunki i zostali *gentlemanami*. Jak samo się przez się rozumié, w domu każdego *tutor'a*, tak samo jak w kolegium pomiędzy stypendystami, znajdują się zazwyczaj uczniowie wyjątkowo uzdolnieni i czujący zamiłowanie do pracy umysłowéj. Oni to po otrzymaniu najwyższych nagród w szkole, przechodzą jéj kosztem do uniwersytetu w Cambridge, gdzie pracują z takim samym ferworem i wytwarzają następnie falangi uczonych i profesorów. Ale jest to szczupła mniejszość. Masa, opuszczająca rok rocznie szkoły średnie angielskie, jest w porównaniu do niemieckich, francuskich i nawet naszych gimnazistów o wiele mniéj wykształcona. Za to są to chłopaki jak dęby, czerstwi, zdrowi, energiczni, zahartowani, pełni inicyatywy, otwarci, gardzący kłamstwem i tchórzostwem. Ich naiwność, świeżość umysłowa i czystość obyczajów wprowadzać może w zdumienie tych, co znają ujemne strony ich rowieśników na stałym lądzie.

To, co powiedziane było o Etonie, da się z małemi bardzo zmianami, powiedziéć o innych szkołach publicznych angielskich. Harrow, rywal Etonu, położony na jedném z północnych przedmieść

Londynu, ma więcéj pracy naukowéj i zaprowadził u siebie rodzaj klubów, gdzie uczniowie wyższych klas ćwiczą się w kunszcie oratorskim i dyskusyach politycznych. Ale i tutaj *cricket* i gry zabierają połowę czasu uczniom. Dzień, w którym wydelegowani najlepsi gracze w cricket, ubiegają się o lepsze z uczniami Etonu, jest datą nie tylko w życiu obu szkół, ale rzec można w życiu Londynu. W szkole winchesterskiéj, która przed dwoma laty obchodziła swój 600-letni jubileusz od założenia i ufundowania swego przez Williama Wykeham'a, przechowała się w zupełności tradycya XIV stulecia. W tych wspaniałych budowlach średniowiecznych, w tych ramach wyjątkowo malowniczych, jest ona do zrozumienia łatwa. Istnieje tam system monitorów i prefektów, uczniów starszych, trzymających swych młodszych kolegów w rygorze. Chociaż jest w téj szkole więcéj metody pedagogicznéj, więcéj usiłowania rozbudzenia interesu i zamiłowania uczniów do nauki aniżeli w wyżéj wymienionych, nie można powiedzieć, ażeby rezultaty były o wiele wyższe. Tutaj, jak tam, nauka jest drugorzędną rzeczą.

Szkoła w Rugby ufundowana w XVI wieku za kr. Elżbiety przez Laurence Sheriff'a, mieszczanina londyńskiego, w wiosce hrabstwa Warwick, nabrała szerokiego rozgłosu dopiéro w naszém stuleciu, gdy jéj dyrektorem został w r. 1828 najznakomitszy z pedagogów angielskich, wielki dr. Tomasz Arnold. Postawił on przed sobą reformatorski programat i nie tylko przeprowadził go w swéj szkole, ale za jego przykładem poszły w znacznéj części inne szkoły publiczne. Przedtém istniała nieprzerwana tradycya scholastyczna średnich wieków; od niego datuje nowa era. On zbliżył profesorów do uczniów, i sam żył z młodzieżą szkolną, wśród niéj i dla niéj; on zniósł barbarzyńskie nadużycia siły, batóg i rózgę, niemiłosiernie przedtém panujące, męczarnie zadawane przez starszych chłopców młodszym; zreformował obyczaje szkolne, i postawiwszy sobie za cel wychowywanie „gentlemenów o chrześciańskim duchu“, wywarł wpływ zbawienny na całe pokolenia, co się pod jego ojcowskie garnęły skrzydła. Ale jeżeli niezaprzeczenie wielki wychowawczy prąd rozbudził Arnold, to co do saméj nauki nie można powiedzieć, ażeby szkoła w Rugby była przełomową. Z nałogami umysłowemi całego społeczeństwa nie mógł on walczyć zwycięzko, i prawdę mówiąc, w oczach jego była to kwestya podrzędna w obec moralnych obowiązków wychowania.

Dwóm jeszcze szkołom oddzielna należy się wzmianka. Jedną z nich jest Szkoła Westminsterska, ufundowana przez królowę Elżbietę w r. 1560 przy opactwie westminsterskiém, jako szkoła pu-

bliczna „dla wykładu gramatyki, retoryki, poetyki, oraz łaciny i greczyzny". Stu dwudziestu *Qeen's Scholars*, należących przeważnie do rodzin duchowieństwa, miało pobierać tam wychowanie a sześciu corocznie wysyłanych bywa jako stypendystów do dwóch uniwersytetów krajowych dla ukończenia swego wykształcenia. Szkoła ta słynie z łacińskich przedstawień teatralnych, dawanych przez trzy wieczory grudniowe przez wyborowych uczniów kolegium, w myśl życzenia, wyrażonego przez założycielkę. Była mowa wyżéj o niedostatecznych studyach języków klasycznych w innych szkołach publicznych. Nie możemy powiedzieć, czy pod tym względem szkoła Westminsterska stoi wyżéj. Kilkunastu wyborowych uczniów klas wyższych, przeznaczonych do brania udziału w tych dramatycznych turniejach, studyuje przez cały rok szkolny tę komedyę Terencyusza lub Plauta, która ma być grana. Nie dziwota, że ją rozumieją; ale o doskonałości klasycznego wykształcenia samego w sobie, *tour de force* świadczyć nie może. Inną charakterystyczną cechą téj szkoły, umieszczonéj nie na wsi ale w ciasnych dziedzińcach opactwa westminsterskiego, jest rygor panującéj tam karności i niektóre klasztorne ceremonie i obrzędy.

Drugi ze szkolnych zakładów londyńskich, stary Charterhouse, ufundowany w XVI wieku przez Tomasza Sutton'a dla 40 uczniów, liczy ich obecnie 500, w skutek zmian takich samych, jak w innych szkołach, gdzie do drobnéj liczby wychowywanych z funduszów zakładu przyłączyła się o wiele znaczniejsza pensyonarzy. Zamknięta w ciasnych zaułkach City, szkoła ta przeniesiona została w r. 1892 do Godalming, uroczéj wiejskiej miejscowości w hrabstwie Surrey. Wspaniałe gmachy i rozległy park téj szkoły są jedną z ciekawości Anglii. Ale wśród nowożytnych ram przechowuje się w wewnętrzném jéj życiu tak samo, jak w pedagogicznéj organizacyi ten sam duch i nastrój średniowieczny, który nadany jéj został w XVI-ym wieku.

Moglibyśmy przedłużać te rysy, wymieniając te lub owe z innych szkół średnich, wszędzie spotkać byśmy mogli te same zasadnicze cechy. Marlborough nawet, szkoła utworzona nie dawniéj jak w roku 1843 przez stowarzyszenie kilku duchownych i świeckich profesorów z zamiarem stanowczego zerwania z wyłącznością i rutyną szkół dawniejszych, nie wypełniła całkowicie tego zadania. Jest wprawdzie tańsza, dostępniejsza dla warstw wyzwolonych społeczeńswa, i 600 uczniów, których kształci, są pod wielu względami, wyswobodzeni z klauzury średniowiecznéj, ciążącéj na innych zakładach; zaprowadzono w niéj dział nowożytny, gdzie języki umarłe

nie pochłaniają już całego czasu młodzieży i jest tam wiele wskazówek nowego ducha, tak pod względem pedagogiki, jak samych wykładów. Ale, jak wszyscy specyaliści się zgadzają, nie pokazało się dotąd bynajmniéj, ażeby szkoła w Marlborough wywołała ową radykalną reformę w średniéj oświacie, któréj potrzeba jest jednogłośnie uznana.

IV.

Gdyby szkoły miały jedno tylko zadanie—dawać oświatę—to nie możnaby znaleźć słów dość surowych dla scharakteryzowania téj, jaka dawana jest w średnich szkołach angielskich. Pomimo, że społeczeństwo się odnawia, stwarza nowe potrzeby i szuka sposobów ich zaspokojenia, szkoły pozostały takie, jakie były w średnich wiekach, kastowe, kościelne i scholastyczne. Pomimo gwałtownego prądu, jaki wiedzie demokracyę do wszechstronnego zawładnienia okólnym światem i wyzyskania jego sił, szkoły średnie o przyrodzie, o praktycznych zastosowaniach nauk nic nie wiedzą. Oko ich nie w przyszłość, nie w teraźniejszość nawet, ale w przeszłość jest zwrócone, i sądzą, że z zadania swego należycie się wywiązują, monopolizując cztery, pięć lat młodzieńczych dla literatury klasycznéj, dla zmarłéj niepowrotnie cywilizacyi. Powiedziano wyżéj, że nawet z tak ścienionego programatu naukowego wywiązują się w sposób wadliwy, często niedołężny.

Ale obok wykształcenia naukowego, jest, na szczęście, w szkołach publicznych inny jeszcze czynnik nie tylko równego, ale donioślejszego nawet znaczenia. Jest nim wykształcenie moralne, utworzenie charakteru, przygotowanie z chłopaka—człowieka. Pod tym względem szkoły angielskie nic, albo mało bardzo zostawiają do życzenia. Dzięki *tutorial system*, t. j. umieszczaniu uczniów w domach profesorów, którzy specyalnie nad swymi wychowańcami rozciągają pieczę, szkoła nie jest wielkiemi koszarami, jak na stałym lądzie, uginającemi jednostki pod jednostajną, scentralizowaną organizacyą, nie zamienia człowieka na machinę, ale przeciwnie, jest dalszym ciągiem, rozwinięciem życia rodzinnego, familijnego.

Nie potrzeba zapewne przypominać rysów charakterystycznych domowego wychowania w Anglii. Podług słynnego wyrzeczenia Herberta Spencera, zadaniem jego jest stworzenie z dziecka dobrego, krzepkiego zwierzęcia. Kształcić fizyczny organizm, hartować go i rozwijać, oto do czego dążą przedewszystkiém. Chowają tedy dzieci z rygorem, bez żadnych przesadzonych wygód i pieszczot.

Powaga ojca rodziny jest wielka, i chłopak wié, że mu trzeba być karnym i posłusznym. Zawczasu wyrabiane jest w nim poczucie odpowiedzialności za własne postępki; zostawiona mu jest jednocześnie większa swoboda ruchów, mniéj dozoru, a możność wyrabiania swéj indywidualności.

Gdy pomiędzy 10 a 12 rokiem życia taki zdrowy, silny, przywykły do sportu i gier na świeżém powietrzu chłopak przychodzi do szkoły i umieszczony jest u *tutora* wraz z jakimi 40 rowieśnikami, nie uczuwa innéj zmiany jak rozszerzenie rodziny. Zasiada do stołu wraz z rodziną swego tutora, obcuje z jego żoną i córkami; ma swój własny pokój, uczy się nie wiele, ale za to gra ciągle, pozostaje ze swymi kolegami, wysługuje się starszym, ściśle przestrzega tradycyi i zwyczajów miejscowych, czuje się członkiem żywego organizmu. Tutor po za prywatną lekcyą, któréj mu udziela, zostawia mu zupełną swobodę, ale wspiera go radami, prostuje jego błędy i usterki, wyrabia w nim uczucia gentlemena, krzepi jego wolę i energię. Szkoła sama, gdzie na parę lekcyi codziennie przychodzi, wprowadza go w zetknięcie z wychowańcami innych profesorów i rozszerza tylko jego widnokrąg.

Przebywszy pięć albo sześć lat w szkole i wychodząc z niéj mniéj więcej w 17-ym roku życia, młodzieniec ma już zarysowany w sobie charakter, jest osobistością ściśle rozgraniczoną od innych sobie rowieśnych. Nie rwie się, niby więzień z murów, w których był zamknięty, do życia i do swobody, bo ani na chwilę nie był jéj pozbawiony. Wynosi z niéj tylko wspomnienia owych pożądanych tryumfów w grach i publicznych zabawach, a jeżeli w głowie są pustki, to wié dobrze, że trzeba mu będzie indywidualną, dalszą pracą te braki zapełnić.

Szkoła przygotowała go istotnie do życia. W tém jest jéj niezaprzeczona zasługa. Nie mięczaka, nie abstrakcyjnego teoretyka, nie zarozumiałego wszystkowiedza, nie wyrafinowanego sceptyka, ale jędrnego, pełnego samopoczucia, zdolnego do poradzenia sobie w codziennych trudnościach młodzieńca wypuszcza w świat. A znaczenie tego moralnego ukształtowania charakteru zrozumiéć i ocenić można dopiéro w całych jego rozmiarach, gdy się weźmie na uwagę dalsze jego kierowanie się w życiu.

Szkoły średnie mają przygotowywać do tak zwanych liberalnych zawodów, a techniczne uzdolnienie, specyalizacya różnych gałęzi odrębnych ma się odbywać w uniwersytetach. Tak się przynajmniéj dzieje na stałym lądzie. Inaczéj w Anglii. Uniwersytety nie przygotowują tam jednak, ani lekarzy, ani naturalistów, ani ad-

wokatów, ani sędziów, ani inżynierów, ani astronomów i t. d. Ograniczając się do przygotowania księży, pastorów i teologów. Ale ponieważ uniwersyteckie kolegia zorganizowane są, *mutatis mutandis*, jak owe domy tutorów przy szkołach średnich, zatém młodzież, która posiada środki materyalne do spędzania tam lat kilku, rozszerza swój horyzont umysłowy, uczy się tego lub owego i potęguje w sobie swoją własną indywidualność.

Ci, którzy do specyalnych zawodów praktycznych się przygotowują, czynią to po opuszczeniu szkoły średniéj nie teoretycznie ale praktycznie. Anglicy bowiem nie tylko, o czém zapomniéć nie trzeba, nie są zwolennikami teoretycznego kształcenia, ale czują ku niemu nieufność. Praktyka ma uczyć młodzieńca, jak zostać kupcem, przemysłowcem, mechanikiem, inżynierem, prawnikiem, lekarzem i t. d. Rodzice są przeciwnikami długoletniego przebywania nawet w szkole średniéj, wiedząc, że przygotowanie praktyczne do każdego z późniejszych zawodów wymaga czeladnictwa w zakładach lub pod bezpośrednim nadzorem zwierzchnika.

Młodzież, która do kupieckiego zawodu się bierze, wchodzi do jakiego kupca i w jego magazynach wdraża się do praktyki swego fachu. U wielkich przemysłowców jest zawsze w fabrykach i warstatach pewna ilość uczniów, płacących często wysokie premia, ażeby otrzymać tam fachowe przygotowanie. Na stałym lądzie szkoły techniczne, politechniki, szkoły centralne etc. zadania takiego się podejmują. Inżynierowie angielscy, którzy w warstatach mechanicznych obznajmili się z używaniem narzędzi, nie posiadają wysokiego wykształcenia teoretycznego, jakiém się szczycą ich koledzy na stałym lądzie. Jak wiadomo, nie przeszkadza im to wszelako budować najdoskonalszych machin i dokonywać przedsiewzięć wprowadzających w zdumienie świat okólny. O kształceniu teoretyczném rolników mówić nawet nie trzeba: o tego rodzaju dziwolągu aż do ostatnich czasów nie słyszeli nawet Anglicy.

Dziwniejszém jeszcze wydawać się nam może praktyczne kształcenie się prawników i lekarzy. Cały zastęp przyszłych nota ryuszów, adwokatów, sędziów i t. d. nie zapisuje się na żaden fakultet prawny. Zaczynają swoje studya jako kanceliści *(articled clark)* w biurach sollicitorów, t. j. regentów-notaryuszy. Podczas obowiązkowego pięcioletniego tam pobytu, uczęszczają, gdy mają do tego chęć na kursa prawne, urządzane dla nich przez stowarzyszenie prawników, *Law Institution*, i zdają tam egzamina, ale uczą się samodzielnie na własną rękę w godzinach pozabiurowych prawa rzymskiego, cywilnego, kryminalnego, zwyczajowego i t. d. Czego mu

brakuje teoretycznie, a brakuje mu bardzo wiele! — dopełnia i w pewnéj części wynagradza ciągła praktyka w biurze sollicitora, a potém adwokata. Ostateczny dyplom, następstwo złożonego przed swą korporacyą egzaminu, otwiéra podwoje zawodowe młodemu człowiekowi, który posiada już zazwyczaj doświadczenie nad lata wyższe. O obowiązkowych studyach korporacyi adwokackiéj, polegających na przymusowém uczestnictwie na pewnéj liczbie obiadów, pisano w drwiący sposób wiele po za granicami Anglii. Tutaj widzą w tém rękojmię, że tylko gentlemani do zawodu adwokackiego się dostaną: prawne wykształcenie każdy zaś sam sobie znaléźć powinien.

Lekarze, doktorowie medycyny, przygotowują się także w ten sam sposób. Wchodzą jako praktykanci do lekarza, który ma podług zwyczaju angielskiego swą własną aptekę obok gabinetu konsultacyjnego. Nie mając często najmniejszego, najbardziéj nawet elementarnego pojęcia o naukach przyrodniczych, nie znając ani fizyki i chemii, ani nawet anatomii i fizyologii, bywa taki praktykant obecny przy badaniu chorych przez swego pryncypała i przygotowuje dla nich lekarstwa. Odwiédzając wraz z nim pacyentów, wyręcza go po niejakim czasie. Dreszczem zgrozy przejmuje nas myśl, w ręce jakich ludzi oddane jest zdrowie publiczne. Nadużycia i niedostatki téj metody, przygotowującéj lekarzy, wywołały w ostatnich dziesiątkach lat coraz liczniejsze, coraz energiczniejsze protestacye ze strony publiczności i ze strony samego ciała lekarskiego. Zaprowadzono istotne reformy. Istnieje wielka ilość szkół lekarskich, do których przyszli lekarze uczęszczać mogą, kliniki przy szpitalach są otwarte dla nich. Ale nie ma najmniejszéj wspólnéj organizacyi, żadnego obowiązkowego kształcenia się. Zostawiona jest zupełna swoboda inicyatywie indywidualnéj. Ażeby otrzymać upoważnienie do leczenia, należy zyskać dyplom bądź od jednego z uniwersytetów krajowych, bądź od jednego z czterech kolegialnych ciał medycznych do udzielania ich upoważnionych.

Nie ma zapewne potrzeby mówić o naturalistach i przyrodoznawcach. Ich wykształcenie tém więcéj od nich samych zależy i jest im samym zostawione, że im żadnych dyplomów nie potrzeba. Wielcy uczeni, jak: Faraday, Tyndall, Darwin, Huxley, Spencer i t. d. są wszyscy bez wyjątku samouczkami. Zdobycze naukowe, któremi wsławili swe imię i któremi wzbogacili ludzkość, są owocem nie instytucyi publicznych ale ich indywidualnej pracy i energii.

Można by przykłady te pomnożyć i dodać inne charakterystyczne rysy. Sądzimy jednak, że wyżéj wymienione wystarczą do

przekonania czytelnika, iż szkoły średnie wynagradzają wadliwość swego teoretycznego, czysto naukowego systematu przez formowanie silnych charakterów i energicznych indywidualności. Są one niezbędnym warunkiem do wyrobienia sobie miejsca w praktycznych zawodach, gdzie nie tyle rozległość i gruntowność wiedzy, ile fachowa biegłość są ocenione. Ale powracając do strony naukowéj szkół średnich, a jak pobieżnie wskazaliśmy i wyższych, jest ona w Anglii stanowczo niska i nie odpowiada ani wymaganiom i potrzebom czasu ani szerszemu pojęciu oświaty. Co uderzać musi każdego obcującego z wielką liczbą Anglików, to szczerby i braki w wykształceniu nawet światłych, a nieraz i uczonych mężów. Tłumaczy się to łatwo tą okolicznością, że wszyscy są samouczkami i że to, co umieją, zdobyli sobie nie w szkole, ale po za jéj sferą. Z tego samego źródła płynie ów niedostatek filozoficznego zmysłu i syntezy; łatwiéj temu lub owemu przyswoić sobie analityczne pierwiastki, ale wyjątkowe jedynie osobniki są w stanie bez żadnego przewodnika, bez systematycznego i encyklopedycznego ćwiczenia się, wznieść się na te wyżyny naukowe, z których ma się panoramiczny widok na drogi, któremi szła ludzkość i które pozwalają odgadnąć te, jakiemi nadal pójdzie.

Wszyscy myśliciele i pedagogowie angielscy zdawali sobie oddawna sprawę o niższości metody naukowéj w szkołach swoich. Owocem tego reformatorskiego dążenia były prace dawniejszych komisyi parlementarnych i nakoniec téj ostatniéj, któréj świeżo ogłoszony raport dał nam pobudkę do przedstawienia téj kwestyi w jéj charakterystycznych rysach.

V.

Pozostawałoby jedynie streścić ten ostatni. Ponieważ jednak nie jest to jeszcze bil urzędowy, ale że tak powiemy jedynie przeżuty do niego materyał, nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły, lecz wystarczy wskazać zasadnicze punkta jutrzejszéj organizacyi.

Jak łatwo było przewidzieć, pierwszą instytucyą, o któréj stworzenie idzie, jeżeli oświata średnia ma istniéć jako systematyczna całość, jest władza centralna, ministeryum oświaty. Dotąd *Charity Commission*, ciało zawiadujące różnemi legatami, uczynionemi na rzecz szkolnictwa, i *Science & Art Departament*, utworzony dla technicznéj oświaty po wystawie powszechnéj 1851 r., tworzą każde na swoją rękę instytucye i zakłady, powiększające tylko już istniejący chaos. Ministeryum oświaty ma stanąć po nad temi organizma-

mi, jako najwyższa, rozstrzygająca instancya, i zostawiając im pod wielu względami niezależność, uszanowując ich tradycye, będzie stopniowo i systematycznie wprowadzało niezbędną jednolitość, będzie dozorowało, kierowało, i że tak powiemy, harmonizowało. W obec parlamentu i w obec kraju przyszły minister oświaty będzie odpowiedzialny za cały organizm.

Obok tego zwierzchnika ustanowiona będzie rada zwierzchnicza, złożona z członków, mianowanych w części przez koronę, w części przez uniwersytety i dopełniona przez wybór samych tych radców, którzy nie omieszkają powołać do swego grona najznakomitszych pedagogów. Atrybucye téj rady będą doradcze, dyscyplinarne i od niéj widocznie zależéć będzie wypracowanie programu naukowego.

Bardzo ważnym punktem téj nowéj organizacyi szkolnéj i *par excellence* angielskim, jest utworzenie w każdéj prowincyi, w każdym większym okręgu miejskim miejscowych władz szkolnych w formie kolegialnéj rady, złożonéj z ciała profesorskiego, przedstawicieli władz rządowych i członków ciał dobroczynnych. Takie ciało miejscowe będzie miało za zadanie utworzyć szkoły średnie wszędzie, gdzie ich dotąd nie ma i przekształcić dawniejsze podług modły, wskazanéj im przez władzę państwową. Łatwo przewidziéć pod tym względem nie tylko rywalizacyę jednych zakładów szkolnych z drugiemi, ale co więcéj, opór ze strony tych szkół, które posiadając swoje własne fundusze i fortuny, nie dbają o etat państwowy. Ale statystyka usuwa wszelki niepokój, jakiby żywić można. Gdy się nasłuchało wiele o tych fundacyach i kapitałach, będących własnością szkół średnich, jest się zdumionym, stwierdzając, jak nieznacznemi są one w obec koniecznych wydatków na szkoły. W roku 1889 ustanowiony został podatek jednego pensa od każdego funta szt. płaconego do skarbu na szkoły techniczne. Otóż ten mały podatek przewyższył już summy, jakiemi rozporządzają szkoły średnie o własnych majątkach. Gdy regularny, normalny etat państwowy zostanie ustanowiony, szkoły te chętnie oddadzą państwu administracyę swego majątku, otrzymując od niego w zamian dopłatę, bez któréj istniéć na przyszłość nie będą mogły.

Można pominąć całą stroną fiskalną, gdzie wymienione są źródła finasowe na utrzymanie szkół średnich oraz naszkicowany plan, co do ustosunkowania ich do liczby mieszkańców. Są to szczegóły czysto miejscowego interesu, które dla postronnych czytelników nie przedstawiają bezpośredniego zajęcia. Ale tutaj, w Anglii, właśnie ta strona raportu najżywszą wywołała dyskusyę, gdyż nie ulega wąt-

pliwości, że ta nowa sfera działalności państwowéj będzie wymagała znacznych ofiar materyalnych ze strony społeczeństwa i oddźwięknie na kieszeni każdego obywatela. Stronnictwo zachowawcze, w obec tego nowego rozszerzenia pretensyi państwa, w obec tego nowego rozwoju centralizacyi tak długo nieznanéj tutaj i przeciwnéj tradycyi anglo-saskiéj, sierdzi się, protestuje i oskarża całe to przedsięwzięcie jako rewolucyjne. Ale z góry wiedziéć można, że protestacye te pozostaną bezowocnemi. Wiatr dmie w żagle centralizacyi. Skoro oświata publiczna jest w Anglii zacofana i skoro społeczeństwo samo swoją inicyatywą olbrzymiemu temu zadaniu podołać nie może, jest rzeczą naturalną, konieczną, że władze państwowe zadanie to wziąć muszą na swe barki.

Dr. M. S. Trepka.



Literatura maluczkich.

„Błogosławieni ubodzy!”... Ale jak gdzie i jak kiedy. Komukolwiek wypadnie zwiedzać Francyę—choćby z uczuciem owego niesmaku, jakim w ciągu ostatnich lat kilkunastu niejednego przejmował odgłos ciągłego na jéj powierzchni wrzenia namiętności politycznych i nieustających przemian na jéj wyżynach rządowych, niech którego dnia od niechcenia zajrzy w Paryżu na dziedziniec i do przedsionków księgarskiego domu Hachette i S-ka, zajmującego się niemal wyłącznie wydawnictwami dzieł popularnych—dla szkółek, dla dzieci, dla ludu. Jeżeli wprawne ma oko i umysł ostateczném uprzedzeniem nie zaćmiony, zrozumié odrazu, skąd w tym narodzie, pomimo klęsk i strat niesłychanych, biorą się i miliardy na opłacenie własnych lub cudzych grzechów i ludzie nauki, nie przestający wśród czasowego zaćmienia, rzucać dokoła siebie strumieni świałeł zdala widzialnych. Tłumy jak na odpuście, góry wywożonych i wynoszonych książek, wyższe i cięższe od naszych stogów. A przed świętami, to i nie dociśniesz się do tych skarbów trzydziestocentymowych i półfrankowych. Zawitało się do stolicy może w pogoni za mniéj godziwą i skromną uciechą, rzuciło się dla dogodzenia ciekawości — a przypuśćmy, że i zepsutemu smakowi parę białych papierków z fioletowemi na nich plamkami, ale odsetek od nich, w okrągłych i ważkich luidorach z lat 1841—48, zostawi się z pewnością u Hetzela lub Hachette'a na podarunki, w powrocie do

chaty, dla wyglądającéj przez okna dziatwy, dla krzątającéj się po oborach służby, dla bliższych dzierżawców, dla dalszych krewnych, dla plebana, dla organisty, dla bakałarza, dla robotników przy kolei, dla dziewcząt na dożynki, dla chłopców przed poborem. Tém społeczność stoi, choć w głowie jéj od czasu do czasu zapalają się ognie, od których kogo innego sto razy piekło-by już pochłonęło.

O porównaniu naszego piśmiennictwa ludowego z francuskiém, oczywiście nie może być mowy, choćby nawet najściśléj uwzględniło się odmienność stosunków zaludnienia i zamożności. Dość zajrzeć do naszych Hachettów i Hetzelów, do księgarni p. Wizbeka przy ulicy Szitalnéj Nr 5, do redakcyi „Zorzy", Nowy Świat 41, lub do sławnego „pisarza" „Gazety świątecznéj" Promyka, także na Nowym Świecie 26, aby się na zawsze zarzec wszelkich paralel lub tylko aluzyi zagranicznych. Całą ich zasobność od r. 1885 możnaby bez osobnéj opłaty przewieźć do Cieszyna w pasażerskim wagonie 1-éj klasy, nie zwróciwszy ani oburzenia na siebie, ani współczucia ku sobie dystyngowanych podróżnych, nie zaniepokoiwszy kontrolera kolei warszawsko-wiedeńskiéj, nie podrażniwszy w Szczakowie apetytu celników cesarsko-królewskich. I nie pokaźne to i szczupłe i tak bajecznie tanie, że gdyby nawet wypadło na komorze uledz taryfie *ad valorem*, nie przeniosłoby to wszystko razem dwunastu podprawionych miedzią szóstek austryackich.

A co się tyczy wartości wewnętrznéj, nie bałbym się wystawić na szwank noworocznéj prenumeraty „Ateneum", choćbym tu wypisał cały katalog połączonych firm Prószyńskiego, „Zorzy", Wizbeka, wraz z „Gazetą świąteczną" i Promykiem. Można się z tem potrzykroć w kółko po Warszawie uwinąć w godzinę i w ciągu drugiéj odczytać z końca w koniec tegoroczną książeczkową i broszurkową wytwórczość Promyka, „Zorzy", raz jeszcze Wizbeka, raz jeszcze „Gazety świątecznéj" i Prószyńskiego. I znalazłby się nadto moment wolny na zabranie u p. Centnerszwera przy Marszałkowskiéj Nr 143 połowy z r. 1896 nakładu „Żony z jarmarku" Klemensa Junoszy, którą również do tegorocznych wydawnictw popularnych zaliczyć należy, gdyż język jéj prosty, osnowę zajmującą doskonale zrozumié, z zajęciem odczyta nietylko Maciek z Kiernozi i Bartek z Pacanowa, ale i Radziwiłł z Nieświeża. Pozwólcież, o! najczcigodniejsi redaktorowie i wydawcy chromolitografowanych, złotemi obietnicami opromienionych, w japońską papkę reklamy obwiniętych, różowemi sznureczkami miłości przewiązanych prospetów gwiazdkowych, że tu głos z serca podniosę przedewszystkiém na cześć owéj bibuły szaréj i niepoczesnéj, na któréj „Ga-

zeta świąteczna" do współki z Wizbekiem, „Zorzą" i Prószyńskim, a Promyk na własną rękę wydrukowali Orzeszkowéj „W zimowy wieczór", Prusa „Placówkę" w przeróbce Faustyny Morzyckiéj, Junoszy „Dziadowskiego Wychowanka", Maryi Czesławy „Przygody Marynki Wójnikówny" i Dyakowskiego „Rośliny pokarmowe!" — I tyle... Ujma niewielka. Bo gdyby pochwała nasza przysporzyła przypuśćmy „Gazecie świątecznéj" i „Zorzy" po tysiąc nawet przedpłacicieli, a Wizbekowi do czysta na przednówku opróżniła półki i ściany, zaciążyłoby to wszystko razem w waszych bilansach rocznych zaledwie tyle, co parę niewyprzedanych do adwentu egzemplarzy sztambuchów i albumów w oprawie z kości słoniowéj i perłowéj macicy!

Zresztą, hymn nasz dla Wizbeków i Promyków będzie bardzo krótki. Z pięciu wydanych przez nich, powyżéj wymienionych książeczek, doczekały się drugiego wydania dwie tylko: Prusa „O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z niemcami poradził" i opisane przez Czesławę „Przygody Marynki na warszawskim bruku". Powód zaszczytnego tego wyróżnienia jasny: przywiązanie chłopa do wsi i do uprawianego w pocie czoła zagona — to dźwignia dodatnia wyrastającéj nieco po nad poziom poczytności wśród ludu; pewne uprzedzenie do miast, jawiących się w umyśle wieśniaka pod postacią mniéj więcéj uzasadnionych lub przesądnych czynników wyzysku, pieniactwa, zbyku, bezbożności i swawoli, oraz najzupełniéj szczera, nietajona nieufność do przybłędów obcych, czyhających na jedyną, jak dotąd w wielu miejscach, podstawę dobrobytu i godności drobnego zagrodowca — to są z naszego, wykształconego punktu widzenia, dźwignie ujemne tej-że poczytności. Osłabić nieco te drugie w streszczeniach lub skróceniach popularyzacyjnych, bez pogwałcenia prawdy, zgodnie z powołaniem autora przemawiającego do mniéj inteligentnéj rzeszy, jednocześnie zaś położyć pewien nacisk z natury rzeczy nieszkodliwy, na motor pierwszy, dodatni, jest to i psychologia dobra i etyka uznania godna; przytém jak pokazuje przykład — to i rachunkowość nie najgorsza. Można z tém służyć pospolitemu dobru, nie licząc za wiele na filantropię i nie odwołując się do niéj za często. Bóstwo to ma już dziś znudzoną cokolwiek minę. Zostawione sobie samemu, skwaśnieje ono wprawdzie do reszty, albo się zaleczy u wód zagranicznych na śmierć; ale rady na to nie ma i kto wié, czy nie najwięcéj wygrałby na tém interes, gdyby zawczasu skrzywionéj téj panience drzwi przed nosem zamknął. Naturalnie, że talentu Prusa do filantropii w danym wypadku nie zali-

czamy, rzecz to już publiczna, z jałmużny téj korzystamy wszyscy, kożuch na nas czy sobole.

Sknerstwem przy czerpaniu z téj skarbnicy nie zgrzeszył i Junosza w „Dziadowskim wychowanku”, nie zgrzeszyła też i Orzeszkowa w „Zimowym wieczorze”. Dali co mieli, a mają podostatkiem. Junosza, wielki znawca nietylko sukmany ale i duszy wieśniaczéj, tym razem wygrzebał z téj i z pod tamtéj sekret chytrości człowieczéj, dla któréj chłop nasz uczyćby się uczył — i owszem, tylko-że znowu po co? dlaczego? dla kogo? Żeby tak można było napewno wiedziéć, że syn, nie ruszając się z miejsca, nie nadszarpując zbytnio chudzizny ojcowskiéj — a już broń Boże, czci dobréj u ludzi i świętéj obyczajności domowéj, dostąpi przez to kiedyś, z woli sąsiadów i kumów, ławnikowstwa przy urzędzie, że go z estymą nazywać będą „panem sędzią”, to o tém nie byłoby co i gadać... Że wiedza, aczkolwiek najgruntowniejsza, nie ściąga ku sobie u nas bogactw nadzwyczajnych — wszechwładnych tych dzisiaj talizmanów na wyżynach i na nizinach życia, wié o tém Junosza nie gorzéj od kogo innego; za trudny to jednak i niebezpieczny jak na te czasy temat dla popularyzacyi, wolał więc autor siłą pociągającą umieścić w należycie zrozumianéj i skierowanéj ambicyi. To mu się w zupełności udało. Mniéj skrzętnie zrekognoskowaną drogę obrała Orzeszkowa. Są w sercu ludzkiém struny, które muszą brzmieć w pełni, wysoko nastrojone albo też, jeżeli nie — to poruszać nie trzeba... Właściwie — trzeba, idzie tylko o odpowiednie audytoryum, więc w danym wypadku do czynienia mamy nie z utworem pierwotnym, lecz z jego obciętą podobizną, zkądinąd po mistrzowsku wykonaną. Zachodzi ta okoliczność, że autorka „Nizin” zawsze po trochu ulegała pewnemu lokalnemu sentymentowi nadziemskiemu, który jeśliby nawet w niebie zamieszkał, toby mu nie było za wysoko, ale któremu na ziemi bywa za ciasno. Sentyment ten w ostatnich czasach urósł i coraz częściéj przybierać zaczął jakieś odblaski ewangeliczne, goryczą przepojone... „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni” — przykazanie to posunąć można, jak wszyscy dokładnie wiemy, aż do znanego komentarza: nie sprzeciwiajcie się złemu. Odpust winowajców należy do postulątów wielce wygórowanéj filozofii. W powieści Orzeszkowej nie przekracza on granic obowiązku, jaki na podstawie Modlitwy Pańskiéj ma brat względem brata, przyjaciela, ziomka, znajomego — a gdy koniecznie chcemy, to i znacznie daléj sięga. Ofiarność i miłosierdzie są wszak bez dna i ujęcia. Tylko-że, co do powiastki zrobionéj z powieści, nastręczać ona może umysłom mniéj otrzaskanym z zagadnieniami serca... i metafizyki, niejakie pytania, niejakie wątpliwości, do których rozstrzygnięcia niezbędném staje się obecność światłego, oczytanego kapłana

Dyakowskiego „Rośliny pokarmowe” pokazują okrom tego, jak pożytek pospolity godzić należy z odświętną pogawędką pod strzechą wiejską. O chlebie żytnim, kartoflach, burakach, marchwi, cebuli, owsie, koniczynie, chłop czytać w tygodniu mało ma czasu, zajęty pracą nad niemi od świtu do wieczora. Co innego w niedzielę, lub uroczystość doroczną, gdy ze mszy św. wróci z czeladzią i gdy mu na stół wysuną z komory zamiast bochna razowego, kołacz zarumieniony i pachnący, w środku jak mléko biały, z wierzchu rodzenkami nasadzany. Wówczas, śmiało zaczynaj z nim o ryżu i o Paryżu, o manioce i ananasach, o gorzkich i słodkich migdałach, o têm jak Niemcy spijają kawę, jak Francuzi robią czekoladę, gdzie uprawiają herbatę, kędy pieprz rośnie, ile w Rzymie płacą za korzec orzechów włoskich, z czego w oblężonym Paryżu pieczono placki na Boże Narodzenie i po czemu dziś u nas funt licha. Zaostrzysz w nim przez to apetyt? podniecisz łakomstwo? pobudzisz żądzę mienia i używania? — Ależ o nic więcéj nie chodzi i nie chodziło nigdy. Rozłóż przed sobą Roschera, a dowiész się dla czego. Masz w ręku najdzielniejszy sposób podniesienia z upadku rolnictwa krajowego, ożywienia przemysłu, udoskonalenia rzemiosł. Skoro nie umiész ulepszyć i wzmódz produkcyi, probuj uzdrowić i uszlachetnić konsumcyę. Dwie gnidy niszczą oddawna nasz dobrobyt: spadek cen zboża, i drogi, rzadki robotnik. Naucz chłopa, by jadł lepiéj, pożywniéj, wykwintniéj — dasz ogółowi kilka milionów nowych spożywców, a gdy spożywczość nowa zażąda odpowiednich potrzebie domowéj środków nabywczych, wskaż jéj drogi tłumniejszego i gorliwszego zarobkowania... Tym sposobem jedną, drugą, dobrą broszurą za kopiejek 15, wywindykujesz na targowisku wewnętrznêm cenę pszenicy do wysokości, jakiéj ci zagranica dać nie chce, a jednocześnie spędzisz gromady pracowników na odłogi i moczary, które amerykańskim niwom sprostają. Czemu niegdyś nie podołał przymus fizyczny, tego dokona przymus moralny, wola wyrozumowana, litera przeznaczeń swych świadoma...

Byłożby to marzenie?

U nas marzeniem się stała nawet filozofia liczb, której kategorye dziatwa, gdzieindziéj, na palcach ci wykaże. W którąkolwiek stronę się obrócisz, czegokolwiek się dotkniesz — urojenie ukropem cię oblewa, w żywe oczy parska. Nie roisz wtedy tylko, gdy czytasz gazetkę upstrzoną nowiniarstwem głupiém, gdy bieżysz jak warchoł na wyścig bezsensowny, gdy znowu przed zakąską spijasz porządną szklenicę siwuchy, gdy w południe lustrujesz magazyny modne, gdy wieczorem zasiadasz do winta... To dopiéro jest rzeczywistość.

Zostawcież mię przy marzeniu. Co to wam szkodzi, że pochylony nad katalogami Promyka i Wizbeka, odczytuję sobie tytuły: „Jak zbierać mierzwę i urządzać gnojownie”, „Co to są kasy pożyczkowe a spółki zakupne”, „Z czém spieszyć na pomoc gdy kto zachoruje”, „Nauka rachunków dla samouków”, „Na chlebie u dzieci” Junoszy, „Bajdy i baśnie” Matuszewskiego, „Matusina pieszczotka” Dygasa... i odczytując, tak sobie myślę: tędy prowadzi najpewniejsza droga do wszechbogactw.

***



PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zmiana rządu w Austryi.

Dziesiątego października r. b. upłynęły właśnie dwa lata od chwili, gdy hr. Taafe, nie mogąc znaleźć sposobu dalszego wybrnięcia z trudnego położenia parlamentarnego i przekonany, że słynna jego dewiza: *durchfresten*, już się przestarzała, zdecydował się na krok ostatni, który miał długoletniemu jego manewrowaniu między Scyllą klerykalizmu a Charybdą żądań, ludowych położyć przynajmniej świetny, efektowny koniec i... wniósł w parlamencie austryackim projekt reformy wyborczéj. W parę dni potém ministeryum Taafego i Steinbacha podało się do dymisyi, a na miejsce jego powołano z łona parlamentu ministeryum „koalicyjne", w którym obok przedstawiciela krańcowego feudalizmu ks. Windisch-Graetza, zasiadali reprezentanci liberalno-centralistycznéj lewicy w osobie dr. Plenera i partyi autonomicznych w osobie dr. Madeyskiego. Już wówczas nazwisko namiestnika Galicyi, hr. Kazimierza Badeniego, wypłynęło na widownię polityczną i nietajną nikomu było rzeczą, że na fotelu prezydenta ministrów byłby zasiadł bezpośrednio po genialnym humoryście (jak nazywano Taafe'go) mąż „żelaznéj ręki", cieszący się bezwzględném zaufaniem cesarza i sławą znakomitego i energicznego męża stanu. Ale hr. Badeni wtedy stanowczo odmówił.

Ówczesna sytuacya polityczna była tak niejasna, że to nieprzyjęcie misyi utworzenia gabinetu było dowodem niezaprzeczonego sprytu, który odrazu postawił wysoko onego męża w opinii polityków, nie znających tajemnicy namiestnikowskich jego rządów w Galicyi. Odtąd w ciągu całych dwóch lat, oczy ludów austryackich zwracały się ku hr. Badeniemu, przeczuwając w nim „męża przyszłości“, który miał rozbitą upadkiem hr. Taafego, a przez ks. Windisch-Graetza bardzo słabo zespoloną większość parlamentu na nowo zespoić i kitem mądréj, praktycznéj polityki, uwzględniającéj interesa największych stronnictw, spójność tę utrwalić.

Po krótkich rządach ks. Windisch-Graetza, które na kartach historyi austryackiéj nie zaznaczyły się żadnym wybitnym czynem, i po kilkomiesięcznem *interregnum*, które wypełniła administracyjna czynność tymczasowego ministeryum hr. Kielmansegga, namiestnika Austryi Dolnéj, ujął téż ster rządów w „żelazną dłoń" swoją hr. Kazimierz Badeni.

Okoliczności, wśród których nowy gabinet powstał i rozpoczął rządy, dowodzą bardzo wymownie upadku konstytucyonalizmu austryackiego. Zmiana gabinetu odbyła się w czasie, kiedy parlament, skutkiem odroczenia posiedzeń, nie działał; było to niejako utwierdzeniem faktu, że parlament na ukształtowanie się rządu wpływu żadnego nie ma. Gdy na nowo rozpoczęły się obrady parlamentu, ministeryum całe w zupełnym składzie przedstawiło się zebranym posłom a żadnemu z nich nie przyszło na myśl zakwestyonować ważność nowego rządu. Był to znak niezawodny, że większość parlamentu z góry poddaje się „żelaznéj dłoni", widząc w niéj najpewniejszą gwarancyę przyszłości. Nie inaczéj téż pojął swoje stanowisko hr. Badeni. Programowa jego mowa, w któréj dźwięczała ciągle nuta niepospolitéj pewności siebie i iście młodzieńczéj energii, streszczała się w zdaniu, że nowy prezes ministrów chce prowadzić, a nie dać się prowadzić. Zdanie to okraszone dodatkiem, iż hr. Badeni uważa rządy swoje za wykonanie woli cesarza, który go do nich powołał, że więc uważa siebie za urzędnika, wykonywającego rozkaz najwyższy, w gruncie rzeczy nie było niczém inném, jak zapowiedzią polityki wolnéj ręki, polityki zupełnie niezależnéj i liczącéj się z partyami izby o tyle tylko, o ile zezwolenie ich koniecznem się okaże do przeprowadzenia pewnych celów nowego rządu. *La politique c'est moi*, z tą dewizą wystąpił prezes przed parlamentem—i o dziwo! ten sam parlament, którego przewódcy zgotowali upadek hr. Taafemu za to, że się ośmielił bez ich pozwolenia wnieść projekt rządowy reformy wyborczéj, na oświadczenie

nowego prezesa nietylko nie reagował, lecz przyjął ją jako zupełnie uzasadnioną i uprawnioną. Wolno tedy było hr. Badeniemu oświadczyć w parlamencie, że rząd ma zaufanie do ludów, wchodzących w skład Cislitawii, a szczególniéj nawet do czeskiego, i spodziewa się od nich poparcia, jednakże zastrzega sobie zupełną swobodę działania; wolno mu było nawet wyrazić się, że wypowiada tylko to, co do „zoryentowania" szanownych reprezentantów ludów, w skład państwa wchodzących, uważa za niezbędne: a nikt nie zaprotestował stanowczo przeciwko temu wystąpieniu, nikt z owych, którzy zdusili hr. Taafego za to, że ośmielił się lekceważyć autorytet parlamentu austryackiego. Znalazło się, prawda, kilku posłów, którzy w rozprawach nad mową prezesa rozwodzili się *per longum et latum* nad autokratyczną tendencyą hr. Badeniego i powoływali się na § 20 ustawy zasadniczéj, stanowiący o odpowiedzialności ministrów przed parlamentem; lecz wywody te miały czysto teoretyczne znaczenie i ani wpływowe partye izby, ani bezstronny obserwator, a już najmniéj prezes ministrów, brali ją na seryo. Parlament jako całość, parlament, składający się z przedstawicieli szlachty, duchowieństwa i utuczonego mieszczaństwa, parlament, którego jedynym celem w dzisiejszym stanie rzeczy jest obrona tego *status quo*, zagrożonego przez nowe, niebezpieczne ilością swoją żywioły, z największą gotowością poświęcił niezależność swoją, autorytet dawniéj tak pilnie strzeżony, za pewność żelaznéj energii i poparcia w walce z „żywiołami przewrotu", zaostrzającéj się z dnia na dzień coraz widoczniéj.

Najbliższą pobudką do téj zupełnéj rezygnacyi z dotychczasowéj przewagi, był ruch dziwny, na poły ekonomiczny, na poły religijny, idący od góry, a objawiający się z dołu; pozbawiony wszelkich podstaw teoretycznych, a trzymający się silnie gruntu praktycznego, słowem, ruch, który przywyknięto określać słowem: antysemityzm.

Dla zrozumienia tego ruchu w Austryi, to znaczy w Wiedniu, (gdyż w rzeczywistości tylko antysemityzm wiedeński zdołał sobie zdobyć znaczenie polityczne), nie wystarcza sama nazwa. Zwłaszcza tam, gdzie antysemityzm krzewi się na gruncie fanatyzmu religijnego, lub walki ekonomicznéj najniższych warstw drobnomieszczańskich z równie niską lub niższą jeszcze warstwą żydowskich handlarzy i rzemieślników, gdzie więc antysemityzm jest albo objawem przestarzałéj nietolerancyi religijnéj, albo poprostu walką współzawodniczących ze sobą o marny zarobek, kramarzy; mylnie zwykło się oceniać ruch antysemicki, wybujały w Wiedniu, gdzie złożyły

się nań o wiele możniejsze czynniki. Pomimo licznych odcieni, które się przejawiają w antysemityzmie wiedeńskim, wspólném i głównem źródłem jego jest kapitalistyczna gospodarka wielkiego kapitału, który w stolicy naddunajskiéj ma jedno z głównych siedlisk. Nie rasa, nie religia żydowska, stały się przedmiotem nienawiści klasy drobnomieszczańskiéj, lecz ciężka walka, którą ona stacza od lat kilku z wielkim kapitałem; walka, w któréj ostatni zwycięża i zwyciężać musi. Że w walce téj naprzeciwko masy drobnomieszczańskiéj stanęła klika kapitalistów żydowskich, to rzecz przypadku. I tylko dzięki szczególnym okolicznościom, ten drobny w rzeczy saméj przypadek wzrósł do takiego znaczenia, że walka z kapitałem przybrała formę walki z żydowstwem, w któréj czasem zaciera się nawet właściwa, pierwotna jéj barwa ekonomiczna. Jedną z tych okoliczności było poróżnienie się dr. Karola Luegera z partyą liberalną, któréj był szczerym wyznawcą i pionierem, i przerzucenie się jego w szeregi jéj najzaciętszych przeciwników.

Gdyby można było miéć wątpliwość co do demagogicznego charakteru antysemityzmu wiedeńskiego, to musiał by ją usunąć wzgląd na osobę dra Luegera. Człowiek niezmiernie rzutki i ambitny, adwokat z zawodu, uprawiający jednak bardziéj agitacyę polityczną, aniżeli prawoznawstwo, świetny mówca, umiejący porywać wymową swoją tłumy, przytém nieliczący się z niczém i bezwzględny w wyborze środków, prowadzących do celu, dr. Lueger czuł się w prawie i chciał odegrać w możnéj partyi liberałów wiedeńskich rolę przywódcy. Nepotyzm ówczesnych menerów, a było to przed laty kilkunastu, nie dopuścił młodego adepta do tak wybitnego stanowiska. Ambitne zachcenia Luegera spotkały się ze stanowczym oporem „starych" mężów zaufania lewicy liberalnéj, która, jako partya centralistyczna, a zarazem manczersterskim poglądom w ekonomii hołdująca, lekceważąco traktowała śmiałe zabiegi ubogiego i młodego adwokata bez klientów. Cicha ta walka trwała czas jakiś, dopóki dr. Lueger nie znalazł sojusznika w jednym z „wykluczonych" z lewicy agitatorów, z którym założył klub demokratyczny, oparty na zasadach sprzecznych z ekonomicznemi i społecznemi poglądami lewicy liberalnéj. Jako opozycyonista, odznaczył się dr. Lueger w kilku wystąpieniach swoich w radzie gminnéj przeciwko większości liberalnéj, a zwłaszcza przeciwko dawnemu swemu protektorowi, ówczesnemu burmistrzowi wiedeńskiemu d-rowi Felderowi, który zażywał wielkiéj w kołach ludności wiedeńskiéj, powagi. Śmiałość, bezwzględność, bystrość, z jaką dr. Lueger krytykował działalność liberałów, a bardziéj jeszcze niezwykła zaciekłość

i ślepa nienawiść, z jaką napadać na nich poczęły organa lewicy liberalnéj, zwróciły uwagę ogółu na młodego agitatora, który téż umiał skorzystać ze sposobnéj chwili i niebawem demokratyzm swój przystosował do zapatrywań drobnego mieszczaństwa, upadającego pod brzemieniem konkurencyi żydowskiéj.

Istniała wówczas w stolicy austryackiéj garstka szowinistów niemieckich, pragnąca oderwania się od Austryi prowincyi niemieckich i przyłączenia ich do rzeszy niemieckiéj. Na czele garstki téj stał poseł do parlamentu Schönerer, człowiek wielkiego talentu, lecz nie zdatny na agitatora. Program Schönerera nie znajdował zwolenników wśród ludności, któréj kwestye czysto-polityczne nie mogły poruszyć i Lueger, któremu do osiągnięcia celu brakowało właśnie programu politycznego, nie wahał się ani przez chwilę. Zawarłszy sojusz z Schönererem, utworzył nową partyę, partyę antysemicką, w któréj programie zjednoczyły się pangermańskie zakusy teoretyków szowinistycznych z posłami ekonomicznego wyzwolenia drobnomieszczaństwa wiedeńskiego z pod przewagi kapitalizmu, który, jak wspomniałem, reprezentowali żydowscy fabrykanci i przemysłowcy. Wszedłszy do parlamentu, jako reprezentant drobnomieszczańskiego żywiołu, rozpoczął właściwy zawód polityka i w krótkim czasie dobił się takiego znaczenia, że w klerykalnym obozie znalazł potężnego sprzymierzeńca w osobie księcia Liechtensteina, który do programu nowéj partyi wniósł czynnik nowy, bardzo (jak się okazało) skuteczny, czynnik religijny. Z chwilą połączenia się Luegera z Lichtensteinem, stanowisko pierwszego wzmogło się znacznie, a popularność jego wzrosła niepospolicie między drobnomieszczańską ludnością wiedeńską. Schönerer, skutkiem awantury ulicznéj, skazany na karę więzienia i utratę praw obywatelskich, zmuszony na przeciąg dłuższego czasu ustąpić z widowni politycznéj, tém samém oddać musiał przewództwo zupełne w ręce Luegera. Ten, zawarłszy sojusz z ks. Lichtensteinem, wyrzekł się natychmiast wszelkiéj łączności z antydynastycznemi tendencyami swego dawnego poplecznika i w ten sposób utorował sobie drogę także do niższych warstw urzędniczych, które dawniéj odstraszał pangermański program Schönerera. Z tą téż chwilą stał się dr. Lueger osobistością znaną, z którą liczyć się musiał rząd ówczesny, potęgą parlamentarną, która mogła okazać się groźną dla polityki hr. Taafego i którą trzeba było bądź co bądź pozyskać sobie. Nie tajną już dzisiaj jest rzeczą, że ówczesny prezes ministrów, który, jak zapewnia pewien wybitny publicysta, „czternaście lat swoich rządów zawdzięczał swemu wybornemu, niezrównanemu humorowi,

swojéj dowcipnéj i dowcipami przeplatanéj polityce, a upadł dopiéro wtedy, gdy z utratą zdrowia znikła wesołość", sprytnie umiał pozyskać sobie niebezpiecznego opozycyonistę. Dzisiejszy wzrost antysemityzmu wiedeńskiego, dzisiejsze jego znaczenie polityczne, jest dziełem nietylko d-ra Luegera, ale bodaj także hr. Taafego. Chwilowa potrzeba utworzyła rządowi austryackiemu niezwalczoną przeszkodę w spokojném rządzeniu i wesoły pomysł hr. Taafego, aby za pomocą antysemitów trzymać w szachu liberałów, zrodził dzisiejszą niebezpieczną dla rządu sytuacyę parlamentarną.

Partya d-ra Luegera rosła z błyskawiczną szybkością. Wpływ ks. Lichtensteina zjednał jéj poparcie duchowieństwa, a obalenie rządów liberalnych w wiedeńskiéj radzie gminnéj było pierwszém walném zwycięstwem partyi nad starym porządkiem. Zatarg czysto lokalny wzrósł do znaczenia faktu politycznego, z którym liczył się naprawdę rząd; oddziałał on bowiem silnie na położenie parlamentarne, dając opozycyi broń do ręki. Skorzystali z tego niezwłocznie młodoczesi i złączywszy się z grupą antysemicką, rozpoczęli systematyczną walkę z rządem i popierającemi go partyami. Nie pomogła „koalicyjna" kombinacya gabinetu Windisch-Graetza. Upadł on w walce z opozycyą, nie zdoławszy pozyskać sobie partyi liberalnéj i nie zadowolniwszy innych. Doszło do tego, że nie podobna było znaleźć między mężami stanu w Austryi człowieka, któryby się ośmielił stanąć do walki z połączonemi partyami młodoczeską i antysemicką i musiano rządy na kilka miesięcy złożyć w ręce urzędnika hr. Kielmansegga, który powierzone sobie zadanie wypełniał jak każdą inną czynność w zakresie swego urzędowania.

W zamieszaniu tém zwrócono się wreszcie do tego, którego cesarz odznaczył najwyższém swojém zaufaniem i niemal pokornie proszono o ratowanie sytuacyi. Hr. Kazimierz Badeni wzrósł nagle w oczach całéj Austryi na olbrzyma, któremu przeznaczoném jest zdusić hydrę opozycyi w państwie wielojęzyczném, przywrócić upragniony „porządek".

Hr. Badeni zadanie swoje pojął nie inaczéj. Zgodziwszy się na utworzenie nowego gabinetu, wymówił sobie kilkomiesięczną zwłokę, celem „uporządkowania" stosunków w prowincyi, którą rządził jako namiestnik i która naturalnie najbliższą była jego „sercu". W Galicyi gotowały się wybory do sejmu. Hydra opozycyi zaczęła się i tu poruszać na nowo. W miejsce uśpionéj głowy tromtadrackiego „demokratyzmu", którego kilku przedstawicieli pozajmowało wyższe stanowiska, wzrosło głów kilka naraz, napawając przerażeniem rządzącą klikę Stańczyków. Potulny, ciemny i usy-

piany systematycznie przez „mądrą" ustawę szkolną i wpływy duchowne, lud wiejski, zaczął się „burzyć". Nie pomogły nic wypróbowane środki zaradcze; „ułaskawiony" przywódca chłopów, Potoczek, stracił popularność z chwilą, gdy „przystał do partyi porządku", niepoprawny agitator Stojałowski okazał się groźniejszym jako więzień, niżeli kiedy był na wolności; ugodowiec rusiński nagle począł kąsać rękę, która go żywiła. Partya p. Koźmiana poczęła głośno wołać o ratunek i błagać swego półboga, aby jéj nie opuszczał w chwili krytycznéj. I połbóg nie opuścił jéj, lecz wytrwał na stanowisku dopóty, dopóki nie przeprowadzono wyborów.

Porządek został uratowany, a wybory odbyły się, według zapewnień samego hr. Badeniego, zupełnie legalnie. Przedsiębrane w biały dzień aresztowania wybitniejszych osobistości z pośród niemiłéj Stańczykom opozycyi, zarządzane w dzień wyborów rewizye domowe i uwięzienie całego szeregu nieposłusznych wyborców wiejskich, nie miały z akcyą wyborczą najmniejszego związku. Postępowanie władz administracyjnych i skarbowych nie różniło się w niczém od zwykłego trybu, a jaskrawe przykłady nadużyć, przytaczane przez dzienniki krajowe i obce, były albo tworami wyobraźni, albo téż nie odskakiwały wcale od tła zwyczajnych „energicznych" zarządzeń odnośnych organów. Słowem, wszystko odbyło się legalnie i w granicach ustaw obowiązujących, a hr. Badeni ze spokojném sumieniem mógł się pożegnać z krajem i na odjeździe wygłosić mówkę na zgromadzeniu krakowskich wyborców z wielkiéj własności, w któréj napiętnował wszelkie „sprzeczne z istotnym stanem rzeczy" wiadomości, jako wierutny fałsz, a ich rozsiewanie, jako objaw złéj woli i zdradę kraju.

Załatwiwszy się z trudném zadaniem utrzymania w Galicyi porządku, strzeżonego przez stronnictwo Stańczykowskie, nie zapomniał hr. Badeni także o sobie. Były namiestnik Galicyi nie należy do ludzi, którzyby po za jutrem nie widzieli dalszéj przyszłości. W niéj zaś zjawiło się przed nim widmo upadku z wyżyn, na które go wyniosły szczególny zbieg okoliczności i zaufanie monarchy, upadku nieuniknionego, a będącego tylko kwestyą czasu. Widmo to oddalić, lub przynajmniéj uczynić mniéj straszném, musiało leżéć w planie hr. Badeni'ego, który wiedział dobrze, że wyjeżdżając z Galicyi, opuszcza stanowisko mniéj może wybitne od tego, które zająć miał w Wiedniu, ale niemniéj ważne, a kto wié, czy nie bardziéj wpływowe i wygodne. Bądź co bądź, zamieniał udzielny prawie urząd namiestnika na niepewną, od woli stronnictw, a czasem jednostek, zależną pozycyę prezydenta ministrów, który chce, czy nie

chce, czy się przeciw temu zastrzega, czy nie, musi liczyć się z wolą owych stronnictw, a czasem jednostek i podlegać krytyce, do jakiéj nie ośmieliłby się nikt w kraju, poddanym jego namiestniczym rządom. W kraju zaś tym pozostawiał obok grupy bezwględnych swoich wielbicieli, grupę śmiertelnych wrogów, nie wśród ludności, bo z téj nigdy nic sobie nie robił, lecz wśród sfer rządzących krajem, z których się mógł wyłonić następca dla niego niebezpieczny i spalić wszystkie mosty za dawnym namiestnikiem.

Współzawodnictwo o władzę nad Galicyą i o decydujący wpływ na rządy w Austryi, nie od dzisiaj się toczy pomiędzy dwoma stronnictwami rządzącemi w Galicyi. Z jednéj strony hr. Kazimierz Badeni z popierającemi go radami Sanguszków, Wodzickich, Dzieduszyckich i Tarnowskich, mający rzecznika w osobie najwybitniejszego polityka polskiego, Stanisława Koźmiana, z drugiéj, „familia" Potockich, któréj „klientem" jest znany w dziejach Galicyi, niegdyś jéj namiestnik, obecnie głowa jéj reprezentacyi w parlamencie, Filip Zaleski, licząca śmiało na bezwzględne poparcie grupy „szlachciców podolskich" z hr. Pinińskim, Borkowskim, pp. Kozłowskim i Abrahamowiczem na czele i jakkolwiek chwilowo wysadzona z siodła, jednakże można i potężna. Obok „familii" luzem idący i uprawiający politykę na własną rękę „czerwony książe" Adam Sapieha, uganiający się za popularnością „kanalii mieszczańskiéj" i umiejący wyzyskiwać każdy jéj objaw na swoją korzyść.

Dopóki wodze rządowe spoczywały w rękach hr. Badeniego, „familii" bać się nie potrzebował, bo jéj zasługom w obec monarchii, habsburskiéj, mógł śmiało przeciwstawić zaufanie i łaskę cesarza. Z chwilą jednak, gdyby wypuścił je z rąk swoich, utraciłby władzę na zawsze, gdyż niewątpliwie przeszłaby ona w ręce potomka byłego szefa gabinetu austryackiego hr. Alfreda Potockiego, a dostawszy się raz familii, nie wróciłaby nigdy do jéj przeciwnika.

Sytuacyę tę, zresztą zupełnie jasną dla każdego, kto zna stosunki galicyjskie, umiał ocenić hr. Badeni, to téż w zamian za „ciężką ofiarę", jaką czynił dla dobra państwa, przyjmując godność prezydenta ministrów i misyę przywrócenia zaburzonego porządku w stolicy austryackiéj, otrzymał gratyfikacyę w postaci dwóch nominacyi na urząd namiestnika w Galicyi, księcia Eustachego Sanguszki a hr. Stanisława Badeniego na marszałka kraju. W dwóch tych osobistościach posiadł hr. Kazimierz Badeni gwarancyę, że obejmując rządy państwa, nietylko nie traci władzy w Galicyi, lecz ją sobie utrwala i upewnia na długie lata.

Załatwiwszy się tedy ku zupełnemu swemu zadowoleniu z spra-

wami „domowemi“, mógł z podniesioną głową i radosném sercem zabrać się do dzieła, poruczonego jego wykonaniu przez łaskę cesarską i twardą konieczność państwową. Radość ta, weselę i humor stanowić miały główną rękojmię powodzenia, „zgubiony ten, ktoby w Austryi smucił się i martwił za każdym ważniejszym wypadkiem lub trudnością; nie ma nerwów, któreby to wytrzymać mogły, a w końcu byłby to niepotrzebny wydatek żółci i goryczy“. Tak nauczał mistrz hr. Badeniego w sztuce politykowania, téj téż nauki trzymał się nowy prezes ministrów, wstępując w szranki zapasów politycznych na arenie wiedeńskiéj.

Już sam skład gabinetu, który sobie dobrał hr. Badeni, wskazuje, że humor był mu przewodnikiem w ciemności. O bardziéj dobrany, albo raczéj o bardziéj odpowiedni skład, rzeczywiście trudno. Przekazawszy sobie najważniejszy pod względem politycznego znaczenia dział tak zwanych „spraw wewnętrznych“, poruczył tekę ministra skarbu zaufanemu swojemu powiernikowi, d-rowi Bilińskiemu, byłemu profesorowi wszechnicy lwowskiéj, na któréj wykładał ekonomię polityczną, a więc uzdolnionemu do sprawowania obowiązków ministra finansów. Dr. Biliński karyerę swoją polityczną przebiegł dość prędko. Wybrany po raz pierwszy w roku 1883 na posła do parlamentu, pracował w komisyach, a o ile występował na zewnątrz, ujawniał tendencye konserwatywne, niekiedy nawet reakcyjne, jak np., gdy przyczynił się do odrzucenia projektu ustawy o ochronie robotników, wypracowanego w duchu wymagań nowożytnych przez hr. Belcredi'ego. W roku 1892 został mianowany szefem sekcyjnym w ministeryum handlu i dyrektorem generalnym kolei skarbowych, na którém to stanowisku zajaśniał pełnym blaskiem, jako zręczny finansista, umiejący z pod ziemi niemal dobywać dochody. W gabinecie hr. Badeniego stanowi téż siłę najwybitniejszą, w obec któréj blednie nawet p. Gautsch, znany akrobata polityczny za czasów, gdy w gabinecie hr. Taafego pełnił urząd ministra wyznań i oświecenia i uchodził w parlamencie za prawdziwą ozdobę ławy ministrów, dzięki swéj niepospolitéj urodzie. Hr. Badeni powierzył mu naturalnie tę samą tekę, którą ongi dzierżył za hr. Taafego, a robiąc go ministrem wyznań i oświaty, dawał gwarancyę konserwatywnéj większości parlamentu, iż, broń Boże, na uświęcone tradycyą przywileje ultramontanizmu targnąć się nie zamyśla. Dla zrównoważenia wpływów, oddał natomiast hr. Badeni tekę ministra sprawiedliwości hr. Gleispachowi, byłemu prokuratorowi, a ostatnio przewodniczącemu sądu wyższego w Grazu, który w dziedzinie polityki i dyplomacyi, wprawdzie niczém się jesz-

cze nie odznaczył, podobno jednak zalicza się otwarcie do zwolenników frakcyi liberalnéj w izbie panów, a w mowie swojéj programowéj oświadczył gotowość „zeuropeizowania“ sądownictwa austryackiego. Ministeryum handlu dostało się w ręce zdolnego zawodowca p. Glanz-Eicha, który w rozprawach nad układami handlowemi i w konferencyach cłowych, brał udział żywy i wybitny, politycznych jednak tendencyj nie ujawnił. Rolnictwem zajął się hr. Ledebur, który w pierwszém swojém wystąpieniu zapewnił strwożoną własność większą, iż interesów jéj strzedz będzie jak swego oka; obroną krajową kierować będzie nadal *das Ministerial-inventarstück*, jak nazywają w Wiedniu hr. Welsersheima, który dla zupełnéj swojéj bezbarwności, znajduje umieszczenie w każdym gabinecie.

Przybrawszy sobie tedy do boku grono ludzi, składające się z fachowców, z których żaden z przewodniczącym swoim nie może się mierzyć, jako indywidualność, hr. Badeni upewnił się dostatecznie, iż nie spłata mu nikt takiego figla, jakiego się wobec hr. Taafego dopuścił ongi ówczesny minister skarbu, dr. Steinbach, nakłaniając „genialnego humorystę“ do wniesienia projektu reformy wyborczéj bez porozumienia się z przewódcami stronnictw parlamentarnych. Zabezpieczywszy się w ten sposób na wewnątrz, nie zaniechał hr. Badeni wszelkich środków ostrożności na zewnątrz. Młodoczechów udobruchał przynajmniéj chwilowo, znosząc stan oblężenia, zawieszony nad stolicą Czech jeszcze przez hr. Taafego i wydając ogólną amnestyę dla członków „Omladiny“, którzy pokutowali w więzieniu za swoje wybryki antydynastyczne. Lewicę liberalną pozyskał sobie zapowiedzią energicznego zwalczania antysemitów; konserwatywnemu klubowi Hohenwarta rzucił w darze oświadczenie o potrzebie religijnego wychowania młodzieży; rodaków zaś swoich w Kole polskiém ujmować sobie nie miał potrzeby, licząc na zupełną ich dla siebie przychylność, w czém się oczywiście nie pomylił wcale, wiedział bowiem dobrze, że przedstawiciele Galicyi w parlamencie nigdy by się nie odważyli powiedzieć „nie pozwalam!", wtedy, gdy rząd mówi „ja każę!" Mając w ten sposób zapewnioną większość, nie zapomniał hr. Badeni i o tych warstwach, których głos w niedalekiéj przyszłości może się stać decydującym dla obrotu spraw parlamentarnych, pomimo, że dzisiaj nie mają reprezentantów oficyalnych w obrębie izby poselskiéj, a wiedząc, że pierwszym warunkiem zyskania sobie ich pobłażliwości (przynajmniéj), jest wniesienie projektu reformy wyborczéj; spełnienie tych żądań ludu postawił na czele swego programu.

Przygotowawszy sobie grunt—rozpoczął hr. Badeni działalność od spełnienia nadziei, przywiązanych do jego osoby przez zwolenników „porządku", t.j. zwrócił się przedewszystkiém przeciwko tym żywiołom, których istnienie i krzykliwość pośrednio wyniosły go na najwyższe w państwie stanowisko. Krok ten był nietylko dobrze obmyślany, ale i konieczny. Chcąc przekonać ogół, iż istotnie jest powołanym do obrony „porządku" w państwie i jego stolicy, musiał hr. Badeni z natury rzeczy wystąpić przeciwko tym żywiołom, które najkrzykliwiéj zapowiadały zburzenie tego porządku, a sposób w jaki to uczynił wskazuje, iż naturę tego pseudopolitycznego i pseudoekonomicznego ruchu, który żywioły owe zainicyowały — zrozumiał. Uderzając zaś z całą siłą nie na partyę, jako taką, ale na jéj przywódzcę, odmawiając dr. Luegerowi zdolności do piastowania urzędu burmistrza stolicy austryackiéj — nie dla jego przekonań, lecz dla jego demagogicznego zachowania się i usposobienia, z którego się dał poznać w ciągu swoich wieloletnich, strzelistemi efektami ogłuszających wystąpień w parlamencie, trafiał przeciwnika w stronę najczulszą, pozbawiał antysemicki ruch najdzielniejszej sprężyny, jaką byłoby dla niego hasło prześladowania za przekonania, a zarazem osłabiał wpływ dr. Luegera na umiarkowańsze żywioły pomiędzy jego zwolennikami, którzy sprawy osobistej nie łączą ze sprawami publicznemi.

Rozpocząwszy zaś raz walkę na seryo, nie mógł się hr. Badeni cofnąć w pół drogi i przyznać, że się uląkł konsekwencyi swego czynu. Skoro większość antysemicka wiedeńskiej rady gminnéj, zaprotestowała przeciwko nie zatwierdzenia d-ra Luegera na urzędzie, pomimo, iż odmowę zatwierdzenia podpisał sam cesarz austryacki i ponownie d-ra Luegera wybrała burmistrzem; hr. Badeni podjął rzuconą sobie rękawicę i z całą niezawodnie świadomością, jakie to skutki sprowadzi za sobą w parlamencie, rozwiązał radę gminną, zawiesił autonomiczny zarząd gminy wiedeńskiej i z ramienia swego do zawiadywania administracyjnemi sprawami stolicy, wyznaczył urzędnika starostę dr. Friebeisa.

Skutki długo na siebie czekać nie dały. Posiedzeń tak burzliwych, jak te, które się odbyły po rozwiązaniu rady — w izbie posłów — nie pamięta parlament austryacki Posłowie antysemiccy nie oszczędzili hr. Badeniemu ani jednej pigułki, a wyczerpawszy wszystkie zarzuty rzeczowe — chwycili się środków, przed któremi nie ostałby się żaden z gabinetów poprzednich. Począwszy od zuchwałego oświadczenia samego d-ra Luegera, iż przerasta on wszystkich swoich kolegów w parlamencie o głowę, a prezydenta

ministrów co najmniej o dwie i karczemnego wystąpienia jednego z zaufanych jego adjutantów, który w pełnej izbie cisnął hr. Badenie'mu w oczy zarzut „podłego i nikczemnego tchórzostwa"; — aż do niebywałych demonstracyi, inscenizowanych na galeryach przez publiczność, rekrutującą się ze zwolenników d-ra Luegera; nie brakło ani jednego momentu, któryby rozprawom w izbie mógł nadać charakter i ton burdy karczemnéj i pobyt w sali posiedzeń uczynić niemożliwym dla każdego szanującego się przeciwnika.

Lecz hr. Badeni przekonał wszystkich, iż prócz „żelaznej ręki", której kleszczowe uściski poznać już miano sposobność w Galicyi — posiada także dobrze opancerzoną drażliwość, której pociski, najcięższego nawet kalibru nie zranią. Gdy tumult w izbie poselskiéj i na galeryach doszedł do najwyższej miary — prezydent ministrów wyszedł z sali obrad, poczem przewodniczący zawiesił rozprawy, polecając równocześnie pachołkom usunięcie demonstrantów i opróżnienie galeryi. Po półgodzinnej przerwie podjęto na powrót obrady i hr. Badeni z uśmiechem na twarzy przysłuchiwał się dalej spokojnie toczącej się dyskusyi.

Ten spokój i ta pewność siebie, jaką w owéj decydującéj chwili okazał nowy prezez ministrów — wprawiła w zdumienie antysemitów i ich sojuszników parlamentarnych. Pokazało się, że niedoświadczony mąż stanu, posiada tyle zimnej krwi, że wprawić ją we wrzenie byłoby zadaniem trudném nawet dla zwolenników d-ra Luegera; a nie ulegało wątpliwości, iż hr. Badeni postara się o to, aby na przyszłość zapobiedz możliwości powtórzenia się tak hałaśliwéj manifestacyi.

I nie zawiedziono się w rachubach. Sesyę odroczono na cały tydzień, a tymczasem uchwalono regulamin, obostrzający znacznie warunki wstępu na galerye parlamentarne dla publiczności, nie mającéj pomiędzy posłami bliższych znajomych lub krewnych. Nienamyślając się długo, zamknął hr. Badeni publiczności drzwi przed nosem, jakgdyby parlament był jego prywatném mieszkaniem; tém samém zaś pozbawił przeciwników swoich najważniejszego środka agitacyjnego, jaki dla nich przedstawiały mowy namiętne, wypowiadane w obec licznego audytoryum, na które słowa posłów antysemickich słyszane w obliczu i przytomności przedstawicieli swych— wywierały ogromny urok.

Zabezpieczywszy się w ten sposób przeciwko najbliższym konsekwencyom swoich stanowczych zarządzeń — musiał zapewne hr. Badeni zastanowić się głęboko nad konsekwencyami dalszemi. Syutacya wewnętrza w Cislitawii jest obecnie wyjątkowo trudna dla

każdego rządu. Z jednéj strony możne interesa sfery feudalnej i kleru, zajmującego wybitne stanowisko we wszystkich dziedzinach życia politycznego w Austryi; — z drugiej coraz natarczywiéj stawiane żądania warstw ludowych, zwłaszcza zaś robotniczych w miastach wielkich i w stolicy państwa, którym uledz musiały już dwa rządy poprzednie, niezdolne salwować się w zamieszaniu, wywołaném sprzecznością powyższych dwóch prądów; — stawiają gabinet hr. Badenie'go w położeniu, z którego wyjście połączone jest z wielu trudnościami, a nawet z wielkiém niebezpieczeństwem dla samego rządu. Położenie to wymaga stanowczéj decyzyi, po czyjéj stronie zamierza stanąć rząd, aby utrzymać się na stanowisku niezależném, które zaznaczył hr. Badeni w swéj mowie programowéj, przy objęciu steru rządów wygłoszonéj. Zduszenie ruchu antysemickiego może być dla energicznego prezydenta ministrów rzeczywiście tylko kwestyą czasu i kto wié — czy nie nastąpi prędzéj, niźli przypuszczać można; zwłaszcza, że ruch ten w Wiedniu wzrost swój zawdzięcza prawie wyłącznie osobistej popularności, jaką się cieszy u ludności wiedeńskiéj dr. Lueger. Kwestya tylko, czy obecny prezes zdaje sobie jasno sprawę z następstw, które pociągnie za sobą zduszenie politycznego ruchu wntysemitów wiedeńskich. Odbiérając ruchowi temu cechę polityczną, którą mu nadał dr. Lueger, — zepchnie hr. Badeni partyę antysemicką ze stanowiska *einer regierungsfähigen Partei* na poziom partyi, któréj racya bytu jest w opozycyi. W skutek tego zmuszona będzie partya antysemicka zająć stanowisko wahadłowe między partyami rządzącemi, a warstwą robotniczą i na korzyść téj tracić te żywioły, które ucisk kapitału żydowskiego odczuły bezpośrednio na swojéj skórze i przeciwko temu uciskowi podniosły protest. Z chwilą zaś wcielenia się tych żywiołów do warstwy robotniczéj, — protest ten utracić musi swoje zabarwienie antysemickie i wówczas antysemityzm, o ile opiéra się na żądaniach ekonomicznych, spłynie do szerokiego łożyska socyalizmu. Skoro zaś hr. Badeni, zmuszony warunkami rządzenia i wolą ludności, spełni dane publicznie przyrzeczenie i przeprowadzi reformę wyborczą — wtedy rada gminna stolicy austryackiéj oczyszczona zostanie z żywiołów krzykliwego wstecznictwa, a natomiast wejdzie do polityki państwa żywioł świeży, mniej hałaśliwy, ale stokroć groźniejszy dla rządu i obecnego — porządku

Dr. J. S.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Józef Tchórznicki. Pilne sprawy hygieniczne [1]. Z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, imienia d-ra Józefa Mianowskiego.—Warszawa 1896, str. 259.

Na str. 43 książeczki, któréj tytuł wyżéj podałem, czytamy:

„Zachodzi... pytanie, o ile możebném będzie, chociażby w dalekiéj przyszłości wprowadzić w życie ścisłą dezynfekcyę?

„Znając ustrój naszego, niezupełnie ucywilizowznego społeczeństwa, sądzę, że czas ten jest jeszcze bardzo daleki. Na tym gruncie spodziewać się można tylko bardzo powolnego postępu. Rzeczywiście, ponieważ nie możemy ostatecznie wszystkiego zrobić co potrzeba, musimy wyrzec się nadziei uniknięcia w zupełności epidemii i ochronienia całkowicie otoczenia od chorób zaraźliwych. Pamiętając, że zarazki wytwarzają się w wielu razach wśród warunków nam prawie nieznanych, że społeczeństwo musi egzystować, żyć, komunikować się, mieszkać w kilkopiętrowych kamienicach, że zarazki szerzą się przeważnie wśród warstw ludności biednéj, gdzie zachodzą nieprzezwyciężone przeszkody w izolacyi (*sic*!) a społeczeństwo inteligentne w połowie nie wierzy w zarazę i mikroby, musimy ograniczyć się do życzenia (*sic*), aby przenoszenie się choroby, z osoby na osobę, możliwie zmniejszyć, a zmuszonych do ota-

[1]) Dlaczego hygieniczne a nie higieniczne? Wszak piszemy fizyologia a nie fyzyologia choć w łacinie mamy *physiologia*.

czania chorego nauczyć, jak poniekąd tępić bakterye i osłabiać wroga, do zwalczenia którego broni pewnéj nie posiadamy. Gdyby społeczeństwo złożone było z samych higienistów, przejętych ważnością sprawy, być może, że o wiele łatwiéj dałyby się przeprowadzić reformy; dziś trzeba się zadawalniać małém i żądać nie zawiele".

To sceptyczne wyznanie wiary, godne poważnego badacza naukowego a zarazem bystrego spostrzegacza w zakresie życia codziennego, jakkolwiek wypowiedziane polszczyzną wadliwą zaleca nam autora książeczki jak najpochlebniéj.

Jeżeli gdzie to w higienie a w szczególności w usiłowaniach mających na celu rozprzestrzenienie wśród ogółu pewnych wymagań i pewnych środków higienicznych święcie pamiętać należy o prawdzie wypowiedzianéj przez jednego z niewielu trzeźwych higienistów niemieckich, iż *Uebertreibung ist der grösste Feind des Erreichbaren* (przesada w wymaganiach jest największym wrogiem owocnych usiłowań).

Pozwolę sobie przytoczyć tu jeszcze ustęp zamieszczony na str. 45 dziełka d-ra Tchórznickiego:

„...przepisy o dezinfekcyi wówczas tylko (czytaj dopiéro) odniosą pożądany skutek, gdy będą zastosowane uprzednio wszelkie elementarne wymagania higieny, których nikt z mieszkańców nie zachowuje. Mieszkania, ustępy, ścieki, rzeźnie są urządzone najfatalniéj. Woda w większości studzien zawiéra miliony zarazków. Pożywienie połowy ludności miejskiéj zaledwie ją broni od głodowéj śmierci a pożywienie prawie wszystkich włościan jest niedostateczne. Kąpieli, łaźni we wsiach wcale nie ma. Szkoły, świątynie, miejsca zebrań, teatry, wagony kolei żelaznych, więzienia, koszary mieszczą w sobie fatalny amalgamat zarazków i przypuszczać chyba wypadnie, że bakterye nawzajem się pożerają, skoro tak mało ludzi ztamtąd wychodzi zarażonych.

„Główną uwagę zwrócić więc trzeba na rozprzestrzenienie pojęć higienicznych, na zastosowanie tych pojęć w praktyce, do pracy téj wezwać całą inteligencyę, a w pierwszym rzędzie duchowieństwo wszelkich wyznań, wywierające wpływ na lud...;

I w powyższych zdaniach autor daje wyraz trzeźwéj obserwacyi i krytycznemu sądowi o tém, co robić trzeba i co zrobić można.

Dobitniéj ale niedość ściśle znajdujemy to wyrażone na str. 165, gdzie autor maluje obraz walki—walki niemal bezskutecznéj—z zarazą dyfteryczną;

„...są trzy dźwignie zdrowotności: oświata, dobrobyt materyalny i czystość.

„Pracować w tych trzech kierunkach potrzeba, by nasze rady higieniczne odniosły pożądany skutek, a gdy pojęcia higieniczne staną się już własnością ogółu, wtedy epidemie przestaną być tak straszne i tak zabijające (czytaj: zabójcze). Pomoc lekarska wśród masy biednéj, np. wśród ubogiego żydowstwa w małych miasteczkach, jest w najwyższym stopniu utrudnioną; giną nieszczęśliwi tysiącami a kogo epidemia oszczędzi, trafem ocalał. Tak jest: zamykać oczy na złe widoczne nie powinniśmy; czas wywiesić sztandar śmiało i wypowiedziéć wojnę wszystkiemu, co się nazywa nieczystością, niechlujstwem i brudem. Usiłowania podjęte w celach higienicznych są usiłowaniami społeczno-humanitarnemi i z tego powodu zasługują na poparcie i na pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi kwestyami."

Entuzyazm najzupełniéj usprawiedliwiony doniosłością i szlachetnością sprawy, któréj broni, unosi autora. Obiektywnie kreśli on obecny stan rzeczy u nas i daje rzetelny obraz naszych stosunków zdrowotnych. Słusznie wskazuje drogi doprowadzić jedynie mogące do poprawy: oświatę, dobrobyt materyalny i czystość, oto zdaniem jego właściwe dźwignie téj poprawy. Ale autor nie potrafi być równie trzeźwym w stosowaniu doraźnem środków i wzywa do walki, zapominając, że początkowanie w sprawach higieny publicznéj—boć o nią we wszystkich rozdziałach autorowi chodzi — jest i musi być wyłącznie udziałem władzy rządowéj. A i w zakresie higieny prywatnéj, w zakresie najciaśniejszym przepisów o pielęgnowaniu własnego ciała, propaganda książeczkowa i gazeciarska nie wiele podoła, i tu niemal wyłącznie szkoła i system nauki szkolnéj wyniki jakieś daje.

Higiena jest nauką o zachowaniu zdrowia i zdolności do pracy. Wobec tego, najwłaściwszego z pomiędzy wielu określeń, każda sprawa higieniczna jest sprawą pilną. Do mylnych wniosków może przeto doprowadzić tytuł dany przez autora jego książce. Słuszniéj byłoby dać jéj napis „trudne" sprawy higieniczne.

Istotnie autor przemawia do szerokich warstw publiczności o najtrudniejszych i nie tylko u nas za najtrudniejsze uznanych zagadnieniach z zakresu higieny publicznéj albo raczéj państwowéj.

Jeden zaledwie rozdział poświęcony jest kwestyi leżącéj w zakresie *des Erreichbaren*, mianowicie rozdział o „letnich mieszkaniach w dworach obywatelskich". Autor wytyka braki wynajmowanych mieszkań letnich i radzi szukać mieszkańcom miasta gościny w dworach obywatelskich, na warunkach układu tak zwanego *en pension*. Mnie argumenta autora nie przekonywają, a doświadczenie każe się za-

patrywać bardzo sceptycznie na zalecone przez dr. T. urządzenie, zresztą bardzo rozpowszechnione.

Szczegółowy rozbiór dziełka dr. T. jest niemożliwy, wobec nazbyt licznych kwestyi natury technicznéj, ekonomicznéj, etycznéj i lekarskiéj, jakie w niém autor porusza: jest to zbiór 14 rozprawek mniéj lub więcéj popularnych, drukowanych już dawniéj w „Zdrowiu" i w „Kraju."

(X. X.)

Piotr Chmielowski. „Zarys najnowszéj literatury polskiéj" (1864—1894), wydanie trzecie, przejrzane i znacznie powiększone. Warszawa, Spókła nakładowa, 1895, str. 484. „Nasi powieściopisarze, zarysy literackie", serya druga, Warszawa, nakład Gethnera i Wolffa, 1895, str. 489. „Współcześni poeci polscy", Petersburg, nakład Grendyszyńskiego, 1895, str. 494.

W stosunku do poprzedniego, drugiego z rzędu wydania z r. 1886, tegoroczna edycya Zarysu jest znacnie powiększona, przedmiot więc doprowadzony aż do najświeższéj doby rozwoju naszego piśmiennictwa. Organiczny podział pierwotnéj treści pracy, na zasadniczą (przekonania i dążności) i faktyczną (osoby i dzieła), nie mógł być usunięty bez zatarcia genezyjnych znamion dzieła, które, okrom ogólnie przyjętego, posiada jeszcze specyalne znaczenie historyczne. Zarys, jak to sam autor już dawniéj poświadczył, powstał w chwilach doniosłego sporu o hasła społeczne i filozoficzne, którym pokolenie przed piętnastu laty „młode" hołdowało w niejakiém przeciwieństwie do teoryi i dogmatów poprzedniéj generacyi, dziś już schodzącéj z widowni. W książce spór ten zaznaczył się bardzo wyraźnie, posiadał wszystkie cechy żywotności bieżącéj; cennego tego współczesnego świadectwa usuwać lub modyfikować gruntowniéj nie godziło się bynajmniéj. Swoją drogą, autor pokilkakroć w nowéj edycyi Zarysu usiłował odgadnąć doniozłość zwrotu, jaki się niedawno w publicystyce zaznaczył pod postacią reakcyi przeciwko pozytywizmowi i pozytywistom. Charakterystyce najświeższego tego kierunku — o ile on sam siebie zdefiniować podziśdzień zdołał, dr. Chmielowski poświęcił nawet więcéj miejsca, niż rzekomy ów „neo-romantyzm" zdobyć sobie potrafił w dziełach i pracach poważniejszych. Oprócz tego, z uzupełnień, znacznie przerastających wydanie drugie, część tylko pewna powstała z wymagań przyrostu chronologicznego, reszta jest natury wewnętrznéj. Niektóre działy, jak np. nauk ścisłych, przyrodniczych, prawno-politycznych, literatury ludowéj etc. uległy gruntownemu przerobieniu na podstawie bądź opracowań świeższych, bądź notat udzielonych autorowi przez zawodowców. Stanowisko swe w obec możliwych postępów i zdobyczy dok-

tryn anty-pozytywnych, dr. Chmielowski jasno zaznaczył w tych słowach przedmowy: „Pomimo zaakcetowania uczucia i podmiotowości, zwrot dzisiejszy wchłonąć w siebie musi to wszystko, co w realizmie i pozytywizmie jest wiecznotrwałym nabytkiem umysłowości ludzkiéj, to jest cześć dla prawdy, zbadanéj przedmiotowo, świadomość granicy pomiędzy czysto subiektywnemi wzruszeniami czy złudzeniami, a obiektywnie stwierdzoną rzeczywistością, wreszcie zrozumienie potrzeby i doniosłości analizy, stosowanéj zarówno do zewnętrznych jak i do wewnętrznych objawów życia. Choćby podmiotowość przejawiła się w jak najjaskrawszych formach, jeszcze przecież poczuje wędzidło wiedzy opartéj na doświadczeniu, — jeszcze obejrzéć się musi po za siebie i liczyć się z wynikami nauki".

Drugi tom „Naszych powieściopisarzy" jest dalszym ciągiem studyów monograficzno-krytycznych, odnoszących się do tegoczesnéj naszéj powieści; tom pierwszy wyszedł w r. 1887. Obadwa razem nie wyczerpują jeszcze całości prac autora, przedmiotowi temu poświęconych, ogłaszanych częściowo i równocześnie — głównie w „Ateneum". Do tomu pierwszego weszli: Kraszewski (pierwsze dziesięciolecie), Czajkowski, Rzewuski, Kaczkowski, Zacharyasiewicz, Jeż, Sienkiewicz; do tomu drugiego: Korzeniowski, Sztyrmer, Sewer, Prus, Junosza, Czerneda (Bierzyński), oraz debiuty powieściopisarkie z r. 1885. Czytelnik „Ateneum" potrafi obliczyć w razie potrzeby lub słusznéj ciekawości, jaką może być zawartość pożądanego trzeciego z kolei tomu. Od siebie złożyliśmy życzenie, jak najprędszego oglądania szczególnie „debiutów powieściopisarskich" z lat poprzedzających rok 1885 i po nim następujących. Zbiorek taki, łącznie nawet z r. 1885, mógłby wyjść osobno. Wielkości ustalone — to wzór do naśladowania; nieustalone zaś lub chybione całkowicie, powinnyby znaleźć niejaką pociechę choć w tém, że o nich nie zapomniano zupełnie, że ich lekceważąco nie pominięto. Dla krytyków zresztą, drobna ta dziatwa powinnaby być najdroższą, bo najwięcéj kosztowała... Ocena Prusa np. lub Sewera opłaca się przynajmniéj jakąś rozkoszą estetyczną, doznaną przy czytaniu wtedy gdy z innymi...

Owym początkującym, „przedwcześnie zmarłym", „zmarnowanym", „mniéj szczęśliwym", lub „najmłodszym", Chmielowski nie żałował wszak miejsca we „Współczesnych poetach polskich"... I nie jeden gotów się przyznać, że gdyby mu samozwańczo wybiérać wypadło miejsce w téj pracy szanownego naszego krytyka, wolałby którekolwiek z ostatnich, niż pierwsze z pomiędzy pierwszych... Nic się nie mówi o kolumnie środkowéj. Bo i któżby z nas nie chciał być Kazimierzem Glińskim, Włodzimierzem Zagórkim, Czesławem Jankowskim,

Adamem M-skim, Wiktorem Gomulickim, Adamem Asnykiem, a wreszcie, w razie ostateczności, to nawet Maryą Konopnicką!... Najgoręcéj jednakże pragnęłoby się zostać Józefem Kościelskim, bez względu nawet na wszystko to, co krytyk — być może za surowo — powiedział o jego poezyach „z powodu rażących, niemal potwornych błędów pomysłu i formy”. Do najmłodszych zaliczeni zostali: Miriam (Zenon Przesmycki), „władający po mistrzowsku rymami, lecz czujący potrzebę niezwykłych, wyszukanych wyrażeń”;—Kazimierz Tetmajer „temperament namiętny, uczuciowość silna, fantazya lotna, język i wiersz podatny do wyrażania najróżnorodniejszych wzruszeń i ich odcieni”, nastrój jednak, najpiękniejszych, jak dotąd, utworów, przeważająco ponury, pesymistyczny;— Jan Kasprowicz, autor świeżo wydanego poematu „Miłość”, jeden z najzapaleńszych hołdowników świetnéj, oryginalnéj, do najdalszych granic wyrwisk posuniętéj formy, niezmordowany poszukiwacz archaizmów wszelkich, pod których osłoną pomysł — zazwyczaj głębszy — skręcaćby się mógł i wiercić jak duch zaklęty w kamyku drogocennym, lecz za ciasnym;—Stanisław Rossowski, poeta niezaprzeczenie poważnie i surowo zapatrujący się na swe zadania i obowiązki, dotąd wszakże jeszcze szukający dróg nowych, wyjść przestronniejszych. Artur Oppman (Or-ot), — śpiewny, łzawy, wzruszający, stylowo zasobny: — Andrzéj Niemojewski, natchniony tłumacz tęsknot, smutków i nadziei ludu wiejskiego, na którego sercu umiał już nieraz współczującą dłoń położyć; — Antoni Lange, autor wydanéj niedawno pierwszéj wiązanki utworów, odznaczający się wielką zabiegliwością i starannością o urozmaicenie treści, najczęściéj filozoficznéj i o odpowiedni dobór dla niéj ozdób stylowych; Szczęsna Cybulska, wyróżniająca się delikatném uczuciem i serdecznością myśli jasnéj a tkliwéj; Franciszek H. Nowicki, Konstanty Górski, Lucyan Rydel, Wacław Wolski, Wacław Raczyński, jedni mniéj ogółowi znani, drudzy głośniejsi. Wszyscy znaleźli w książce Chmielowskiego słowa uznania lub zachęty, a co niekiedy cenniejsze,—otwartéj, wcale nie pobłażającéj, przestrogi.

W zebraniu, zestawieniu i wyrównaniu, pojedyncze te monografie, tak w „Naszych powieściopisarzach”, jak i we „Współczesnych poetach polskich”, zyskują dużo przez to, że pozwalają objąć całość danéj wytwórczości umysłowéj i zauważyć zmiany, jakim ona uległa lub uledz może. Autor sam streścił główne przejścia tego ruchu, zastanawiając się nad istotném znaczeniem jego dążności. Ostatnie o tém słowo Chmielowskiego znajduje się w „Zarysie najnowszéj literatury polskiej”. Jest ono znaczącém. „Jeden szablon umysłowy dla wszystkich ukształconych (pisze) — to niewątpliwie zaguba oryginalności i zastój duchowy; więc téż przeciw rozwijaniu jakich-

kolwiek kierunków myśli, nic w zasadzie mieć nie można. Szkoda tylko, że najruchliwsi i najkrzykliwsi zawsze lubią umiłowany w danéj chwili kierunek za jedynie dobry i pradziwy uważać"... Tak było dawniéj z romantyzmem, tak następnie stało się z pozytywizmem, tak się obecnie dziać zaczyna z tymi, co „przejęci zapałem dla świata zjawisk tajemniczych, lub spragnieni uczucia religijnego, albo wreszcie z doktryny naprzód powziętéj, występują przeciwko nauce w ogóle, prawią o wielkiém bankructwie umysłowém wieku XIX, lub wyszydzają w czambuł dotychczasowe zdobycze wiedzy, nie umiejąc podać środków zaradzenia złemu"... Następstwa dorywczych takich napaści łatwe są do przewidzenia tam, gdzie nauka zaledwie drobną garstkę ludzi zajmuje i gdzie fantazya do współki z uczuciowością zawsze górowała nad chłodnym rozumem. Zdołamy na téj drodze jedynie zrazić i odstręczyć od pracy ścisłéj ów „tłum" napółukształconych ludzi, którzy się niczego dobrze nie nauczyli, nic nie zgłębili, nic naprawdę z dziedziny umy ·owéj gorąco nie ukochali". Bo i po cóż mają się oni uczyć, skoro według zwiastunów i przywódców nowego wstecznictwa „nauka jest marnością, ludzi nie uszczęśliwia, prawdy rzetelnéj nie daje". Jedni, wobec tego widoku, gotowi są „bezmyślnie używać życia, drudzy rzucą się w mistycyzm, największa część bawić się będzie medyumizmem... Czyliżby tego chcieli nieprzyjaciele nauki?" (str. 206). Łagodząc nieco w przedmowie horoskop ten zniechęcający, dotkliwy, najsumienniéj wysnuty z przesłanek nad wyraz ciemno i złowrogo zapadającego roku 1894, Chmielowski zapytuje w ostatku: czy można przypuścić, aby zwrot nowy upamiętnił się niepospolitemi jakiemi dziełami w naszéj literaturze? Nie przesądzając pod tym względem przyszłości, autor stwierdza tylko sam objaw „z obowiązku publicystycznego" i wyraża życzenie, ażeby dzieje reakcyjnego zwrotu ktoś z jego uczestników szczegółowiéj opisał, „jak ja — dodaje skromnie — starałem się zwrót pozytywistyczny w jego różnych przemianach odtworzyć". W zawezwaniu tém pozwalamy sobie dojrzéć źdźbło sarkazmu. Nie sposób przecie kreślić historyi tego, co naprawdę na świat jeszcze nie przyszło. Nowatorowie niech wpiérw zrobią cokolwiek, — pomówi się o ich robocie późniéj.

I. Rusticus.

Jerzy Żuławski. „Na strunach duszy," Kraków 1894, Poezye, garść pierwsza, 12-o str. 258.

Wytwornie wydany tomik, drukowany u W. L. Anczyca nakładem autora, nie zawodzi czytelnika, jak tyle innych „poezyi" wydanych w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Mamy tu do czynienia z pra-

wdziwym poetą, który nie szuka natchnienia w świecie zewnętrznym, tylko je znajduje w samym sobie (44), w swéj myśli (41), jakiéj „nie zgryzie, burza.” A jednak ten idealista nie zamyka się w sobie. Stojąc na szczycie, wprawdzie zazdrościł głazowi „że był sam i—czysty; chociaż słońce pił ciągle—sam był ciągle chłodny, choć poglądał na burze—był ciągle pogodny, i nie znał krzyków innych nad wichrów poświsty.” Ale niewinna ta zazdrość nie przeszkadza mu pojąć swych obowiązków względem braci: „mnie nie wolno dla siebie tylko żyć na świecie, chłonąć słońce i burzom przyglądać się zdala; blaski muszę oddawać, gromom echem wtórzyć; w sercu mojém wyrasta wraz z chwastami kwiecie, z piersi tryska raz czysta, raz znów mętna fala— i ludzi szukać muszę, ludziom pieśnią służyć” (46).

Skarży się że „orszak myśli, język, ręka i pióro,” nie zawsze zdoła „blask jéj zakląć w księgi,” „rytm się plącze, słów braknie i rym się nie składa” a myśl leci „nieścigła w jasne niebokręgi” (47). Czasowa ta niemoc prowadzi poetę do zwątpienia; porównywa on ludzkość z pociągiem pędzącym w tunelu i zapytuje, czy nie czeka jéj „po trudach, łzach wielu, rozbicie, głuchy grób, na połowie drogi?” Nie daje się jednak opanować takim dążeniom. W innym wierszu w usta uosobionéj poezyi kładzie zapewnienie: „przyjdą czasy, że miną dészcz i zawierucha, żadna chmurka nie weźmie słońcu ni promyka; lecz nim chwila nadejdzie, wiele walki jeszcze: dziś za światło i prawdę rycerzami—wieszcze!” Przedstawia nam Mojżesza ukaranego za chwilę słabości. „Na szczycie góry wielkiéj rzekł Pan do Mojżesza: oto ziemia przed tobą, którą ludu rzesza na dziedzictwo posiądzie. Lecz zaprawdę, noga twoja na niéj nie stanie! Jam przebaczył błędy ciemnych; lecz ty coś widział twarzą w twarz mnie, Boga, ty, któregom ja wspierał i zawsze i wszędy, iżeś zgrzeszył, nie wnijdziesz do ziemi wraz z ludem. Bo ci, którzy wodzami są z mego ramienia, wątpić nie śmią! Ma wola nigdy się nie zmienia; więc niech wierzą, że wesprę ich w potrzebie cudem!” (246). Modli się poeta o to, aby „żądza szczęścia” w nim została zabitą. Wesołe tańce robią nań wrażenie, jakby „śmiech człeka zgiętego pod setką katuszy, który, gdy mu zwątpienie źrenice wysuszy, bladą wargą „przed światem z rozpaczy się śmieje”. Również niekorzystne wrażenie nań robią huczne maskarady, w których biorą udział „ludzie zmęczeni, znużeni i pełni przesytu” (161), którym „rozpacz w mózgi się wwierca, lecz głuszą ją szałem —szał kupują złotem.” W prosektoryum „w prochu zhańbione i ciała i kości przestrach tylko wzbudzają i człowiek wspomina mimowoli o czarnéj i wiecznéj nicości...” Autor, rzadki pod tym względem wyjątek wśród poetów, wielbi matematykę: „ona wszechwładna—to nauk

królowa! Ziemię zmierzyła, na niebiosa sięga, a prawdę mówi, choć nie lubi słowa" (45).

Uznając potęgę rozumu, broni poeta praw wyobraźni, co „światy czarowne przed okiem rozświeca, świetlane lub mgliste, a coraz to nowe, a coraz to dziksze, więcéj fantastyczne, a takie urocze, od znanych odmienne..."

Pragnie wrażeń, „ile zmieści dusza", aby poznać „wszechogrom istnienia." Z politowaniem mówi o tych, którzy nigdy nie zaznali namiętności i „buntów nie znają choroby" (56). Sam przyznaje, że „nadto szybko żyje (168), ale pragnie „tylko mieć tyle chwil życia i siły, by nić wysnuć do końca, co się w duszy przędzie, wcielić w pieśni te myśli, co się tęskne śniły" (168). Rzadko i umiarkowanie odzywa się struna erotyczna; raz wprawdzie „w letargu" kobiéta mu „pocałunkiem ducha z piersi skradła", ale za to inną koleżankę ostrzega: „piękność cię zgubi: nadto krucha dziewiczéj niewinności zbroja...", „twoja stawka olbrzymia—z nich—cóż który stawi?"... „ty się śmiejesz z proroka, co ci zgubę wróży, śmiéj się zatém! zamilknę—ale łza mi płynie, boś ty kwiatku za słaby, by się ostać w burzy!"

Wszystkie te wiersze i wiele innych, których tu przytaczać niepodobna, okazują, że autor, młody student uniwersytetu w Bernie, ma głęboko zakorzenione współczucie dla bliźnich, zamiłowanie do wiedzy i świadomość swego powołania, które wróżą, że wzbogaci on naszą literaturę niepośledniemi „garściami" swych poezyi. Tymczasem musimy wytknąć pewne prowincyonalizmy i niepoprawności.

Na str. 192 czytamy:

„Co bo świat warta? (zamiast: jest wart) Jedna rzecz na świecie.

Wartość ma jeszcze: to twe usta, luba!

Gdzie indziéj czytamy: „wartało szturmować w gwiaździste rejony" (204); „wygryź gromem z powietrza staréj pleśni męty" (39); „twarz ma" jako rym do jarzma (56).

Autor nadużywa przymiotnika „bezczelny", stosując go do myśli (41), serca (147), zarzewi (150).

Są to usterki, których nie wypada zbyt surowo sądzić, szczególniéj gdy sam autor przesadza swą winę, wykrzykując: „myśli skaziłem niezdolnemi słowy" (52).

Liczne piękności rzeczywiste wielu wierszy zawartych w tym samym zbiorze upoważniają nas w zupełności do nadziei, że poeta przezwycięży trudności formy, z którémi walczy, i na polu poezyi filozoficznéj może się zaszczytnie odznaczyć.

Życzyć należy, aby też znalazł trwalsze filozoficzne podstawy dla osądzenia zagadek bytu, niż te, jakich mu dotąd dostarczał panteista, profesor filozofii w Bernie, pozbawiony pewności własnego istnienia. Wtedy nawet we śnie już nie przypuści, że „śmierć nas przemieni w marną garstkę błota" (159), i zyska dowody dla swej wiary, „że nie ostoi się na świecie zbrodnia" (248).

W. Lutosławski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Bischof Balduin Gallus von Kruszwica.** Polens erster lateinischer Chronist von Dr. *Max Gumplowicz.* Wien, 1895. (Sitzungsberichte der Kais. Akademie der Wissenschaften in Wien. Philosophisch histor. Classe. Band CXXXII). — Zdawałoby się, że po tylu pracach Polaków, jak i Niemców, sprawa pochodzenia Galla, pierwszego naszego kronikarza, może być uważana za wyczerpaną. Nietylko co do narodowości wypowiedzianém było tyle przypuszczeń, że uważano go to za Polaka, to za Niemca, za Włocha, lub za Francuza, tak, iż prawie już miejsca brakło na wysnucie jakiego innego domysłu. Ale i pod względem czasu powstania samėj kroniki rozliczne, różne i odmienne wystąpiły zdania. Jeszcze najmniéj było między uczonymi sporu co do nazwy autora. Był czas, że drogą zwyczaju na kruchéj bardzo podstawie mianowano go Marcinem Gallem, w obecnéj chwili w literaturze jest tylko Gallem zwany ten, co rozpoczyna u nas zaszczytny szereg dziejopisarzów. Tymczasem Dr. Max Gumplowicz uznał za możliwe wszcząć jeszcze raz tę sprawę, aby ją w innym kształcie podać na sąd krytyki historycznéj. Rozprawka o 36 stronach ukazała się po niemiecku w Protokółach posiedzeń Akademii Nauk wiedeńskiéj; przypuszczać należy, że w polskim przekładzie ta sama rzecz żywsze rozbudzi zainteresowane w kołach historyków i historyków literatury. Składa się ona ze wstępu czyli ogólnéj charakterystyki, za którą idzie rozdział o pochodzeniu autora, o miejscu, gdzie kronika zapisaną była, o czasie jéj powstania. Wreszcie autor traktuje o nazwisku kronikarza a kończy rzecz o biskupie krakowskim, który jako powinowaty i zio-

mek kronikarza, może swém życiem służyć za wzór i przykład, objaśniający drogi, po których kroczył sam kronikarz. Obszerny aparat naukowy, roztoczony w rozprawce, świadczy o gruntownych studyach podjętych dla rozwiązania ciekawego zadania. Poprzestańmy na zaznaczeniu najważniejszych zdobyczy. Że kronikarz nasz, był cudzoziemcem, co tak wyraźnie z jego kroniki występuje, że ta okoliczność żadnéj nie podlega wątpliwości. Sam bowiem tylekroć o tém wspomina, on, który — są słowa jego — nie chciał zjadać darmo polskiego chleba (ne frustra panem *polonicum manducarem.* Gallus. Chron. polon. C. III praef.) i w wielu innych miejscach. Dr. Gumplowicz nie odstępuje od ogólnie uznawanego zdania co do cudzoziemskiego pochodzenia Galla, ale stwierdza, że był Francuzem a właściwie Walończykiem. Nie mało pilnego dochodzenia poświęcił autor pytaniu, którém się tak rzadko uczeni zaprzątali co do miejsca, gdzie Gallus kronikę swą układał i tu w téj sprawie do ciekawego przychodzi wniosku, że to była Kruświca, stolica ówczesnego biskupstwa kujawskiego. Nie bez racyi podnosi kilka okoliczności, które w saméj kronice Gallusa na ten stosunek ciekawe światło rzucają. W związku z dziejami Skarbimira, który za Bolesława Krzywoustego taką wydatną odgrywa rolę, poruszona jest przez autora rzecz o klasztorze Benedyktynów, założonym w Lubinie przez mnichów francuskich z dyecezyi leodyjskiéj (Liège, Leodium). Tego opactwa opatem miał być — jak twierdzi autor — Gallus, który pełnił obowiązki nadwornego kapelana przy dworze Bolesława III. W tym charakterze dokonał téż swojéj pracy prawdopodobnie na schyłku 1113 roku. Kiedy po śmierci biskupa kruświckiego, Pawła, zawakowała w tymże 1113 r. godność pasterza naczelnego dyecezyi, mianowany został przez monarchę biskupem kruświckim niejaki Baldwin Gallus. Ten właśnie Baldwin Gallus — jest zdaniem autora — naszym zagadkowym kronikarzem, nie Marcinem ale Baldwinem Gallusem, nagrodzonym za pracę historyczną dostojeństwem biskupiem. Nie można całemu wywodowi odmówić śmiałości i bystrości. Prawdopodobieństwo w pewnym stopniu przemawia za zasadnością takiego podstawienia w miejsce biskupa Baldwina—kruświckiego Gallusa, znanéj nam osoby kronikarza, kapelana Bolesławowego, także Gallusa. W końcu swojéj ciekawéj, bądź co bądź, rozprawy autor dla wzmocnienia domysłu przytoczył jeszcze nazwisko współczesnego biskupa krakowskiego Baldwina. Sądzi on, że takie charakterystyczne imię powinno wskazywać ślady narodowościowe. Tak rzadko spotykane imię należy głównie do Flamandczyków. Zapewne dwaj ci duchowni—biskup krakowski i późniejszy kruświcki, byli ziomkami, co więcéj, nawet związkami krwi złączonemi Może to być stryj i synowiec, którzy

w osobistych widokach przybyli do Polski. I na takie przypuszczenie, kiedy chodzi o domysł, który ma zastąpić brak wszelkiéj wiadomości, zgodzić się można. Autor zamierza wrócić jeszcze w następnéj rozprawce do tego samego przedmiotu. Czekamy niecierpliwie. *A. P.*

= **Pogawędki piśmienne** zebrał *Hip... Starz...* Suwałki, drukarnia rządu gubernialnego. 1894, str. 170. Książka drukowana w Suwałkach, już samą tą okolicznością zwrócić na siebie uwagę powinna, jako rzadkość niemała. A i treść jéj nie jest do pogardzenia. Autor opowiada w przedmowie, że przed laty 20-tu drukował część jéj pierwszą w „Gazecie Polskiéj" p. n. „Umowa przedślubna", ale zrażony dotkliwą o niéj wzmianką w „Wieku", zaniechał dalszego ciągu i dopiéro teraz wraz z początkiem ogłasza drukiem. Przyznaje skromnie, że „prawd nowych, nikomu nieznanych, przez nikogo niewypowiedzianych" książka jego nie zawiera; lecz sądzi — i słusznie — że powtórzenie zdań rozumnych, nigdy nie zaszkodzi, a może się komuś przydać naprawdę. Zachęta do szczerości, do unikania zbytków, do zamknięcia wydatków w ramach dochodów, do podporządkowania celów egoistycznych ogólniejszym i szlachetnym, do utrzymania równowagi pomiędzy rozumem a uczuciem — będzie zawsze pożądaną i pożyteczną, dopóki konwencyonalne kłamstwa, życie nad stan, chęć popisu, samolubstwa, skłonność do krańcowości grasować będą w społeczeństwie. Autor słowami prostemi, idącemi z duszy, rozważnie obmyślanemi i poprawnie wypowiedzianemi, umié pozyskać dla siebie posłuch i przemówić do przekonania. W szeregu listów pisanych z początku przez narzeczonych, późniéj przez małżonków, rozwinął autor pewną ilość uwag trafnych, rozumnych, których wykonanie może sprowadzić spokój, zadowolenie wewnętrzne, szczęście względne. Zwraca się on do rodzin mających średnie dochody, zaledwie wystarczające na zaspokojenie potrzeb niezbędnych, a w perspektywie jedynie odległéj wskazuje sposób użytkowania z większego majątku dla dobra ogółu. Końcowe listy pisane są przez ojca do syna dorastającego i dają wskazówki co do zasady wyboru zawodu, zastrzegając, że nie widoki karyery, lecz chęć jaknajpożyteczniejszéj pracy dla społeczeństwa, powinna w tym względzie przewodniczyć młodzieńcowi. Ostatni wreszcie list pisze matka do przyjaciółki, obiecuje zająć się wydaniem za mąż córki, i mieści w sobie przestrogę, żeby sztucznemi sposobami nie ubiegać się o pozyskanie zięcia, lecz dbać o takie przygotowanie moralne i umysłowe córki, żeby ona mogła swobodnie i rozważnie wybór uczynić. Zacność myśli znamionuje książkę od początku do końca.

— *Wincenty Lutosławski.* **Co jest czas i skąd się bierze?** Warszawa. Sat. Sikorski. 1895, str. 23. — *Tenże.* **Ueber die Echtheit, Reichenfolge und logische Theorien von Platos drei ersten Tetralogien** (odbitka z „Archiv für Geschichte der Philosophie", t. IX, zesz. I, str. 67—114). Doskonałe opanowanie przedmiotu, a stąd jasność, swoboda i ścisłość wykładu, są cechą wszystkich prac filozoficznych p. Lutosławskiego, który odznaczając się olbrzymią erudycyą, z taką łatwością skarbami jéj włada, że zdaje się, jakoby one bez żadnego przyszły mu trudu. W rozprawce o czasie umiał na szczupłéj liczbie stronic wyłożyć przystępnie nawet dla średnio tylko ukształconego człowieka tak zawiłe zagadnienie, jak: „pochodzenie pojęcia czasu", „idealność czasu", „określenie czasu", a w końcowym rozdziale podał treściwą historyę pojęcia czasu. Nie mogąc tu streszczać już i tak streszczonych wywodów, podajemy tylko definicyę czasu przez p. L. sformułowaną: „Czas jest to pojęcie, określające subiektywny porządek wyobrażeń świadomego podmiotu, w stosunku do obecnéj rzeczywistości tego podmiotu", albo ogólniéj rzecz biorąc, czas jest to „idealny porządek zjawisk, wynikający z porównania subiektywnych rzędów wyobrażeń wielu świadomych podmiotów" (str. 16). Definicya ta może się wydawać dla czytelnika na razie zagadkową, ale kto bacznie śledził cały ciąg rozumowania, z którego ona ostatecznie wynikła, ten ją musi uznać za jasną i zupełnie wyczerpującą. — Rozprawa niemiecka p. L. jest streszczeniem rezultatów, do których doszedł autor w trzeciéj rozprawie „O logice Platona" po polsku napisanéj i złożonéj Akademii Umiejętności w Krakowie. Przechodzi tu kolejno 12 dyalogów Platona, dowodząc ich autentyczności, chronologicznego następstwa i wykazując teorye logiczne w nich zawarte. W ocenie autentyczności i chronologii, posługiwał się p. L. mało dotychczas uwzględnianém porównaniem zawartych w nich teoryi logicznych oraz właściwościami stylistycznemi. Że praca naszego ziomka ma wielką wartość naukową, o tém świadczy fakt, że takie pismo, jak „Archiv für Geschichte der Philosophie" nie zawahało się udzielić jéj obszernego na raz miejsca i że zapowiedziało potrzebę przekładu dzieła polskiego, kiedy ono ukończone zostanie. Należy również z uznaniem podnieść bezstronność redakcyi tego czasopisma, że lubo p. L. bardzo surowo ocenia działalność krytyki niemieckiéj, przenosząc nad nią dzieła Anglików, tegoż samego przedmiotu, t. j. Platona dotyczących, nie uważała za potrzebne i stosowne nawet słówkiem zaprotestować. Oczekujemy z niecierpliwością saméj rozprawy polskiéj, któréj artykuł niemiecki jest tylko zwięzłym referatem.

— *Sylweryusz Kondratowicz.* **Pierwsze kroki.**—*Tenże.* **Bez woli.** Warszawa. S. Lewental. 1895, str. 226, 312. Są to utwory złączone z sobą tożsamością głównych osób, jakie w nich są przedstawione. Autor nie należy do początkujących, lubo w książkowéj formie powieści po raz pierwszy się obecnie pojawiają. Pisze on poprawnie, gładko i potoczyście, uwagami osobistemi nie zatrzymuje rozwoju wypadków, charaktery szkicuje tylko, ale je dość konsekwentnie zazwyczaj w akcyi przedstawia. Powieści jego z powodu tych właściwości formalnych dają się tedy czytać, ale głębszego po sobie wrażenia nie zostawiają, gdyż nikłość zarysów, bladość kolorytu, powierzchowność w traktowaniu uczuć, i powszedniość osnowy sprawiają, że się o treści utworu bardzo łatwo i bardzo prędko zapomina. „Pierwsze kroki" są lepsze od dalszego swego ciągu. Przedstawiają krótkie dzieje młodziutkiego lekarza, Edmunda Dłuskiego, który nader rzadkim zbiegiem okoliczności zostaje w pierwszym zaraz roku po skończeniu medycyny, ordynatorem jakiegoś oddziału w szpitalu. Pierwsze sceny malujące myśli, uczucia, projekta garstki młodzieży po uzyskaniu dyplomu lekarskiego żegnającéj się ucztą koleżeńską, interesują dość żywo, a wprowadzenie dwuznacznéj, cynicznéj figury doktora Kudelskiego, stanowi pewien świeży pierwiastek w naszéj beletrystyce nowszéj, przedstawiającéj zwykle dodatnie tylko postacie lekarzy. Od chwili jednak, gdy autor zaznaczywszy trudności i nudy pierwszych miesięcy oczekiwania na praktykę, przerzuca się do kreślenia stanu serca Edmunda, jego miłości do Jani, przeszkód stawianych przez mamę i całego szeregu dalszych następstw, powieść staje się mdłą i pospolitą, ponieważ ani w przedstawieniu uczucia miłości, ani w opisie rozżalenia i zdenerwowania Edmunda, ani w historyi Jani i jej niedoszłego małżeństwa z wyrachowanym obywatelem ziemskim nie ma czynników choćby w jaknajmniejszéj mierze nowych. Wszystkie te rzeczy aż do pojedynku i szczęśliwego wyjścia z rany, były już do znudzenia w powieści naszéj obrabiane przez różne pióra, pomiędzy któremi znajdowały się i pierwszorzędne. P. Kondratowicz nie potrafił dopatrzyć w stosunkach przez siebie opowiedzianych nic znamiennego, coby z figurą Edmunda, jako lekarza, zostawało w bliższym związku, aniżeli z jakim Janem—inżynierem, lub Piotrem—agronomem. Nic tu nie ma również rażącego, nieprawdopodobnego; to też czyta się ta część powieści, jako setne powtórzenie rzeczy znanych a nawet oklepanych. Inne postaci doktorów z początku dość charakterystycznie zarysowane, w późniejszém rozwinięciu ledwie są wzmiankowane; a Adaś Oborski, który najczęściéj się pojawia, raczéj jako przyjaciel niż jako lekarz się za-

znacza. Doktór damski, Wilski, traktowany jest sylwetkowo, i głównie chyba dlatego tu wprowadzony, ażeby mógł w końcu powieści zostać mężem zdenerwowanéj damy, Ireny, która napróżno próbowała siły wdzięków swoich na Edmundzie. Inne postaci, nie-lekarskie, bardzo szablonowo się przedstawiają: i poczciwy radca Towarzystwa kredytowego, zahukany przez ambitną magnifikę, i inny szlachcic, łowiec posagowy, i wreszcie bohaterka Jania, jako dziewczątko rezolutna, jako panna—zupełnie bezbarwna, pospolita. W dalszym ciągu „Pierwszych kroków", w powieści „Bez woli" kreśli autor dosyć szczegółowo pierwsze miesiące pożycia Dłuskich, zawiązanie stosunków towarzyskich za radą a raczéj rozkazem teściowéj, komeraże salonowe i t. p., dążąc do kulminacyjnego punktu opowiadania, t. j. do chwili, kiedy Jania Dłuska, nie kochając d-ra Morzyckiego, wpada „bez woli" w jego objęcia, sama nie zdając sobie sprawy, dlaczego się tak stało. W przedstawieniu p. Kondratowicza ta zagadka psychologiczna nie znajduje również rozwiązania i sprawia wrażenie nieprawdopodobnéj niespodzianki, użytéj przez autora dla dodania ostrzejszego smaku swemu utworowi. Istotnie napróżnobyśmy kombinowali wszystkie okoliczności zewnętrzne i wszystkie pobudki wewnętrzne przytoczone przez autora; żadna bowiem kombinacya w warunkach tu przedstawionych nie da zadawalniającego rezultatu. Pozostaje oczywiście tylko pojęcie „newrozy", która sama niewytłómaczona ma tłómaczyć wszystko. Zakończenie jest efektowne i ma na celu morał, ideę sprawiedliwości powieściowéj. Dłuska poszedłszy na schadzkę, zaniedbała chore dziecię, które pomimo wysiłków sztuki lekarskiéj, umiera; wówczas matka występna zażywa truciznę, również, jak zapewnia autor, „nie zdając sobie sprawy co czyni" (str. 307). Wobec takich powikłań, powieść będąca z początku obrazkiem z życia towarzyskiego sfer inteligentnych w Warszawie, staje się w końcu sensacyjną i zagadkową. Zwykła autorowi jasność opuszcza go tutaj i pogrąża w chaos pomysłów, które wobec ściślejszego badania krytycznego ostać się nie mogą. Oba utwory są pisane językiem poprawnym, dosyć czystym, tak, że zaledwie drobniejsze usterki wytknąćby mu można. Artystycznéj wartości w wyższém znaczeniu wyrazu tego nie posiadają.

= *Abgar-Sołtan.* **Dobra nauczka**, nowela. **Ilko Szwabiuk**, obrazek z życia ludu huculskiego w Galicyi. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1896, str. 253. P. Abgar Sołtan jest pisarzem płodnym i więcéj widocznie dba o ilość wydrukowanych opowiadań, aniżeli o ich artystyczną wartość. Posiada on łatwość słowa, lubo grzeszy dość

często jego niepoprawnością, mianowicie w użyciu czwartego przypadku; wiele widział i wzrok ma bystry, zapamiętał niejedną rzecz ciekawą z téj zwłaszcza kategoryi, która jest przysmakiem kawalerskich pogadanek i lubuje się w rozsnuwaniu drastycznego wątka tak dalece, że coby starczyło zaledwie na anegdotę, rozciąga do obszaru dużéj noweli lub obrazka. Charaktery są u niego zazwyczaj ogólnikowo tylko zaznaczone, tak, że na nich wartość jego opowiadań bynajmniéj nie polega; sceny natomiast przedstawiające objawy grubo zmysłowéj namiętności, rozwija autor z zamiłowaniem i na nich interes swoich nowel i obrazków zasadza. Tak jest w „Ilku Szwabiuku", tak jest w „Dobréj nauczce", tak samo w dawniejszéj nieco powiastce: „Nie ma metryki" i wielu innych utworach. W „Ilku Szwabiuku" jest przynajmniéj na bardzo dalekim planie jakaś myśl sprawiedliwości dziejowéj, która karze w synu występki ojca, należącego niegdyś do czynnych działaczy w rzezi galicyjskiéj, oraz logika uczucia raz sponiewiewieranego i nie mogącego potém dojść do równowagi; ale w „Dobréj nauczce" jest już tylko swawola i rozpusta zarówno w młodym uczniu gimnazyalnym, jak w jego ciotce-separatce, bez żadnego rysu idealniejszego, bez szczypty bodaj uduchowienia. Sądzę, że tego rodzaju wytwory literackie powinny być zaliczone do rzędu owych „sekretnych", jakie się w końcu zeszłego i na początku bieżącego w „Cyterze" drukowały. Będą one miały swoich czytelników — nie wątpię, bo są zmysły jeszcze niewyrobione albo już przytępione, które bardzo silnych woni się domagają; ale że do dziedziny artyzmu one nie znajdą przystępu, to także nie ulega wątpliwości. P. Abgar-Sołtan zapewne nie rości téż sobie pretensyi do nazwy powieściopisarza-artysty, poprzestając na rozgłosie autora pieprznych historyjek. Nie myślę mu zaprzeczać prawa do takiego rozgłosu, choć wolno mi chyba wyrazić ubolewanie, że człowiek nie bez talentu pisarskiego, na tak lichych poprzestaje aspiracyach. Obniżenie poziomu etycznego i estetycznego w literaturze, cieszyć nie może nikogo, kto pragnie jéj udoskonalenia.

— *Teodor Lemianowicz.* **Jedynaczka**, szkic z natury. Warszawa. T. Paprocki i S-ka. 1896, str. 148. P. Lemianowicz po raz pierwszy podobno występuje z powieścią osobno wydaną, ale niepewności i wahań początkującego pisarza bynajmniéj nie zdradza; pisze swobodnie, z pewnym rozmysłem, z jasno zarysowanym planem, odtwarzając widocznie to, co widział, lub o czém słyszał przynajmniéj. Na początku opowiadania pomieścił wcale dobry, w umiarkowanym tonie (t. j. bez przesady i karykatury) trzymany obrazek wieczorka tańcującego na

prowincyi, zapoznając nas tym sposobem z osobami, które mają stanowić tło dalszéj opowieści, lub téż nawet stać się głównymi jéj aktorami. Z pośród grupy ludzi, szaréj, powszedniéj, niczém szczególném nie zwracającéj na siebie uwagi, wydobywa się postać młodéj panienki, Jadwisi, pieszczonéj jedynaczki, która się po raz pierwszy na balu znalazła, niedoświadczonéj, niemającéj wyobrażenia o komedyi życia ludzkiego. Nie wyróżnia się ona od ogółu panienek ani wyższém wykształceniem, ani nawet wytworniejszemi wymaganiami, ale tylko duszą z przyrodzenia już subtelniejszą i szlachetniejszą, zamiłowaną w poezyi. Podobał się jéj doktór Władysław, z którym tańczyła na onym balu, a gdy wystąpił w roli konkurenta, nie miała nic przeciwko temu, żeby mu oddać swą rękę. Dramat rozpoczął się dopiéro po zamążpójściu. Naprzód siostra mężowska, jadowita stara panna, zajmująca się gospodarstwem, przygryzkami rozmaitemi rozdrażniała młodą mężatkę, potém sam mąż niewybrednemi pieszczotami, z któremi nie starał się połączyć idealniejszego pierwiastka, obudził bunt w téj duszyczce troszeczkę rozpoetyzowanéj, z przykrém ździwieniem pytającéj siebie, czy miłość to tylko to, co jéj dał Władysław? A gdy jeszcze zobaczyła, jak tenże obejmował służącą, gdy się dowiedziała, że z innymi mężczyznami uczęszczał do restauracyi, gdzie się popisywały podstarzałe arfiarki, nabrała takiego wstrętu do męża, że pocichu opuściła dom jego i wróciła do matki. O rozwodzie atoli trudno było myśléć, gdyż nie było ani kanonicznych powodów, ani pieniędzy na prowadzenie sprawy; pod wpływem perswazyi ciotki, łez matki, dała się skłonić do pozornéj z mężem zgody, przeniosła się znów pod dach jego, lecz się stanowczo od niego odseparowała. Życie jéj odtąd było wegetacyą; uparcie tylko szukała odpowiedzi na dręczące ją pytanie, czy wszyscy mężczyźni są tacy jak Władysław, a gdy się dowiedziała, że nawet ten człowiek, którego najwięcéj szanowała, sam się przyznał, że nie był innym, popadła w apatyę, narzekając, że jéj nie oświecono pod tym względem przed zamęściem; nagły przestrach przypadkowy położył koniec jéj cierpieniom. Po jéj pogrzebie wesoło zabawiono się w domu doktora; réj wodziła rezolutna Wikcia, nie zrażająca się wcale dosadnemi żartami mężczyzn. Mimoza zamarła, piwonia rozkwitła wspaniale. Opowiadanie prowadzone jest dobrze i umié dla biednéj Jadwisi pozyskać spółczucie.

— **O znakach pisarskich** przez *Floryana Łagowskiego*. Warszawa. Druk Tow. Komandytowego St. J. Zaleski & Comp. 1895, str. 98. Interpunkcya u nas jest chwiejna i dowolna; fakt to niewątpliwy, bo go

sprawdzić można w każdém wydawnictwie, tam nawet, gdzie taż sama osoba przez szereg lat jedném pismem kieruje. Wprawdzie nie stanowimy pod tym względem rażącego wyjątku w gronie ucywilizowanych narodów, ale zdaje się, że niejednostajność w przestankowaniu większa jest u nas, niż gdzieindziéj. Główną tego przyczyną jest zdaniem mojém, ta okoliczność, że gramatycy nasi wieku XIX, zamiast podawać ścisłe prawidła, gdzie jaki znak przestankowy kłaść należy, zostawiali szerokie pole „poczuciu" piszącego, który najlepiéj wiedzieć powinien, jaki przestanek odpowiada najdokładniéj odcieniowi myśli przezeń wyrażonemu. Inaczéj mówiąc, względy logiczne, retoryczne i gramatyczne nie były u nas należycie od siebie oddzielone, a w dodatku podmiotowemu uczuciu autora dawano jeszcze zbyt dużo swobodnego pola. W rzeczach zaś gramatyki jedynie względy gramatyczne rozstrzygać powinno. Podziela to zdanie znany pedagog p. Łagowski, który w ostatniéj swéj pracy zajął się pilnie sprawą interpunkcyi; szkoda wszelako, iż nie miał dość śmiałości, by zasadę tę konsekwentnie przeprowadzić, jak to zaraz zobaczymy. Podzielił rozprawę swoją na dwie części: w pierwszéj przedstawił dzieje interpunkcyi wogóle, zastanawiając się szczegółowiéj nad przestankowaniem u nas; w drugiéj zebrał przepisy przestankowania, poprzedzone zwięzłą nauką o różnego rodzaju zdaniach, poczynając od prostych, a kończąc na okresach. Do pierwszéj części to tylko chyba dodać wypadnie, że Feliks Bentkowski nie był jedynym w naszém piśmiennictwie, co osobną rozprawę kwestyi przestankowania poświęcił, gdyż po nim Karol Mecherzyński wydał w r. 1841 „Prawidła pisania" poświęcone wprawdzie ortografii wogóle, ale i przestankowanie dość obszernie uwzględniającéj. Co do części 2-éj, to w zupełności uznaję słuszność metody, któréj się trzymał p. Łagowski w wykładzie, dając naprzód pojęcie o zdaniu, a dopiéro potém przedstawiając prawidła interpunkcyi; jedynie bowiem na podstawie dokładnéj znajomości głównych zarysów składni można oprzéć naukę o przestankowaniu. Mamy więc pokolei wyłożoną teoryę zdania prostego, rozwiniętego, złożonego, ściągniętego, skróconego, okresów, a pod każdym z tych działów znajdujemy wskazówki interpunkcyjne, poparte odpowiedniemi przykładami. Zarówno na zasadę ogólną, że tylko zdania oddzielają się od siebie różnorodnemi znakami, jako téż na bezwarunkową większą część reguł zgodzić się wypadnie w zupełności; niektóre tylko reguły, powstałe z pomieszania względów logicznych lub subiektywnych z gramatycznemi poddać należy krytyce. I tak rozumowanie p. Ł. odnoszące się do opowiedzenia (adpozycyi) rzeczownikowego, nie jest oparte na względach gramatycznych, lecz na zu-

pełnéj gramatyce. Według niego w zdaniu: „Sławny astronom nasz Kopernik był uczniem Akademii krakowskiéj” nie potrzeba brać między przecinki wyrazu „Kopernik”; a w zdaniu: „Najwięcéj wpływowy autor traktatu o interpunkcyi, Arystofanes, żył w II wieku przed Chrystusem”, przecinki są potrzebne. Dlaczegoż taka różnica w przestankowaniu zdań jednakowo zbudowanych. Oto dlatego, że Kopernik jest powszechnie znany, a Arystofanes-gramatyk — tylko specyalistom. A cóż to obchodzi gramatykę, czy nazwisko jakieś jest więcéj lub mniéj znane? Wszak gramatyka ma swój własny punkt wyjścia, t. j. budowę zdań, i około tego punktu wszystkie reguły swoje wysnuwać powinna. Jak w tym przykładzie głośność większa lub mniejsza nazwiska miała rozstrzygać, całkiem niewłaściwie, o użyciu przecinków, tak w dwu innych (str. 75, 85) „poczuciu” piszącego zostawioném użycie przecinka lub średnika. Jeżeli będziemy się opierali na podmiotowém poczuciu, to w ostateczności będziemy musieli uznać i taki sposób pisania, który żadnych przestanków prócz kropki i kréski nie poczytuje za potrzebne, a w takim razie i cała nauka o interpunkcyi okazałaby się zbyteczną. Czyżby jednak nie było możliwém ustalenie jakichś prawideł? Czyżby np. nie należało powiedzićć, że w szeregu zdań głównych, oddzielanych, jak wiadomo, przecinkami, wówczas tylko użyć można średnik, gdy podmiot się zmienia? a w każdym innym wypadku dopuszczalnym jest tylko przecinek, albo kropka, jeżeli piszący chce z naciskiem wyróżnić kolejne fazy pewnéj czynności lub stanu. Więc np. w zdaniach przytoczonych na str. 75: „Byłeś dziś u N? Byłem; nie zastałem go; pójdę jutro”, czyżby zamiast średników, nie należało użyć kropek? Podobnież nie sądziłbym, ażeby w zdaniach skróconych na imiesłowy wypadało zostawić użycie przecinka „tylko odczuciu piszącego”, bo toby znaczyło zrzec się możności rozbioru gramatycznego. Istotnie, jeżeli nie zawsze można — jak twierdzi p. Ł. — „wymagać od kogoś, aby rozróżniał, kiedy imiesłów jest tylko prostém określeniem, a kiedy całém zdaniem”, to pocóż trudzić uczniów rozbiorem zdań skróconych na imiesłowy? Napomykam tu tylko o téj sprawie, nie wdając się w jéj szczegółową krytyczną ocenę, co być powinno zadaniem pisma specyalnego; p. Ł. bowiem takiéj specyalnéj dyskusyi domaga się, ażeby dojść do należytego wyjaśnienia sprawy. Nie rości on sobie pretensyi (jak czytamy w Słowie wstępném) „do prawodawstwa w interpunkcyi”, nie stawia żadnych przez siebie wymyślonych reguł, ale starał się nakreślić rzecz tak, jak się ona uwydatniła u teoretyków i w praktyce. Od siebie podał niektóre wątpliwości i ich załatwienia przez dyskusyę się spodziewa. Sądzimy, że cel ten osiągnie dla pożytku ogólnego.

= *Klemens Junosza.* **Z Warszawy**, nowelle. Warsz.-Petersburg, 1894, str. 237. — *Tenże.* **Willa pana regenta**, obraz z życia wiejskiego, z illustracyami Fr. Kostrzewskiego. Warsz. Gebethner i Wolff, 1895, str. 256. — *Tenże.* **Przy kominku**, obrazki i opowiadania. Warsz. A. G. Dubowski i R. Gajewski. 1896, str. 281.—Powołując się na charakterystykę talentu Klemensa Junoszy podaną przed dwoma laty w „Ateneum", poprzestaniemy na krótkiéj tylko wzmiance o tych trzech nowych tomach, jakie ten płodny autor puścił w świat w ciągu roku bieżącego, cechy bowiem zasadnicze zawartych tu utworów pozostały takież same jak je w owym szkicu określić się starano. Tak samo jak dawniéj, kréśli i tutaj Junosza najlepiéj żydów, dziwaków, oryginałów, popadając kiedyniekiedy w karykaturę, jak np. gdy opowiada o próżniaku mającym pretensye do genialności („Człowiek o skrzypiących butach") lub o zaciekłym sędzi śledczym, który pierwszą noc poślubną trzymał żonę pod kluczem podejrzewając ją o spełnione wiarołomstwo („Pierwszy dzień miodowego miesiąca"); — lecz wogóle bardzo trafnie malując ich przyzwyczajenia, mowę, giesta, myśli i uczucia. Tak samo jak dawniéj, rzadko rozwodzi się nad uczuciem miłości, nie umiejąc się z tego zadania wywiązać tak, żeby nie popaść w powszedniość i szablonowość. Tak samo jak dawniéj, opowiada łatwo, swobodnie, charakterystycznie, dowcipnie, obierając tematy nie wymagające zbyt głębokiego namysłu ze strony czytelnika i nie przedstawiające uczuć zanadto złożonych i subtelnych. Najdowcipniejszą powiastką ze wszystkich, jakie w trzech powyżéj zaznaczonych tomach znajdujemy, jest „Fałszywa kuropatwa" (znajdująca się w zbiorku „Z Warszawy", gdzie wybornie lubo szkicowo przedstawione są charaktery, uganiające się za blaskiem powierzchownym i zawodzące się na swoich ułudnych kombinacyach. „Mąż do asystencyi" jest doskonałą anegdotą o starym kawalerze, który namówiony do stanu małżeńskiego, żeni się z podżyłą kobiétą, ale nie mogąc się wyrzec swoich przyzwyczajeń, przenosi się na swe dawne mieszkanie i proponuje małżonce, iżby nie wymagała od niego nic więcéj nad „asystencyę" tam gdzie tego zajdzie prawna potrzeba. „Sukcesorowie skąpca" jest to powieść, w któréj charakter skąpca najlepiéj został odmalowany, gdy inne figury są dosyć blade, a kompozycya całości jakby zwichnięta pod koniec. „Willa pana regenta" przedstawia epizod z życia byłego asesora trybunału, który kupiwszy willę na wsi, głównie dla zdrowia córki swojéj Wandzi, uplanował sobie wydać ją za jednego ze swych dawnych kolegów, ale zamiaru tego przeprowadzić nie mógł, bo córka wolała młodego Bolesława i potrafiła wytrwa-

łością i stałością uczucia przemódz wszelkie przeszkody. W zbiorze „Przy kominku” znajdujemy 11 obrazków, z których najobszerniejszym, ale nie najlepszym jest „Tryumf stryjenki” zasadzający się na ożenieniu 40-letniego siostrzeńca. Inne powiastki i obrazki mają przeważnie charakter anegdotyczny, nieraz bardzo żywo i dowcipnie rozwinięty („Gospodarski ranek”, „Zbieg”, „Fałszywa dziesiątka”); tylko „Obywatel z Tamki” zakochany w téj ulicy z powodu przebytego na niéj dramatu serdecznego, ma większą wartość psychologiczną. Język, jak zwykle u Junoszy, jest bardzo czysty i poprawny; wytknąć jedynie należy obce mowie naszéj użycie wyrażenia „z miejsca” w znaczeniu „zaraz”.

— *Adolf Dygasiński.* **Wywczasy Młynowskie.** Nowele. Warsz. 1895, str. 264. Nowy ten tom obrazków i opowiadań utalentowanego psychologa-nowelisty, pięknie i starannie wydany, mieści w sobie pięć dłuższych lub krótszych zarysów, które raczéj do dziedziny rozmyślań i dyskusyi, aniżeli do sfery obrazowania artystycznego należą. Najpiękniejszym z nich, najwięcéj poetycznego pierwiastku zawierającym jest: „On i Psyche”, gdzie skreślone są zwykłe dzieje dramatu miłosnego: idealistyczne ubóstwienie kobiéty, urzeczywistnienie ziemskie pragnień, rozczarowanie i rozstanie—w sposób wymowny, a niekiedy czarujący. Zakończenie tego szkicu, zatytułowane: „romans doświadczalny”, nie wydaje mi się zharmonizowaném z całością; owszem stanowi ono względem niéj pewien dysonans; przedstawia bowiem całe owe dzieje Psychy jako rzecz eksperymentu autorskiego; poecie chodziło o napisanie romansu; dlatego rozkochał Psychę i dlatego ją porzucił... Nie myśli bynajmniéj autor budzić sympatyi dla opuszczonéj Psychy; po krótkiéj chwili smutku wchodzi ona w świat, a nie mogąc „pisać romansu, zawiązała go z mężczyzną i wyszła zań. „Zasady i mięso”—to zarys pedagogiczny, przedstawiający nauczycieli ze strony bardzo ujemnéj: głoszą oni bowiem wzniosłe zasady a sami kierują się poziomemi w postępowaniu pobudkami. Czy krytyka pedagogów jest pożądana? Zdaje się, że nie można odpowiedzi dać przeczącéj, zastrzedz się tylko wypada, ażeby krytyka ta była słuszna i nie miała w sobie pamfletowego charakteru. W szkicu Dygasińskiego bardzo wiele jest rozumnych i trafnych uwag i tylko opuściła go zwykła w innych razach wyrozumiałość; w szlachetném niewątpliwie życzeniu, by przewodnicy młodzieży byli jaknajdoskonalszemi ilustracyami nauk przez się głoszonych, zbyt czarno wady ich odmalował, zapominając, że i oni przecież są ludźmi, że i w nich mogą być przy-

mioty zasługujące na zaznaczenie. — „Kwiatek” to ładna i z humorem opowiedziana historya psa, który długo się poniewierał, zmuszany do pracy dla siebie nieodpowiedniéj, i dopiéro na polowanin okazał się mistrzem. „Rogieluk” to charakterystyka bujnego temperamentu końskiego włożona w usta starego stangreta zalewającego pałkę. Wreszcie „Zeus i Eugienes” to żart oprawny w dość pospolite ramy pogadanki o marności bogactw i sławy. Wogóle cały tom czyta się z zajęciem, bo nawet w słabszych swych częściach dostarcza obfitéj karmi dla myśli.

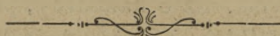
= *Jan Kazimierz Zieliński.* **Ofiary**, powieść. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895, str. 253.—Zapoznaje nas młody autor z „ofiarami” błędu popełnionego przez pannę, która zaufawszy nierozważnie pewnemu dziennikarzowi, opuszczona przez niego, umiéra, pozostawiając dziecię, które pokryjomu wprowadza pod dach swego męża jéj siostra (trochę podobnie jak Rozalia w „Tadeuszu Bezimiennym”). Ściśle biorąc są tu dwa błędy ze sobą związane; pierwszy—to uniesienie miłosne, drugi — to podstęp ze strony mężatki. Ten drugi, w gruncie rzeczy, ze względu na rozwój wypadków, o wiele jest ważniejszy od pierwszego, bo zmusza mężatkę do kłamstwa i obłudy, trzymając ją w ciągłéj obawie i zmuszając do potajemnego opłacania się owemu łotrowi dziennikarzowi, który korzystając z niezaradności kobiecéj, wyzyskuje ją haniebnie. Po przejściu całego szeregu udręczeń, których opisu oszczędza nam autor, zdawało się, że nieszczęśliwa kobiéta dozna wreszcie spokoju, oto owo dziecię siostry, przybrane za własne, wyrosło na piękną dziewicę, a ponieważ miało być bogate, ściągnęło na siebie uwagę łowca posagowego, zużytego i znudzonego Artura, który odgrywając komedyę uczucia, nie obudził wprawdzie głębokiéj miłości w Annie, ale przynajmniéj nie był jéj wstrętnym. Odbywa się wesele. Wtém w ręce jéj mniemanego ojca wpada numer gazety redagowanéj przez owego łotra, a w niéj artykuł bezczelny, opisujący przewrotnie skandal w rodzinie téj, która wychodziła za mąż. Rażony apopleksyą, Adam, wpada w chorobę, zwątpiwszy o prawości swéj żony. A gdy rzetelnéj dowiedział się prawdy i w stosunkach rodzinnych doznał pociechy, nastąpiły przykrości ze strony zięcia i sąsiadów. Zbyt dotkliwe były to ciosy dla poczciwego Adama; przypłacił je zgonem. Wkrótce potém przy pierwszém dziecku umiera Anna, a wśród reszty rodziny panuje okropne przygnębienie. Treść tu króciutko opowiedziana, rozwija się szeroko, choć nie równomiernie w powieści p. Zielińskiego. Rozpoczął swe opowiadanie od wdzięcznego

obrazka, przedstawiającego dom Adama w chwili spokojnego, codziennemi zajęciami i zabawami wypełnionego trybu życia. Więc mamy tu Zosię roztrzepaną, która pisze wierszyki, gubi wciąż zapisane niemi kartki, mamy jéj ojca, zajętego entomologicznemi poszukiwaniami, który nie wié co jest biedronka, dopóki sobie terminu łacińskiego nie przypomni, mamy jego brata, zaprzątniętego zbieraniem, mamy wesołego Kazia i poważnie zamyśloną Anusię. Nie powiem, ażeby charaktery, naszkicowane w pierwszéj scenie opowieści, znalazły swe harmonijne rozwinięcie w następnych, gdyż przybycie panów Gąbczyńskich, ojca i syna, przerywa ten idyliczny obrazek; ale bądź co bądź samo zarysowanie różnorodnych usposobień i pogoda artystyczna w tonie opowiadania dobrze usposabia czytelnika. Z panów Gąbczyńskich tylko ojciec sypiący przysłowiami jak z rękawa, rubacha i weredyk uśmiechnięty, zwraca na siebie uwagę i wyrasta nawet na najpokaźniejszą pod względem obrobienia figurę w opowiadaniu, chociaż cały jest „gębą" tylko. Artur natomiast jest postacią bladą i nie nową w beletrystyce naszéj; jego znudzenie nie ma cech jakichś indywidualnych, a jego cynizm dopiéro się po ślubie z Anusią ujawnia. Konkury nie przedstawiają nic znamiennego; a gdy się odbywa uczta weselna i gdy pan Adam, przeczytawszy artykuł nikczemny, pada na ziemię, tok opowiadania, dotychczas dramatyczny, zmienia się raptem, przechodząc w kronikarską miejscami relacyę o wypadkach, które na lat kilkanaście przedtém się zdarzyły, a były powodem katastrofy. W przedstawieniu tego zbyt długiego epizodu, chciał autor ukazać jakiś rys z dziejów dziennikarstwa lwowskiego w dobie poczynającéj się autonomii galicyjskiéj, ale skreśliwszy tylko ogólnikowo dwie grupy dziennikarzy, mających prawdziwe powołanie, zatrzymał się dłużéj nad trzecią, którą mianem szubrawców i łotrów ochrzcić wypada, gdyż bez przekonań i zasad szlachetnych, bez poczucia obowiązku obywatelskiego, uważała pióro za narzędzie do osiągnięcia osobistych jedynie celów, wyniesienia się i wzbogacenia, nie przebierając w środkach. „Hulali, bawili się i pili, deklamując po doktrynersku w antraktach"—oto charakterystyka tych ludzi najogólniejsza, ilustrowana gorszym od niéj przykładem jednego z jéj grona, Leona Znachorskiego. Po tym epizodzie, opowiadającym smutne dzieje stosunku Leona do Andzi, autor powraca do przerwanego wątku, ale już tylko w sprawozdawczy niemal sposób kréśli skutki oszczerczego artykułu, napisanego przez Leona. Pragnęlibyśmy tu większego rozwinięcia szczegółów i dobitniejszego odznaczenia charakterów w akcyi, zamiast ogólników. Autor jakby już zmęczony długą opowieścią, dąży

czémprędzéj do końca i to czemuby w innym wypadku poświęcił parę stronic, zbywa w kilku wierszach. Brak należytego ustosunkowania części względem całości, jest głównym zarzutem, jaki zrobić można „Ofiarom" co do kompozycyi. Co do stylu, jest on dość żywy i bywa nieraz malowniczy; co do języka, są w nim niepoprawności galicyjskie zarówno w użyciu biernika po słowach i przeczeniach, jak i w kilku frazesach żywo przypominających niemczyznę; zbyt częstemi jednak usterki tego rodzaju nie są.



W SPRAWIE STUDENTEK.



Od autora „Zosi w Sorbonie“ otrzymujemy list następujący:

Kto się zdecydował zabierać głos publicznie, bądź z mównicy, bądź za pośrednictwem drukowanego słowa, powinien zawsze przygotować się na to, że jego myśli—chociażby jasno wypowiedziane—będą częstokroć niezrozumiane i przekręcone. Są ludzie obdarzeni pewnego rodzaju daltonizmem umysłowym, który nie dozwala im widzieć tego, co mówca lub pisarz chciał powiedzieć, natomiast podsuwają to co się im samym przywidziało: jakieś zdanie lub zdarzenie, które na nich wpływ wywarło, wzruszyło, zahypnotyzowało. Odkąd „kwestyą kobiecą" zajmuje się żywo pewna część prasy warszawskiej (z powodu artykułu p. J. L. drukowanego w „Kuryerze Codziennym" p. n. „Studentki paryzkie“) nie wolno tknąć sprawy „emancypacyi“ inaczej jak z zachwytem, by wnet ktoś nie dorwał się donkiszotowskiej kopii i nie popędził z nią na oślep.

Nie mówię tu bynajmniej (kładę nacisk na to zastrzeżenie) o tych, którzy się oburzyli na oskarżenia p. J. L. i zaprotestowali. To nie była donkiszetorya, lecz uczciwe i rozumne podniesienie rękawicy w obronie płocho zaczepionych kobiet. Artykuł p. J. L. jest zbyt jednostronny i powierzchowny by dać istotne pojęcie o stanie rzeczy. Chociaż niektórym jego zarzutom nie można zaprzeczyć słuszności, nie podobna jednak rozciągnąć ich słuszności do wszystkich studentek bez wyjątku. Lecz gdzież jakiekolwiek napastowanie kobiet i ich naukowych dążności w nowelce „Zosia

w Sorbonie?...“ Bezimienny publiczysta „Głosu”, widocznie pod wpływem polemiki toczącej się tam, gdzie tego rzeczywista okazała się potrzeba, zapalił się rycerskim animuszem tam, gdzie tego wcale nie potrzeba, a dosiadłszy Rossynanta... hajże na autora „Zosi“. Publiczność, nie opanowana jedną, swoją własną myślą, zamiast szukać w nowelce „traktowania kwestyi kobiecéj“ — dopatrywać „kpinek z dążenia do oświaty“ — „kadzideł na cześć Zosi“ — „nowoczesnej ilustracyi do Wandy, która leży w naszéj ziemi“ i tym podobnych rzeczy, będzie widzieć to, czém jest w istocie ta bezpretensyonalna ramotka: drobnym obrazkiem, albo raczéj jedną kartką z życia kobiet-studentek paryskich. Nawet taki „elaborat“ może się przydać, jeśli maluje prawdziwą stronę bytu, jedną zeń chwilę pochwyconą na gorącym uczynku, bo „pozytywnemu“ pisarzowi więcéj idzie o spokojną obserwacyę wszelkiego rodzaju zjawisk, niż o hałaśliwe, przesolone i przepieprzone bajanie na temat wielkich haseł. A jeśli już koniecznie dopatrywać jakiejś tendencyi w owej nowelce, lub wyprowadzać z niéj wniosek, to dla czegóżby nie ten, że Zosia sierota, będąc córką dobrej i kochającej matki, przechowała wraz z jéj pamięcią cześć i miłość ogniska domowego, że ta cześć i miłość uchroniły ją od potknięcia się tam, gdzie inna, pozbawiona zacnéj tradyci rodzinnéj potyka się i upada?...

Lecz mniejsza o ten drobiazg beletrystyczny. Co do mnie jestem wdzięczny bezimiennemu literatowi za zaczepkę, bo ona przynagliła mnie do powiedzenia téż kilku słów o studentkach, których dążności nieprzyjacielem nie byłem nigdy, jak się o tém przekonać można z korespondencyi wysłanéj do Tygodnika ilustrowanego w grudniu 1891 r. (jeśli się nie mylę) w chwili ówczesnego mego pobytu w Paryżu.

Nie wiem, azali słusznie nazwano dążność kobiet do nauki uniwersyteckiej i zajęć zawodowych, dotąd wyłącznie męzkich, ruchem emancypacyjnym, lecz od razu postawiono go na fałszywym gruncie. Zamiast widzieć w nim, bardzo naturalną w takich jak dzisiejsze czasach, pragnienie oświaty i zapewnienia sobie bytu, wystąpiono z zarzutem.... że umysł kobiecy nie posiada zdolności twórczych! Ależ kobiety nie wybierały się na żadne wynalazki naukowe, nie obiecywały, że będą odkrywać prawa, jak Archimedes, Keppler i Newton — one tylko chciały się uczyć i pracować. Gdyby nawet ów zarzut okazał się słusznym (a o tém chyba dotąd nikt nic pewnego nie wié, bo nauka nie zebrała i zebrać nie mogła dostatecz-

nych danych w tej materyi) to pozostaje jeszcze spożytkowanie twórczości męzkiéj, zastosowanie jéj praktyczne w życiu; wyraźniéj mówiąc pozostanie fach zdobyty, który ona może spełnić umiejętnie i sumiennie.

Lecz bodaj że przedewszystkiém społeczeństwo nasze lękało się zachwiania uczuć religijnych i moralnych, i z tego powodu patrzało niechętnie na ruch kobiécy. Że ta obawa okazała się płonną, stwierdza nawet nieprzychylny studentkom artykuł p. J. L. Kobiéta rozpoczynająca wyższe studya nie wyrzekała się uczuć płci swéj właściwych i nie przysięgała oddać się nauce kosztem życia rodzinnego. Wychodzi za mąż (choć twierdzić można śmiało, że nie każda po złapanie męża jedzie za granicę, jak lubią mówić żartownisie) i w praktyce godzi jedno z drugiém wedle indywidualnego usposobienia oraz swoich wyłącznych warunków. Więc, stosownie do tego, przerywa lub posuwa daléj swe studya.

Ale jeśli jedni dopatrywali w ruchu kobiécym ujemnych rezultatów dla ogółu, za to drudzy widzieli w nim bohaterstwo rokujące najpiękniejsze żniwo. Obie strony myliły się w dobréj wierze. Kobiéty studentki nie są ani elementem burzącym z gruntu, doszczętnie, podstawy społeczne, ani wybranemi istotami, rozpoczynającemi wiek złoty. Postawmy rzeczy i ludzi na właściwém stanowisku i we właściwem świetle. Studentki są tém, czém jest społeczeństwo, z którego wyszły i kółko rodzinne, które je wychowało. Należą do obojga nawyknieniami, zwyczajem i obyczajem, zaletami i wadami, przymiotami i przywarami. Błędne byłoby mniemanie, że są one, bezwyjątku i bezwarunkowo, najlepszą cząstką niewieściego świata; że te, które pozostały w domu ustępują im pod względem serca, charakteru, głowy. Studentka tylko je przewyższa wykształceniem fachowém.

Inaczéj być nie może. Przybywa ona zwykle do uniwersytetu po skończeniu dwudziestu lat mniéj więcéj, i posiada już dość wyrobiony charakter, by w nim jakaś niespodziewana, niczém niezwiastowana dotąd zaszła zmiana; modyfikuje się tylko, pod wpływem nowych warunków, lecz nie przeobraża zasadniczo: egoistka nie zamienia się w entuzyastkę gotową nieść życie w ofierze, gąska nie przeradza się w orlicę, bo... ot mówiąc po prostu starém przysłowiem, że „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu“. Są więc studentki wszelkich kategoryi, takie które pracują tylko dla chleba, takie które dołączają do tego rzeczywiste zamiłowanie do nauki i takie wreszcie — ale w znacznéj mniejszości — które przybyły do Paryża z nieokreślonemi zamiarami, spuszczając się na kochane nasze: „ja-

koś to będzie." Pracują też odpowiednio do tych danych: jedne uczą się tylko przed egzaminami, dla dyplomu, inne aby się rzeczywiście wykształcić, i w przyszłości będą lekarki takie jak są dziś lekarze: źli i dobrzy, rutyniści i samodzielni, egoiści i poświęcający się, szarlatani i uczciwi.

W rozbiór i zbijanie wszystkich, ostatniemi czasy podniesionych zarzutów, wchodzić mi nie podobna, i muszę streścić rzecz w kilku słowach. Z cyfr przez p. J. L. przytoczonych widać, że wyższe studya zapewniły kobiétom byt lepszy niż ciężkie roboty bakalarskie, rzecz ważna dla każdego kto pracuje — i, nie obwijajmy prawdy w bawełnę — do której każdy dąży, mężczyzna czy kobiéta. Tak więc strona materyalna rozstrzyga się chyba na korzyść studentek. Z drugiéj znów strony, oprócz ujemnych nie brakuje bynajmniéj cech dodatnich. Widziałem pracę sumienną, pilność ogromną, walkę z niedostatkiem, nawet nędzą, pełną godności i wytrwałości, zasługującą na szacunek, koleżeńską uczynność wzorową, małżeństwo przykładne, jedném słowem, te wszystkie dane, które od wieków i po wszelkie czasy stanowią rzeczywistą wartość jednostki i społeczeństwa.

Wobec takiego stanu sprawy, nie należy ani zbyt czarno ani zbyt różowo się zapatrywać na kwestyę kobiecą. Jest ona nieuniknionym wynikiem czasów; przyszło do niéj bardzo naturalnym rzeczy porządkiem i rozwiąże się ona w podobny sposób — czekajmy tylko cierpliwie.

Litawor.



NEKROLOGIA.

B. p. **Hilary Nussbaum**, urodz. r. 1820 w Warszawie, kształcił się tamże w szkole rabinów, zostawszy kupcem, zajmował się w chwilach wolnych od zajęć literaturą i nauką, pisując do tygodnika „Jutrzenka", wydawanego przez Daniela Neufelda, był członkiem rady głównéj opiekuńczéj zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiém, kuratorem głównego domu schronienia starców i sierot starozakonnych w Warszawie. Prace jego osobno ogłoszone są: „Z teki weterana warszawskiéj gminy starozakonnych" (Warsz. 1880), „Historya żydów", „Leon i Lajb, studyum" (tamże 1883), „Jakób Izraelewicz, szkic" (t-że 1886), „Historya żydów" (5 tomów, Warsz. 1888—1890; tom V-ty zawiera dzieje żydów w Polsce), „Przewodnik judaistyczny, obejmujący kurs literatury i religii" (Warsz. 1893, str. 323). Zmarł w Warszawie 17 listopada r. b.

† **Feliks Berdau**, urodzony w Krakowie r. 1826, ukończywszy tamże gimnazyum św. Anny, wszedł na wydział filozoficzny uniwersytetu jagielońskiego, ukończył go r. 1846; w 1847 został asystentem przy katedrze botaniki i pełnił obowiązki te lat 7. Równocześnie, korzystając z wakacyi, robił wycieczki botaniczne w okolice Krakowa i dalsze, a owocem ich były rozprawki: „Wycieczka botaniczna w Tatry odbyta w 1854 r." (Bibl. Warsz. 1858), „Geographisch-botanische Skizze des Tatra-Gebirges" (Oesterreichisches botanisches Wochenblatt.) W r. 1858 i 1859 zwiedzał uniwersytety i ogrody botaniczne za granicą, mianowicie: w Rzymie, Wiedniu i Berlinie. Wtedy wydrukował: „Kilka uwag o roślinności i florze Krynicy" (1858 Krak.) „O florze Ojcowa i jego okolic" (Bibl. Warsz. 1859), „Flora

okolic Krakowa... (obok tytuł łaciński, Krak. 1859, str. 449). W roku 1860 powołany został do Warszawy na nauczyciela nauk przyrodniczych w gimnazyum realném, a gdy w 1862 powstał w Nowéj Aleks. instytut politechniczno-rolniczo-leśny, powierzono mu katedrę botaniki i zoologii oraz założenie ogrodu botanicznego. Po zamknięciu tego instytutu udał się ś. p. Berdau do Krakowa w celu otrzymania stopnia doktora filozofii, który osięgnął po obronie rozprawy: „Karpaty wogóle, a w szczególności o Tatrach pod względem geograficznym, geologicznym i botanicznym.” W 1867 przełożył dwa podręczne dzieła Schedlera. „Botanikę ogólną“ i „Mineralogię.“ W 1869 powtórnie powołany został do Nowéj Aleksandryi na katedrę botaniki i fizyologii w nowoutworzonym instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa i prowadził wykłady do r. 1886, otrzymawszy r. 1876 tytuł doktora botaniki w uniwersytecie charkowskim. Napisał wtedy i wydrukował rozprawę o „Grzybach jadalnych i trujących”, oraz rozpoczął wydawnictwo obszernego dzieła: „Flora Tatr, Pienin i Beskidu zachodniego,“ które doprowadził do 39 arkusza włącznie; dalszy ciąg został mu skradziony w rękopisie, dopiéro w r. 1890 książka ta wyszła w całości dopełniona przez Franciszka Błońskiego na podstawie materyałów zebranych przez ś. p. Berdaua. W r. 1886 opuścił Nową Aleksandryę i ciężko zapadł na zdrowiu tknięty atakiem paralitycznym. W tym stanie blizko lat 10 przebył w Warszawie, gdzie zmarł 23 listopada.

† **Władysław Przemysław Cezar Kulczycki**, urodzony 2 grudnia 1834 r. we wsi Ludwinowie na Podolu, pierwsze wychowanie odebrał pod kierunkiem Francuza ks. Bourgeois, już w 12 roku życia napisał krytykę kobiét uczonych p. t. „Histoire d'une oie auteur“ (Odessa). Kraszewski zwrócił go do literatury polskiéj, drukując jego rozprawki w „Athenaeum“ o pani Sand, o Dantem i Beatryczy. Odbywszy nauki w Niemirowie i Odesie, zwiedził ś. p. Kulczycki Konstantynopol i Grecyę, a ukochawszy namiętnie pamięć Dantego osiadł we Włoszech, skąd pod pseudonimem Cezara Polewki zaczął nadsyłać korespondencye do „Gazety Warszawskiéj“, do „Kroniki wiadomości krajowych“, do „Czasu“ a następnie do „Kłosów“, i wydawanego w Dreźnie przez Kraszewskiego „Tygodnia”, do „Kuryera Warszawskiego“. Styl jego odznaczał się wielką wytwornością, popadającą nieraz w kwiecistość przesadną. Pisał mnóstwo wierszy umieszczanych w różnych czasopismach. Główniejsze jego poemata są: „Klaudya Homonoca“, „Diana Nocena“, „Izella“ (Drezno 1871), „Kopernik“, „Pałac Nerona“, „Pompeja“ (Lwów, 1886). Tłomaczył Dantego (2 pieśni r. 1857). Pisywał rzeczy publicystyczne: „Papie-

stwo i anneksya" (1860), „Włochy wobec Piusa IX" (t. r.) Wiele téż drukował po włosku: „Italia dinanzi a Pio IX" (1859), „La Monaca di Cracovia Barbara Ubrik" (Medyolan 1876), „Teresa Wenzick abbadessa delle Carmelitane scalze" (t-że 1873). Wiersze jego były przekładane na włoski. Zmarł w Rzymie w końcu listopada r. b.

† **Stanisław Budziński**, urodzony w Warszawie 25 listopada 1824 roku, po ukończeniu tamże gimnazyum gubernialnego, udał się na wydział prawny do Moskwy. Po r. 1845 wrócił do Warszawy i rozpoczął służbę sądową. Mając zdolnosci literackie w tę stronę zwrócił najprzód swoją działalność. W r. 1852 przetłomaczył i wydał „Polskę" Jana Krasińskiego, następnie „Roczniki domu Orzelskich", Ellisa „Zarysy ekonomii politycznéj" (1856). Pod pseudonimem Bolesława Wiktora pomieszczał dużo recenzyi, rozpraw i tłumaczeń w „Bibliotece Warszawskiéj", mianowicie w r. 1855 dramat Oehlenschlägera „Corregio", w 1858: „Rzecz o dramacie hiszpańskim", „O dramacie niemieckim w XIX wieku", w 1859: „Hadży Abrek" i „Zbieg" Lermontowa, w 1860: Halma „Gladyator raweński", w 1861: Calderona „Czarnoksiężnik". Prócz tego pisywał do „Gazety Codziennéj", „Kroniki wiadomości krajowych", „Dziennika powszechnego". Tłomaczenia drobniejszych utworów z różnych języków zebrał w całość i wydał r. 1885 p. t. „Z obcego Parnasu". W r. 1859 wykładał prawo w instytucie Marymonckim, ale w końcu tegoż roku powołany został do uniwersytetu petersburskiego do wykładu prawa karnego. Po utworzeniu Rady Stanu w r. 1862 otrzymał referendarstwo w wydziale prawodawczym, gdzie przygotował obszerną redakcyę kontr-projektu ustawy o subhastacyach, oraz szkic projektu kodeksu kar. Po zwinięciu Rady Stanu został referentem X Departamentu Rządzącego Senatu, następnie pomocnikiem prokuratora naczelnego, a po wprowadzeniu reformy sądowéj w r. 1876 członkiem Izby sądowéj warszawskiéj. Obok tych zajęć, w r. 1864 wykładał prawo karne w szkole Głównéj a następnie w uniwersytecie aż do r. 1892. Z prac fachowych osobno wydanych, główniejsze są: „O dowodach praw familijnych i wypieraniu się dzieci nieprawnych" (1858), „O powadze rzeczy osądzonéj w procesie cywilnym i kryminalnym (1861), „O zbiegu przestępstw i przestępstwach ciągłych" (1865), „Myśli do ułożenia nowego prawa karnego" (t. r.), „O pojedynkach" (1866), „Wykład porównawczy prawa karnego" (1868), „O powtarzaniu przestępstw" (1875), „O kradzieży i pokrewnych jéj przestępstwach" (1875), „O przestępstwach w szczególności" (1883), „Prawo z r. 1882 o kradzieży (1884). W Podręczniku dla sądów gminnych W. Miklaszewskiego, w tomie 2-im opracował

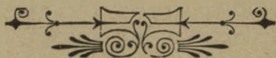
„Ustawę o karach wymierzanych przez sędziów pokoju (1876). Zmarł w Warszawie 26 listopada.

† **Ludwik Teichmann-Stawiarski**, urodzony 16 września 1823 roku w Lublinie, uczęszczał do gimnazyum w Radomiu, a następnie studyował medycynę w Dorpacie. Udał się potém do Heidelberga i Getyngi, prowadząc daléj swe studya. Otrzymawszy w Getyndze stopień doktora, objął tam posadę prosektora przy katedrze anatomii, oraz docenturę prywatną. W r. 1851 powołano go na katedrę anatomii w uniwersytecie jagielońskim i na tém stanowisku spędził pracowity żywot, niejednokrotnie piastując godność dziekana i rektora. Zmarł 26 listopada r. b. Prace jego, osobno wydane, są następne: „Die Lehre von den Ganglien“ (Getynga 1856), „Ueber das Haematin“ (Heidelberg 1856), „Das Sangadersystem vom anatomischen Standpunkte“ (Lipsk, 1861), „Badania anatomiczne w przedmiocie objętości komórek sercowych“ (Kraków, 1864), „Kilka słów o wartości niektórych nowszych badań chłonic w powszechności tudzież o naczyniach limfatycznych krtani“ (t-że 1871), „Erläuterung zu prof... anatomischen Präparaten auf der Weltausstellung in Wien” (t-że 1873), „Kit jako masa injekcyjna i sposób nastrzykiwania tą masą“ (t-że 1880), „O ujściach chłonic do żył“ (t-że 1887) „Ueber die Lymphgefässe in der Elephantiasis Arabum“ (t-że 1890), toż po polsku, „Naczynia limfatyczne w słoniowaciznie Arabum“ (t-że 1892).

† **Ignacy Karpiński**, nauczyciel, następnie rektor szkół, pod koniec życia ogłosił drukiem dwie prace: „Nowe ogrodnictwo polskie z nowymi poglądy na przemysł i handel produktowy naszych wyrobów i na inne ekonomiczne potrzeby naszéj społeczności“ (Warsz. 1877, str. 216) i „Krótki rys ustroju dawnej Polski i poglądy na przeszłość“ (2 tomy Warszawa 1887, str. 428 i 509). Zmarł w Kielcach w listopadzie r. b.

† **Jakób Gordon**, urodzony r. 1823 po rozlicznych a nieszczęśliwych przejściach wróciwszy ze Stanów Zjednoczonych, osiadł we Lwowie, gdzie został archiwistą wydziału krajowego. Zaczął pisać od r. 1869 a jego wspomnienia i pamiętniki przekładane były na niemiecki, francuski i czeski. Oto tytuły niektórych z jego utworów: „Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla“ (1865); „Przechadzki po Ameryce“ (1866), „Podróż do Nowego Orleanu“ (1867), „Obrazki galicyjskie“ (1869), „Szkice i ramotki“ (1870), „Grzechy Krystyny królowéj hiszpańskiej” (1870), „Gdy się było młodym“ (1871), „Wspomnienia z Włoch, Szwajcaryi i Niemiec“ (1871), „Turysta z musu“ (1873). Zmarł we Lwowie 30 listopada.

† **Emil Deryng**, urodzony około 1820, wystąpił po raz pierwszy w Warszawie jako uczeń szkoły dramatycznéj Kudlicza, d. 16 lipca 1841 w komedyi „Dwa pojedynki“. Nie przyjęty na scenę warszawską, tułał się po teatrach prowincyonalnych. Dopiéro w r. 1844 po trzykrotnych występach („Noc i poranek”, „Szpada mojego ojca”, „Stara romantyczka”) zaliczono go do stałych członków teatru w Warszawie. W r. 1845 wystawił własny utwór „Gwiaździarka” grywany z wielkiém powodzeniem. Po krótkim pobycie w Warszawie, przeniósł się na scenę wileńską i tu przebywał lat dwadzieścia kilka. Wtedy ogłosił drukiem: „Córka żołnierza” romans, (2 tomy, Wilno 1845), „Bracia Morawczycy, dramat w 3 aktach, ozdobiony śpiewami i tańcami”, „Hrabina i listy”, komedya w 1 akcie (t-że 1849), „Szatan ziemi i anioł, powieść” (3 tomy, t-że 1851); „Pojata, córka Lizdejki czyli Wilno w XIV wieku, z powieści Bernatowicza w 3 odsłonach z prologiem i muzyką” (tże 1854); „Bogumił Duda, komedya” (t-że 1857), „Obrazki z podań krajowych: Trefniś dworu Jana III, obrazek w 3 odsłonach” (t-że 1862). Po zwinięciu teatru wileńskiego wrócił do Warszawy, gdzie objął reżyseryę teatru za prezesostwa p. Muchanowa w r. 1876 i prowadził ją do r. 1878. W roku następnym otworzył szkołę dramatyczną w gmachu dawnéj synagogi przy ul. Daniłowiczowskiéj, a potem w teatrze Dobroczynności. Urządzał przedstawienia złożone z uczniów i uczennic, dobrze nimi kierując. Szkoła trwała 3 lata. Wydał dziełko dotyczące swego fachu: „Dramaturgia praktyczna” (1874). Przeniósłszy się do Galicyi, dawał po miastach i zdrojowiskach przedstawienia, do których używał przeważnie sił młodych, pragnących się kształcić w zawodzie dramatycznym. Zmarł 4 grudnia r. b. we Lwowie.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. **Bąk**. Kalendarz satyryczno-humorystyczny illustrowany na rok 1896. Wydawnictwo *Stanisława Sadowskiego*. Warsz. skład gł. Chmielna Nr. 9. 1896 r. str. 87 i ogłoszenia.
2. **Kalendarz myśliwski** illustrowany na rok przest. 1896. Warsz. nakł. B. Ronczewskiego, 8-vo, str. 166 + 9 (cena kop. 50).
3. **Kalendarz katolicki** na rok 1896. Petersb. nakł. K, Grendyszyńskiego, 8 vo, str. 112 + 48 + 44 + 12 + kart nlb. 16.
4. *Józefa Ungra* **Kalendarz iliustrowany** na rok przestępny 1896, 4-to (cena kop. 50).
5. **Kalendarz powszechny** na rok przestępny 1896, (rok XVIII). Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 8-vo, str. 160 i ogłoszenia.
6. **Kalendarz lubelski** na rok przestępny 1896. Lublin, nakł. M. Kossakowskiéj 8-vo, str. 90 i ogłoszenia.
7. **Z obcych dziejów**. Dwie powieści historyczne dla starszych dzieci przez *Teresę Jadwigę* (z 6 rysunkami). Warsz. nakł, Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo str. 249.
8. *Jadwiga Chrząszczewska*. **Czary i nie czary**. Fantastyczne opowiadania dla młodzieży z 6 rycinami. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 195.
9. *A. Laurie*. **Spadkobierca Robinsona** Przekład z francuzkiego. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1996, 8-vo, str. 324 z 7 rycinami.
10. **Przygody i opowiadania** misyonarza w Sudanie egipskim, podług J. Ohrwaldera opracował *Kazimierz Król*. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 202 i III z 10 rycinami i mapką.
11. **Druga książeczka Helenki**. Przez autorkę „Pamiątkl po dobréj matce“. Wyd. 7-me. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa (1896), 8-vo. str. 142 z 8 rycinami.
12. *Z. Morawska*. **Wielkie zdolności i Przygody Zygmusia**. Dwie powiastki dla dz ieci Warsz. nakł. Gebethnera i Wolfa, 1896, 8-vo, str. 221 z 6 rycinami.
13. *Marya Weryho*. **W lecie**. Książka dla małych dzieci. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolfla, 1895. 8-vo str. 144 z rycinami.
14. *Cecylia Niewiadomska*. **Odrodzona**. Powieść dla młodzieży. Warsz. nakł. Gobethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 293 z ryciną.
15. *Zuzanna Morawska*. **Wyspa wróżki Marty**. Opowiadania i obrazki. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 292 z 6 rysunkami
16. **Młody wygnaniec**. Przygody wśród puszcz i stepów ameryk. Przełożyła z Ryszarda Rotha *M. J. Zaleska*. Wyd. 2-e. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 493 z rysunkami.
17. *Bronisława Porawska*. **Polne różyczki**. Powieść dla dorastających panienek. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo str. 280 z ryciną.
18. **Perły**. Zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiéj dla młodocianego wieku. Wolny przekład *L. Anczyca*. Wyd. 3-cie. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 275 z 8 rycinami.
19. *Zofia Bukowiecka*. **Rok życia**. Dziennik Wandzi i Józi z prawdziwych notatek przepisany. Warsz nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 228 z rycinami.
20. *Zofia Bukowiecka*. **Historya o Janku górniku**. Opowiadanie dla młodzieży. Warsz. nak. Gebethtera i Wolffa, 18996, 8-vo, str. 237 i V z 10 rycinami.
21. *Jadwiga Chrząszczewska*. **Pogadanki** z dziećmi. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 347.
22. **Chrzest Mieczysława**. Powieść historyczna z X-go wieku przez *E. Zorjana*. Wyd. 2-gie Kijów i Odessa, nakł. księg. Bol. Koreywy, 1896, 8-vo str. 138.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

